

nowa
proza
polska

GWANIARY

**SYLWIA
CHUTNIK**

Świat Książki

Cwaniary

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[W serii](#)

[Dedykacja](#)

[Część pierwsza Bajki, bójki i brawurki](#)

[Wtedy odkrywa się śmierć](#)

[Siekiera, motyka](#)

[Nie ma życia bez bijatyki](#)

[Młode wdowy](#)

[Spuchnięta skóra](#)

[Ktoś tu kogoś spalił](#)

[Między szpitalem a balkonem](#)

[Część druga Bezprawie i bal](#)

[Bronka nie lubi](#)

[Ciemno już](#)

[Namawianki](#)

[Dolny Moko](#)

[Babcia znajduje dwa włosy](#)

[Zbiera się brygada niezła](#)

[Bronka i wymyślona śmierć](#)

[Część trzecia Bohaterki](#)

[Babilon płonie](#)

[Poród](#)

[Przeznaczenie jest jedno](#)

[Źródła cytatów](#)

[Karta redakcyjna](#)

Cwaniary

Ilustrowała
Marta Zabłocka



W serii ukazały się:

Sylvia Chutnik
Dzidzia

Piotr Czerwiński
Międzynaród
Pokalenie

Janusz Głowacki
Good night, Dżerzi
Z głowy

Manuela Gretkowska
Agent
Kobieta i mężczyźni
Miłość po polsku

Henryk Grynberg
Uchodźcy

Inga Iwaszów
Bambino
Ku słońcu
Smaki i dotyki

Michał Komar
Wtajemniczenia

Mariusz Maślanka
Bidul

Zośka Papużanka
Szopka

Jerzy Pilch
Marsz Polonia
Miasto utrapienia
Moje pierwsze samobójstwo

Eustachy Ryłski
Człowiek w cieniu
Na Grobli
Warunek
Wyspa

Juliusz Strachota
Oprócz marzeń warto mieć papierosy

Michał Witkowski
Drwał
Lubiewo bez cenzury

Piotr Wojciechowski
Doczekaj nowiu
Serce do gry

Piotr Zaremba
Romans licealny

Rafał Ziemkiewicz
Żywina

Janowi Chutnikowi
(1940–2011)

Ochota, Żoliborz, Bródno
Tak tu nudno, nudno.
Sadyba, Szmulki, Śródmieście
Kiedy to się skończy wreszcie?
Jelonki, Powiśle, Żerań
Chyba umieram, umieram.
Wola, Czerniaków, Okęcie
Jestem na zakręcie.
Praga, Targówek, Mokotów
Dość mam tych kłopotów!
Włochy, Ursus, Młociny
Pomszczą mnie dziewczyny.

Część pierwsza

Bajki, bójki i brawurki

Cmentarze są jak stop-klatka. Całe dnie latasz, miotasz się, szamoczesz po mieście. Załatwiasz, dzwonisz i umawiasz. Aż wreszcie budzisz się rano i postanawiasz przejść przez bramę nekropolii. Miasta równoległego.

Od razu ciszej, jakiś czerwony robal łązi ci po nodze. Wzdrygasz się i wiesz, że to tutaj. W ręce znicz, kwiaty, zazwyczaj chryzantemy lub wieniec ze sztucznych róż. I jeszcze zestaw polerowaczki: szczotka, ludwik, butelka i szmatka. Czasami pasta do nabyśczenia, ale podobno to nie ma sensu, bo tylko robi zacieki, smugi. Zostawia i rozmazuje, zamiast wyczyścić. Dobrze jest zabrać ze sobą dodatkowe torby na zwiędłe kwiaty. To się potem zgarnie ten badziew z płyty i wyrzuci do zielonego kontenera. Strój założyć najlepiej niezobowiązujący, bo się trzeba będzie tarzać w pajęczynach albo igliwiu. Najgorzej to mają ci prosto z kościoła – odstawieni, wyperfumowani kroczą przez alejki, trzymając się pod rękę.

Torby zawieszają na sąsiednim krzyżu, zdejmują marynarki i żakiety. Potem stają na grobie w rozkroku i dalejże szorować z zapalem! I tylko się robią dziury w rajstopie, od sprzątnia.

Dobrze, że we wszystkie potrzebne przedmioty można się zaopatrzyć na miejscowych stoiskach. Do wyboru, do koloru, masz tu światełko w kształcie zatroskanego Chrystusa, wesołego balwanka lub żółtego kurczaczka – w zależności od aktualnego święta. A nie chce ci się co tydzień zmieniać świeczki, to kupujesz na baterijkę, tak zwane wieczne światełko, które tli się niemrawo, symbolizując pamiętanie o najbliższych. Mało tego – są też sztuczne kwiaty, całe wieńce w przybladłych różach, choinach i plastikowych paprotkach. Płacisz stówę i spokój do kolejnego sezonu. Są małe stroiki, walentynkowe serca ułożone misternie na stelażu oraz podstawki antystearynowe. Bo jak nakapie na lastryko, to koniec. Weź to teraz zdrapuj paznokciem, dziękuję bardzo! A znicze pękają, rozsada je wewnętrzny ogień, wylewa się ze środka przezroczysta masa i wsiąka niemal do grobu. Gdyby nie płyta, toby i na trumnę nakapała lub urnę zapaskudziła. Masa tworzy dziwne wzory, jak na andrzejkowym wieczorze wróżb. Nie wiadomo, co można przepowiedzieć zmarłym, ale kształty przypominają czasem przedmioty, czasem ludzi o charakterystycznej urodzie. Może to i taka rozrywka dla nieżywych, taki teatrzyk z braku laku. Niech i tak będzie.

Sklepików i budek wokół bramy wiele, stoiska kuszą cenami. Po prawej Stasiek zachęca do nabycia „jedynych w swoim rodzaju lampeczek zapachowych w sam raz na różne okazje typu chrzest czy komunია”. Prezentuje jednocześnie maszynę składającą się z podstawki na kadzidelko i knota, którego oblać należy zapachowym olejkiem. Sęk w tym, żeby wpuścić parę kropel na sam dół, a nie chlustać bez opamiętania, bo to się wtedy całe zamoczy i koniec zabawy. Niektóre baby biorą nawet po pięć zestawów, a potem kopcą u mężów na płycie, jakby im to miało w czymś pomóc. Poza tym mężczyźni na zapachy niewrażliwi za życia, to i po śmierci także ich to nie pocieszy. Ale skoro promocja, rabat, gratis, czemu by nie napchać siaty, wózeczka na kółkach z kraty ceratowej zrobionego. Czemu nie nabywać na zapas, do pawlacza. Jak się samej umrze, rodzina tylko sięgnie na półkę i zapali. Będzie taniej i z głowy.

W każdym razie człowiek obkupiony w te gadżety kroczy dumnie z siatką i obowiązkową paczką zapalek. Mija bramę, w bramie Wacek na wędkarskim krzeselku siorbie herbatę z prądem i od niechcenia do zakupów zaprasza. Na rozkładanym stoliku ma kolorowe lizaki, obwarzanki i pańską skórkę. Nigdy nie kupuj tego ostatniego, no co to jest za cholerstwo! Nie dość, że skład podejrzany, a barwniki niewiadomego pochodzenia, to jeszcze konsystencja kitu do podłogi zmusza do milczenia przez dłuższy czas. Obkleja się to wokół zębów, łączy żuchwę z siekaczami; już niejedna sztuczna szczęka się na tym połamała i do wyrzucenia. Niby taki tani cukiereczek, taka tradycja cmentarna, a jak zaczniesz ciumkać, ssać, glamać, to i do kolacji się nie pozbędziesz. A w zębach nad grobem dłużyć to nieładnie. Tu wszak chodzi o nastrój zadumy.

Niestety, przy głównej alejce stoi zawsze skrzypek i tak potwornie rzępoli, że tylko szkoda tych biednych zmarłych, co leżą bez ruchu i muszą tego wszystkiego słuchać. Ani uciec, ani na pięcie się odwrócić, tylko tkwić w zamurowaniu. Skrzypek wycina wciąż pieśni rzewne, rozstrojone, psujące ciszę. Odpoczywa co jakiś czas, sam utrudzony tym niechcianym koncertem. Rozgląda się wtedy leniwie po znanym sobie terenie pełnym ustalonych praw.



Na cmentarzu istnieją bowiem wewnętrzne przepisy, że śmieci składujemy przy bramie, że dbamy o sąsiednie groby, że nie stawiamy zniczy bezpośrednio na płycie i że zakupy robimy według *funeral code*. Podobno białe lilie tylko dla młodych. Dla starych za to smutne wianuszki i stonowane barwy zniczy. Tam, gdzie widać fotografie, niektóre w sepii, to od razu wiadomo, kto leży, ile ma lat, czasami – kim był. Starzy ludzie w garniturach patrzą uśmiechnięci w obiektyw. Przecież to miało być zdjęcie do dowodu osobistego, nie na grób. Kto, idąc do fotografa, myśli o własnej śmierci?

Halina Żyła była początkująca w subkulturze cmentarnych wdów. Szła, co prawda, na pamięć do właściwej alejki, od Głównej, przez Szeroką i do Lipowej, a minę miała wtedy pewną, spokojną. Patrzyła z lekką pogardą na tych, co to po niedawnym pogrzebie trzymali w dłoniach laminowane obrazki święte z nadrukiem adresu zmarłego. Zameldowania ostatecznego. I tylko latali teraz między alejkami, usiłując ogarnąć logikę nekropolii. A gdzie tam, nie ma logiki – jest ogólny plan, ale to przy bramie głównej, a do niej trzeba by się cofnąć, z dziesięć minut drogi. Przecież na starych nogach każdy krok na wagę złota. I gubią się ludzie po grobach, próbują się rozeznać w jednakowych płytach, jednakowych zniczach. Wokół spokój i rozwalające się przecinki informujące o numerach ścieżek.

Bo tu się spieszyć nie należy. Raczej chłonać znaczenie poszczególnych sylab życiowych. Takich jak ach, och, ech. Westchnień poza świadomością, poza kalendarzem spotkań i retoryką wystąpień. To taka zabawa dla dzieci jak z zeszytu *Wesołe minutki* – połącz kropki, a zobaczysz, jaka wyjdzie z tego postać. Całe to trwanie w stop-klatce jest jak łączenie: znaczeń, ludzi, chwil, myśli. W nim widzimy dopiero trud życia. Bo co to za filozofia strzelić sobie udane momenty. Ważne, aby je potem zgrabnie połączyć w całość, zawiązać kokardkę i podpisać „to moje”. To ja.

Tylko że z nikim się już wtedy nie podzieli myślą, myśl zostanie tylko dla nas i do sztambucha. Nic już się nie poprawi, nic nie będzie można zmasować, zakamuflować drogą psychoterapią. Nie odkupimy swoich win w Medziugorie, Licheniach i u wszystkich świętych. Sekundę przed śmiercią się okaże, czyśmy dobrze te wszystkie kropki połączyli. Czy nam coś z tego życiania, z tego życiowania wyszło. Wcale nie jest też tak, że w życiu piękne są tylko chwile; co my wiemy o życiu, będziemy mogli na nie spojrzeć na sekundę przed zamknięciem oczu, gdzieś na sali operacyjnej lub w swoim zasikany łóżku, w towarzystwie rodziny czekającej na testament. Będziemy umierali i prawdopodobnie będzie nam dana chwilka refleksji. Ach, więc to tak. Aha, och.

Przechodniu cmentarny, spójrz zatem na rzędy grobów i się lepiej nad sobą zastanów, póki możesz, bo się obudzisz z ręką wiadomo gdzie, ale wtedy będzie za późno na skargi. Pomyśl za życia o śmierci i nie próbuj z nią walczyć, bo się tylko narazisz na śmieszność.

Dzisiaj skrzypek wyjątkowo często uderzał w wysokie tony, aż mu pękła struna, schował więc instrument do futerału i zamyślił się. O czym myśli taki skrzypek, pracujący wokół trupów? Przecież on w filharmonii miał grać, a nie tu!

Halina minęła go szybko i skrzyła wzdłuż ceglanego muru. W letnie dni buchała zza niego okropny smród zgniłych śmieci, które lokowano za nim w nadziei, że nikt nie zobaczy. I znowu współczucie dla zmarłych, że w tym syfie leżą i sobie żadnego dezodorantu rozpylić nie mogą. No, chyba że to dlatego sprzedają te wszystkie dyfuzory lawendy i sosnowej szyszki w kadzidłach. Może to właśnie dlatego.

Po drodze wystawiały korzenie drzew, które nieraz podcięły nogi jakiejś babie, że tylko w powietrzu latały te skarby niesione w reklamówce. Obite kolana, podarta jesionka, a nieraz to i złamanie z powikłaniami. Halina potknęła się właśnie o stare gałęzie i zaklęła pod nosem. Odwróciła się za nią jakaś rozmodlona staruszka, która codziennie przychodziła do męża i czytała mu „Super Express” nie wiadomo po co, ale to zawsze lepiej niż gadać do telewizora w samotności i tylko śledzić, czy Esmeralda zdradzi męża, czy on zdradzi ją.

Baba spojrzała lękliwie. One wszystkie bały się Haliny, te wszystkie czarne wdowy, te zasuszone kwiatuszki trzymające w drżących rękach zapalki. Oglądały się za nią lub podglądały, jak stoi przy grobie. A nuż coś ukradnie, a nuż odłupie złote litery i przetopi na wódkę.

Kradną przecież na potęgę. Halina kiedyś tak zajęła się sprzątaniami suchych gałęzi, że nie zauważyła, jak zza grobu wychylił się stary dziad i porwał jej torebkę. Od razu zaczął uciekać alejką, więc Halina rzuciła tylko ścierkę i pobiegła za nim. Dwa kopy w nogi i dziad leżał jak kłoda. Taki niby stary, schorowany, w autobusie to się pewnie wyklóca o siedzenie, a tu niczym sportowiec. Raz-dwa, sadził susy i w ręce dzierżył zdobyc. Dostał kilka razy, na przyszłość, bo pewnie i staruszkom kradnie dobytek, a poradzić to one sobie nie poradzą. Czyli nauczka obowiązkowa. Charchnął potem zębami między grobami, jak szczur.

Halina wyglądała zawsze elegancko, lecz podejrzanie. Niby schludnie, ładnie, dres wyprasowany, ale tatuaże na ciele to już szpetne, na co i po co to, wystają zza rękawów i sięgają palców. Z kryminału chyba dziewczyna wyszła, a szkoda, bo taka młoda i by się za siebie wzięła. Młoda taka no właśnie.

Bo cmentarz to jednak rewir starych, jak dancing albo kościół z samego rana. Tam głównie seniorzy przychodzą i tylko czasem z młodszymi. A same młode to raczej niewidoczne, jakieś podejrzane. Może profanują, kto ich tam wie?

Szczególnie te stare bez mężów mają zaciśnięte usta. Z jednej strony dumne, że jeszcze żyją, ale z drugiej ciągle narażone są na insynuacje, porady, zaczepki.

– Pani Basiu, pani to wdowa i pan Gieniek wdowiec. Może będziecie tak razem...

– Co też pani, jeszcze nie zgłupiałam, żeby sobie stare jaja do domu brać. A broń cię, Panie Boże! To ja już na głowę bym musiała upaść!

– Ale razem tak jakoś raźniej i w serial popatrzeć, i na zakupy iść.

– Ja po operacji oczu, w telewizję się nie gapię, a zakupy sama sobie zrobię, bo ja mało jem. A chłopca raz już miałam, dziękuję bardzo, więcej mnie nie trzeba.

Pani Basia podobno wyrzuciła wszystkie szklanki musztardówki z domu. A na co to komu – pyta – na co komu z tego pić? Nikt tu już pić nie będzie – mówi. Zostawiła jeden młotek, pudełko średnich gwoździ, kombinerki i kolekcję śrubokrętów. Ale ani jednej koszuli męża. Tłumaczyła, że któregoś dnia tak się wpięprzyła, że zrobiła porządek w szafach. Trzymać ten cały pociejów nie ma sensu, na co to komu?

Baby zapamiętały polerują płytę z wrytym „Zmarł w 1996 roku”. Tyle lat tu przychodzą, aż im się ręce powykręcały od zimnej wody z kranu. Chyba z Bródna są, a może ze Szmulowizny. Opalają sobie piecykiem spleśniałą łazienkę, wdrapują się po drewnianych schodach dzień i noc.

Warszawę należy zacząć opisywać właśnie z tego miejsca, z ruin po pradawnym grodzie bródnowskim, co był zaczynem do przyszłego miasta, takim tutejszym grodem gnieźnieńskim. Korzenie każdego warszawiaka widać na odległość. W okolicznym Targówku Fabrycznym do tej pory produkuje się nowych mieszkańców. Sprzyja temu idealna lokalizacja – zapomniane uboczne wielkiej metropolii, tajemnicze ulice i połacie zieleni. Oraz, oczywiście, fabryki, a raczej ich resztki.

Niektóre postaci topi się najpierw w specjalnych piecach umieszczonych pod powierzchnią dawnych tuneli metra. Następnie przepuszcza się przez kręte rury i przekazuje bezpośrednio w tłum rojący się w okolicach stacji metra Centrum. Aby nikt nie spostrzegł nowo wyprodukowanych ludzi, każe im się najpierw przechodzić pod rzeką przez specjalne kanały.

Tajna baza mieści się w willi Waltera, która została zbudowana przed wojną. Z racji bunkra ukrytego pod ziemią jest to idealne miejsce do planowania nowych, warszawskich prototypów. Z zewnątrz budynek wygląda jak zwykła kamienica. W czasie wojny ćwiczyli w niej na strychu żołnierze AK – mogli sobie strzelać, bo obok przebiegała kolej, która stukotem kół skutecznie zagłuszała podejrzane hałasy. W kamienicy żył też właściciel luster, który zostawił po sobie wiele opiłków szkła. Do tej pory wykorzystywane są one do produkcji oczu nowych ludzi. Dlatego też to głównie po nich – nie po schowanych przecież skrzydłach – można poznać warszawiaka wyprodukowanego na Targówku. Ma pełne blasku spojrzenie odbijające w sobie rozmówcę.

Inny świat ten cały prawy brzeg. Niedługo w ogóle nie będzie tu mostów i prężanie kompletnie zdziczeją. Inna rasa, życie na innych zasadach. Zatrzymane w pół kroku między przedwojennym sznytem a współczesnym blockersowaniem. Resztki wymierającego świata, nieistniejącego miasta, które kiedyś miało coś do powiedzenia, a teraz przejechane zostało buldożerem zmian we wszystkie strony. Resztki niezmięcone ze stołu, ruiny.

To się widzi w ludziach, to się widzi w otoczeniu.

Naprzeciwko bramy od Świętego Wincentego ktoś ma hodowlę gołębi. Latają ptaszyny nad usługami kamieniarskimi, zataczają koła, srają na zaparkowane samochody. Właściciel rozmawia z kolegą:

– Jak mi na tym świecie dobrze. O Jezu, jak mi dobrze! Wszystko mi się w życiu poukładało. Janek mi przyniósł te stare części od pralki, to je sobie w sam raz zajął. Tutaj mi z kościoła na święta dali mąki, to sobie coś zrobię. No, mówię ci, Bohdan, jak mi, kurwa, dobrze!

Dziad stoi pod gołębiami i na ziemi satacza szmatą koła. A gołębie latają podług tego i zawsze wracają do siebie. Do klatki.

Zaraz obok Minibar, przed którym siedzi matka z dziećmi i pali fajki. Dzieci krążą wokół niej na rowerach jak te gołębie: prawo, lewo i z powrotem. Matka pali, nad jej głową błyszczą choinkowe lampki otaczające nabazgrany cennik. Przed lokalem idzie chłopak w bluzie głoścącej, że urodził się na blokowisku. No widać, widać, nie ma sensu się podpisywać, bo w chodzie ma ten koleś zakodowane na zawsze, jak zbiegały jego nogi po dwa stopnie z klatkowskiej, jak papierosa gasił o barierkę i że popłuł naokoło ławki przy trzepaku, może nawet pluje i teraz.

Cmentarz Bródnowski wygląda z góry jak ptak ze skrzydłem gotowym do lotu, może jak ten gołąb hodowlany, szek polski, górnołotny. Leci gdzieś z tymi wszystkimi grobami, zostawiając po sobie pusty plac, na który zaraz wkroczą deweloperzy i postawią budkę z security.

Halina sama już nie była pewna, czy to dobrze, żeby nieżywi ludzie byli tak blisko żywych. Przecież trumny podmywane są deszczami, wodami gruntowymi, jakieś błoto się robi i potem płynie strużkami do sąsiednich domostw. Co mają powiedzieć mieszkańcy takiej Budowlanej czy Gilarskiej, jak im z kranu wujek leci, a kąpiel biorą w resztkach babci? Chociaż z drugiej strony to musi być jakoś zabezpieczone, może zamurwane? Czy ktoś pomyślał, że epidemia to ostatnia rzecz, na jaką Warszawa jest przygotowana? Że to by zmiotło z tego świata wielu ważnych ludzi: fryzjerów gwiazd, asystryntek menedżerów i koordynatorów światowych projektów. I bankiety. A wtedy trzeba by znowu chować zabitych i by musiały powstać nowe cmentarze. Może to zresztą jakieś wybawienie dla tych budowlańców, tak wciąż coś burzyć i budować na nowo? Nowy rynek dla deweloperów mających problemy z opchnięciem eleganckich apartamentowców bogatym kredytobiorcom. Zburzyć domy, wybudować cmentarze, sprywatyzować cmentarze, żeby stały się modne i pożądane. Wyrwać cmentarze z rąk starych i biednych emerytów, robiących pod siebie i podcierających się sztuczną szczęką. Oddać groby młodym i mającym. Zrobić trendy groby, zrobić modę na umieranie.

Halina szła alejkami, zatopiona w myślach o rynku nieruchomości, a przy okazji swoim własnym kredycie spłacanym dość nonszalancko, wreszcie dotarła do grobu.



Kolejna pauza. Wymiar zupełnie inny niż ten codzienny, znany i oswojony. Wokół grobu to nawet powietrze zamiera, ptaki przestają śpiewać, serce przestaje bić. Tunel łączący nas z innym wymiarem na pozór wydaje się pusty. Tyle że powietrze zbyt gęste na echo, zbite w sobie, nie do przejścia. Można próbować krzyknąć przy grobie, ale głos nie rozejdzie się na boki. Utkwi gdzieś pomiędzy płytą a ubitą ziemią. Nie polecą dalej, nie trafi do ludzi, zatrzyma się i odbije od naszych ust.

Dość rozmyślań, trzeba umyć nagrobek. Wieniec ze sztucznych kwiatów wędruje na rozkładaną ławeczkę, do gry wkraczają szczotka i szmata. Szybkie ruchy i całość łni. Najpilniejsza wdowa nie powstydziliby się takiego porządku. Jeszcze tylko spryskać wodą kwiaty, zapalić znicze i już. Kiedy nie ma już co robić przy grobie, nie pozostaje nic innego, jak tylko stanąć przed faktem śmierci. Odwiedzić Nieżywego Człowieka zamkniętego w pudle albo spalonego i zamkniętego w skrzynce przypominającej cukiernicę z jakiegoś pałacu. Mówić do niego, wyobrażać go sobie, jak jeszcze miał całe ciało, jak robił herbatę w dużym kubku i mieszał cukier palcem, bo mu się nie chciało brudzić łyżeczki. Wizualizować sobie twarz człowieka zwykłego i codziennego, gest poprawiania koszuli przed wyjściem, życie właśnie.

Stoi się nad grobem i twarz człowieka robi się inna, ściąga się, tężeje. Nagle stajemy się stare i mądre jak nasze babcie, wszystko już wiemy o tej beznadziejnej funkcji śmierci i nie wiemy o niej nic. Wprawione w ostupienie, że to tak można nagle zniknąć z całego gąszczy obowiązków, rachunków i umówionych spotkań. Nie być. Przestać być i – tak to przynajmniej z naszej perspektywy wygląda – nic sobie z tego nie robić. Bo może gdyby nieżywy chciał wrócić, toby się dało? Siłą woli by się umierający zaparł i wnet by powrócił. Chociaż na jakiś czas, na chwilę.

Kiedy odkryje się śmierć – takie dziwne zdarzenie należące jednak do życia – nie można zapomnieć. I nie można przestać oglądać pod światło dziwne zjawiska znikania. Śmierć jakby to wyczuwała: czai się w każdej książce, każdym obrazie. Wśród rodziny i znajomych. I już, po jakimś czasie, mówisz jej dość, nie potrzeba więcej. Wszystko jasne, zrozumiałam. Odejdź! Ale ona, rozochociona, nie zamierza usunąć się w kącie. Teraz, kiedy tak o niej głośno, kiedy wszyscy na nią patrzą, zachowuje się jak nieznośny dzieciak popisujący się na środku dywanu. Wchodzi w najmniejsze szpary, atakuje, kiedy się tego nie spodziewasz. I nie chodzi o to, że sama umierasz, o nie. To nawet nie byłoby złe. Śmierć po prostu macha do ciebie zza węgła, puszcza oko, podstawią nogę. A ile ma uciechy z twojego strachu, z twojego smutku. Śmierć nieludzka.

Halina przyzwyczała się do takiego stanu. Pozwalała wręcz sobie na to, aby myśli płynęły przy grobie swobodnie, a rozpacz mieszała się ze wściekłością.

Patrzyła na płytę i pięści zaciskały się same.

Jej Antek był tak zmasakrowany od pobicia, że trzeba było go skremować. Szczątki ciała leżały beładnie i wbicie całości do trumny byłoby zwyczajnie niemożliwe. A jak ubrać takiego Antka w częściach? Zwykłe balsamowanie i prześcieradło (całun, tak powiedziała pani z firmy pogrzebowej „Anioł”) wyglądałoby groteskowo. Co on, mumia? I co tu bandażować, jak ciało nie było już ciałem, krew wypłynęła dawno jedenastoma dziurami po ranach kłutych.

A taka kremacja też uroczysta: całość wjeżdża do pieca przy akompaniamencie melancholijnej muzyki. Za szybą rodzina siedząca przy intensywnie pachnących liliach. Siedzą najbliżsi i oglądają bardzo dziwny film. Ktoś zamienia się w popiół. Potem higieniczna skrzynka jedzie w karawanie przy otwartych drzwiach samochodu aż pod sam grób. Halina bała się przez cały czas, że urna wypadnie na jakichś wybojach i się otworzy.

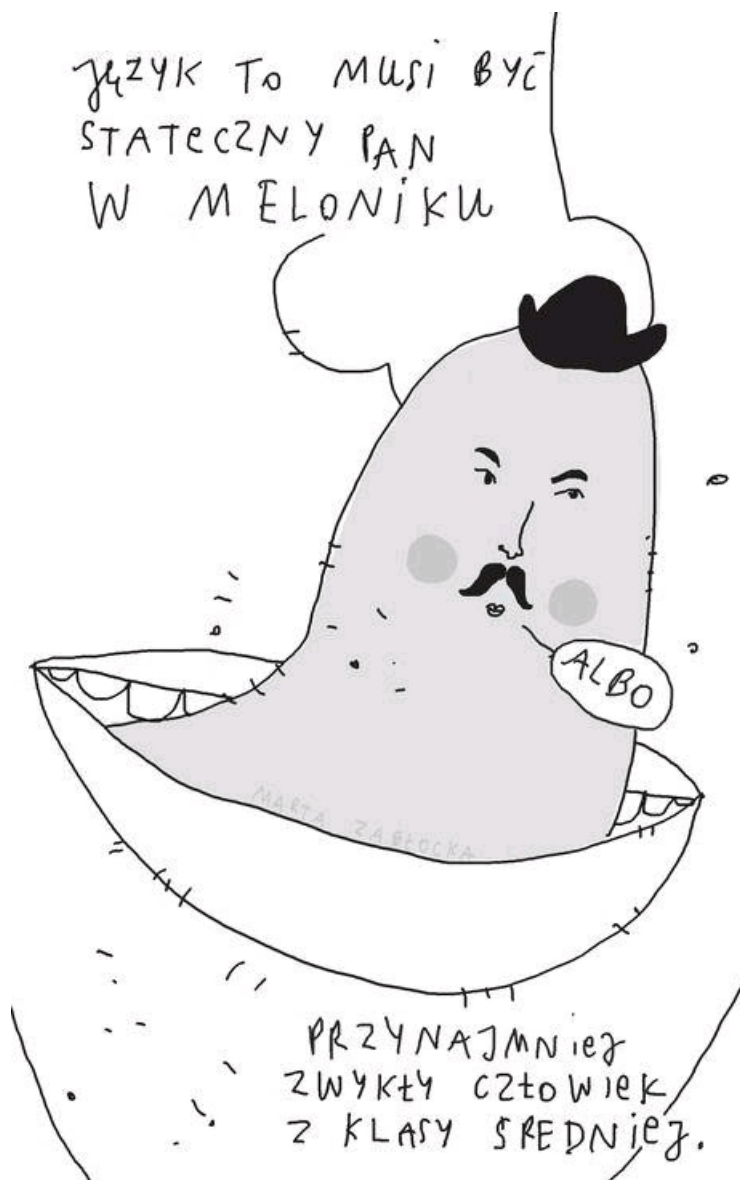
Szła więc blisko samochodu i aż jej się słabo zrobiło od rury wydechowej. A może od czegoś innego, w każdym razie ciotka Madzia podeszła i delikatnie wzięła ją pod ramię.

– Nie idź tak tuż przy tych spalinach, to niezdrowe dla ciebie i dziecka.

Halina bez słowa sprzeciwu odsunęła się od samochodu i pogłaskała po brzuchu. Gdyby tak jeszcze z kilka miesięcy Antek pożył, toby zobaczył syna. Ale nie pożył, nie dał rady.

I teraz Halina, sto pięćdziesiąt dni od pogrzebu, przyjeżdża codziennie z Mokotowa na Bródno i mówi do grobu słowa czułe.

– Kochanie, nasz syn mnie dziś tak kopnął, że nie wiedziałam, czy ustoję. Mam pracę tymczasową, przy pisaniu komentarzy w Internecie. Płacą dziewięćdziesiąt groszy za dobry i złoty pięćdziesiąt za zły. Teraz wszyscy piszą, jakby nie znali podstawowych zasad gramatycznych, jakby język to była taka dziwka na wynajem, co jak sobie zażyczysz, to nogę zadrze, a znowuż innym razem ci zatańczy. A język to musi być stateczny pan w meloniku albo przynajmniej zwykły człowiek z klasy średniej. W domu głównie siedzę i zamieszczam w necie sfalszowane opinie, zamiast pisać swoje scenariusze na najbliższe życie. Patrzę na twoje ubrania złożone w kostkę na półce i zastanawiam się, co z nimi teraz zrobić. Ale nie mam czasu na długie myślenie. I bardzo dobrze.



Dziewczyna spuszczała smutno głowę, drapała się bezradnie w swoje wydziaranne ręce i poruszała ustami.

Znicz palił się wewnątrz kolorowego szkieleta, bawił płomieniem, obracając go we wszystkie strony. Ciepły, lipcowy wieczór. Pająk chodzący po czubku buta spieszył się, aby szybko połączyć podszewę z gałęzią i sklecić domek. Dwie lzy zamazały obraz Halinie, rozpuszczając wodoodporny tusz i malując nim czarne smugi na policzku. Jak u jakiejś Maryi.

A gówno tam, jaki on wodoodporny, kiedy mnie szczypie!

Chusteczka do nosa ścierała więc dowody chwilowej słabości. Trudno jest być samej, trudno jest wiedzieć, że po porodzie wróci się do pustego mieszkania, gdzie w przedpokoju stoją jeszcze buty chłopaka. Gdzie na wieszaku wisi jego bluza.

Co zrobić z tymi kłopotami po zmarłym?

Tysiące przedmiotów, które człowiek pieczołowicie zbiera wokół siebie. Śrubki posegregowane w pudełkach, buty, wyjściowe koszule. Tylko pierwszego planu już nie ma. Śrubki straciły cały swój sens. Buty i koszule zostały pozbawione kontekstu.

Najgorzej pogodzić się z tym, że tego wszystkiego już nie ma, a my nie mamy na to wpływu. Dotychczasowe triki nie działają, ambicja otwiera szeroko oczy ze zdziwienia nad swoją nieskutecznością. Ależ jak to, my, dziewczyny XXI wieku, jesteśmy królowymi i same o sobie stanowimy.

Rządzimy z wysokiego tronu i jednym gestem skazujemy kogoś na ścięcie, a drugim darujemy winy i rozgrzeszamy. Od nas wszystko jest zależne, nie po to kończyliśmy dwa fakultety, aby nie mieć możliwości decydowania. A tu nagle taka potwarz.

Bez naszej wiedzy i zgody ktoś po prostu odchodzi, znika, umiera. To jest nie do zrozumienia, nie do wybaczenia. Za śmierć należy się zemsta.

Wtedy odkrywa się śmierć

Podejrzewała, że coś złego może się zdarzyć, od kiedy zaczęły chodzić po okolicy plotki, że jej kamienicę mają wyburzyć i na to miejsce sklep dyskontowy budować. Takie czasy, tłumaczył nowy właściciel na zebraniu wspólnoty mieszkaniowej, że nie ma sensu mieszkać już w starych domach. Że lepiej jest dostać jakieś zastępcze pokoje i w zgodzie się rozstać. I wtedy wstał Antek, i w kilku prostych słowach wytuszczył swoje zdanie na ten temat, jednocześnie sugerując, co może się wydarzyć z nowym właścicielem, jeśli sprzeda ich dom.

Zrobiła się awantura, musiała przyjeżdżać policja, ale i tak na drugi dzień ktoś właścicielowi przebił opony w samochodzie i zostawił mu obrzydliwy prezent na przedniej szybie.

Wtedy Halina zaczęła coś przeczuwać, że to afera będzie grubsza, a właściciel, który okazał się deweloperem skupującym domy w okolicy, nie jest człowiekiem, którego można łatwo zniechęcić. Kilka razy ostrzegała Antka, aby na siebie uważał, aby dwa razy się namyślił, zanim uderzy, ale zdawała sobie sprawę, że trudno będzie go powstrzymać, a że walczy w słusznej sprawie, to tym bardziej brak argumentów na wycofanie się.



*

Antka zabili, kiedy nastąpiła wiosna. Wrócili ze spaceru po Morskim Oku. Halina weszła na górę wstawić wodę na herbatę, a on skwęcił do sklepu. Mijał Sandomierską, kiedy zza rogu, tuż za nim, wypadło dwóch mężczyzn i uderzyło go w głowę młotkiem. Zaciągnęło obok figurki i nożami i kopniakami dopełniło reszty. Po godzinie, kiedy Antek nie odbierał telefonu, ona zeszła na dół, aby sprawdzić, co się stało. Zobaczyła karetkę, po którą zadzwonił przechodzień z psem. Niemal wpadła na ciało leżące z boku chodnika. Karetka długo migiała kogutem, wabiąc okolicznych gapiów, komentatorów, których Halina słyszała jak przez mgłę. Stała obok samochodu, ponieważ w środku trwała reanimacja i nie można było wejść do środka.

– Jedziemy na Banacha – zawyrokował ratownik. – My już tu nic nie zdziałamy.

Kiedy dojechali na Ochotę, Antek nie żył. Rozległe rany, wewnętrzne i zewnętrzne i we wszystkie strony. Pełno tego było, akt zgonu wyglądał jak wypracowanie w Akademii Medycznej. Ciosy, krwotoki, fazy Księżyca, zło wróżby i klątwy. Wszystko naraz spotkało się przy ulicy Narbutt a, zwinęło w pięść i rąbnęło z całej siły w dotychczasowy świat Haliny.

Co ciekawe, nie znaleźli przy nim jego ulubionego noża. Był bardzo charakterystyczny, z wyrzeźbionym inicjałem ojca na rękojeści. I sobie ktoś

musiał ten nóż przysposobić, Halina pomyślała, że jeszcze kiedyś za tym nożem pozna oprawcę. Że jeszcze kiedyś ten ukradziony z miejsca zbrodni nóż stanie się dowodem w sprawie. Że nóż ten komuś stanie się ością w gardle. I przebije gardło na wylot.

Wiadomo było nie od dziś, że trudny fach Antka wręcz prowokował podobne sytuacje. Ile to już razy sami widzieli karetki zabierające jego ofiary na zbędnym sygnale. Ile to razy sam kopał, ciął i bił. Taka profesja, taki styl. Takie miasto.

A jednak zabicie nie wchodziło w grę. Był zwyczajnie zbyt dobry na wpadki. Zwykle udawało mu się wychodzić cało z tych wszystkich historii i jeszcze miał czas na poprawienie fryzury, splunięcie za siebie i ucieczkę lub – o wiele częściej – spokojny spacer od dalający od miejsca zbrodni. Znał swoich wrogów, obserwował ich lub używał czegoś, co można nazwać sprytem, zmysłem, talentem. Słowem: nadawał się do tej roboty jak nikt inny.

Nie chodził na żadne siłownie, nie ćwiczył żadnych sportów z Azji, Afryki czy Ameryki. Raz na tydzień brał udział w większej bójce i wtedy uczył się taktyki zespołowej. W razie czego mógł się wycofać, nawet jeśli była to walka wręcz. A potem nabyte zdolności sprawdzał już indywidualnie, zaczynając od wyzwań łatwych i niewymagających większego wysiłku. Z nocnego wywłókł pijanego faceta, który zarzygał siedzenie („tak nie można, trzeba umieć zachować się w każdej sytuacji i nie zabrudzać przestrzeni publicznej!”), skopał małolatę próbującą ukraść koleżance komórkę („trzeba wiedzieć, jak kraść i komu”) oraz rozbił butelkę na głowie jakiegoś garnitura, który awanturował się w sklepie z żoną, że tylko on może decydować, co kupić, bo to jego pieniądze („bez komentarza”).

Potem zaczęły kroić się poważne wyzwania, takie, w których ryzykuje się wszystko, dlatego należy głęboko wierzyć w słuszność swoich czynów. A słuszność ta, jak to zwykle bywa przy wymierzaniu sprawiedliwości, jest względna. W czasie akcji nie można filozofować, wahać się, zadawać pytań. Liczą się sekundy, nie czas na refleksje. Na nie przyjdzie pora wieczorem, przy kieliszku.

Alkohol to ważny element takiego życia, bo działa jak otumaniacz i zapominajka. Dwie sety i umysł rewiduje rzeczywistość. A może to nie ja na nich napadłem, tylko oni na mnie? Bo krzywo się spojrzeli i przez to przegięli? Nigdy nie wiadomo po pierwszej butelce, kto zawinił i kto jeszcze oberwie za swoje. Przy drugiej butelce nie ma już żadnych wątpliwości – to oni. Mordercy, cwele, chamy! Już my ich dopadniemy i znowu tak pobijemy, że Bozia ich nie pozna. Niech no tylko wstanie dzień.

Bo te spowiedzi z natychmiastowym rozgrzeszeniem odbywają się zawsze nocą.

Noc jest dla miejskich gier środowiskiem naturalnym, to właśnie wtedy rozgrywa się teatr rzezi. Kiedy, jak nie wtedy? Kiedy, jak nie przy zgaszonym słońcu, oddającym pole do popisu chimerycznemu księżycowi, który czasem rozjaśnia pełnią skwery, zaułki ulic i parki, ale czasem zwija się w rogal i ledwo go widać. Tak, jakby odwracał się do nas plecami i cicho przyzwalał na wszystko.

O ile jednak świat przestępców przez duże „P” trwa niezależnie od pory doby, to naprawiacze świata działają tylko pod osłoną ciemności.

Antek z kolegami zawsze walczył w nocy, ale nie bał się pełni Księżyca. Nie bał się również latarni, świateł samochodów czy wścibskich sąsiadów. Robił to, co miał zrobić, nie zastanawiając się, czy przypadkiem miejski monitoring zarejestruje jego ciosy.

Zazdrościła mu, ale nigdy nie brał jej ze sobą. To nie dla dziewczyn zabawa, nie ma co sobie dziur w rajstopach robić na próżno. Denerwowało ją to, ale zarazem uspokajało, że tak o nią dba i boi się o jej bezpieczeństwo.

– A pamiętasz, kochanie – mówiła nad grobem Halina – jak pobiliście do nieprzytomności tego frajera przy dworcu? Tuż przed kamerami bezpieczeństwa, nawet nie zdążyłam ich zasłonić. Nic się wtedy nie liczyło, tylko awantura. Jakaś kobita szarpała mnie za rękaw i błagała: „Pani zostawi, on dobry chłopak, on chodzi do kościoła”. To ty go jeszcze mocniej w głowę i po brzuchu. Cóż to za argument, jeszcze czego! Jak taki święty, to czemu pobił Muhammada, z miłości do Boga? Być może, ale którego?

Nasz kolega leżał przez dwa tygodnie na OIOM-ie, wszyscyśmy przychodzili i się z nim żegnali. Że niby zaraz nas opuści, kwestia czasu, niemożliwością było, żeby przeżył. A ten otwierał oczy i co jakiś czas szeptał tylko: „Spoooko, daję radę”. Twardy zawodnik, mocny chłop. Zawsze miał w życiu pod górę, bo nie dość, że śniady (stąd ksywa), to jeszcze z takim dziwnym znamieniem na plecach. Opowiadał kiedyś o tym, skąd niby je miał.

Jego matka w ciąży szła do rodziny w sąsiedniej wiosce. Tam takie wały były przy rzece, ludzie domów nie stawiali, bo woda cały czas wylewała. Ale za to trawa rosła jak trzeba, bo tereny wilgotne. I w związku z tym ludzie sobie pasali, co tam mieli: krowy, konie. No i ona szła tym wałem, i nagle się konie wyrwały, i biegają. Stadem ze źrebiętami naokoło. Biegają, biegają na nią, a ona tak stoi na wale i przykuca. Dreszcz jej po plecach przeszedł, od karku w dół. Konie pobiegły obok, a syn się urodził ze zwierzęcą sierścią na plecach. Dokładnie w tym miejscu, gdzie ona poczuła te dreszcze.

Końska sierść u dziecka, no, pytam się, jak to możliwe. Przypadek?

I on miał sierść ze strachu, która naznaczyła go na całe życie – że bać się nie można, ani przez moment, bo potem ślad zostaje i wszyscy mogą to widzieć i śmiać się, że trzęsiesz portkami. Antek zawsze powtarzał stare zaklęcie żołnierskie:

Nie wolno się bać!

Strach zabija duszę.

Strach to mała śmierć.

A wielkie unicestwienie.

Kiedy zobaczyła go nieżywego, musiała w myślach powtarzać zaklęcie. „Jestem tylko ja, nie wolno się bać tego, co nadejdzie”. Całe życie sobie Halina będzie powtarzać te słowa. W każdej sytuacji.

Wspominała te rozmowy, balangi, zwierzenia. Antka przy stole roześmianego, polewającego wódkę, a na końcu wstającego od stołu z ulubionym powiedzeniem „koniec balu, panno Lalo”. I do domu.

Lu, Maniusiu, tańczmy na dwa pas

Nasze tango andrusowskie!

Lu, Maniusiu, nie bądź na mnie zła,

Słuchaj, jak harmonia rzewnie gra.

„Szabasówka”, piękna polka,

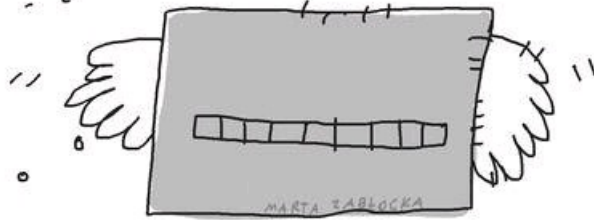
Lepsza od niej „monopolka”,

Lecz przy tangu, niech ją kolka!

Lu, Maniusiu, tańczmy cicho, sza,

Tango andrusowskie na dwa pas.

SKRZYŃKA NA LISTY
DO NIEBA
(ZNACZKA NIE TRZEBA)



W KOŃCU MOŻNA NAPISAĆ
BLISKIM TO, CZEGO NIE ZDAŁO
SIĘ POWIEDZIEĆ.
(W PLANACH POŁĄCZENIA TELE)

*

Robiło się coraz później, trzeba było wracać do żywych. Wstała, złożyła ławeczkę i zgarnęła wypalone wkłady do zniczy. Przejechała jeszcze ręką wyryte litery, tak jak zwykle dotykała policzka Antka, kiedy ten gdzieś wychodził. Lekkie muśnięcie, takie zaklinanie losu, na szczęście.

Wtedy tak nie zrobiła, nie było czasu, przecież zaraz miał wrócić ze sklepu, nie było sensu robić ceregieli. A potem to już dopiero dotknęła policzka w kostnicy, kiedy przygotowywała go do pogrzebu. Ostatni raz dotykała tatuaży na rękach: tego w kształcie spirali, tego z runami i napisów na brzuchu, plecach. Również daty poznania Haliny. Wytatuowana była na wewnętrznej stronie ramienia. Pięć lat, pięć lat wspólnej zabawy.

Dość tych obrazów pchających się namolnie pod powieki jak niechciani goście. Nie można cały czas żyć tamtym, przeszłym, zamierzczłym. Nieistniejącym.

Jak ci ktoś znika sprzed nosa, odwraca się i mówi „pa, do zobaczenia”, a ty masz mu jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia, to nic się nie martw. Bo – podobno – jest taka specjalna skrzynka pocztowa dla umarłych i tam normalnie bez znaczka (płaci chyba niebo) wysyłasz list i wszystko to, czego nie zdążyłaś powiedzieć, zwyczajnie piszesz. Tylko może ci ręka zadrzeć przy adresowaniu, ale to drżenie szybko mija, tak mówią.

Halina skrzyła w główną alejkę i wrzuciła skrzypkowi dwa złote. A niech ma, może zajmie się liczeniem zarobionej gotówki i przestanie wrzeszcze grać.

Siekiera, motyka

Na przystanku w stronę centrum panował ścisk i tłok. Pora ciepła, sprzyjająca, to wszyscy wyleźli z domów i dalejże jechać sobie, załatwiać, odwiedzać się. A to może na spacer, do miasta, na miasto, na pole, na rynek. W dłoniach kartoniki z biletami, jak szkolna wycieczka. Torby pod pachą, piterki męskie zwinięte przy nadgarstku. Byleby gwałtownie nie hamować, bo całe towarzystwo jest zbyt kruche, aby sztywno pozostać w swoich miejscach. Każda część komunikacyjnej układanki rozsypać się może w każdej chwili jak zakupy z siatki.

Podjechał autobus numer 527, co za szczęście, tylko dziesięć minut spóźniony, prawdziwa ulga. Halina została do niego wtłoczona niemal siłą. Złapała się za brzuch i zaczęła wpychać się do samego środka.

– Panie, weź się pan przesun trochę! Rozwalony jak król na tym siedzeniu, a tłok w autobusie i nie ma gdzie toreb postawić. O, i jeszcze udaje, że nie słyszy. Głuchyś? No mówię, posuń się! Widziała pani? – gruba baba zwróciła się do współpasażerki, wyraźnie szukając sprzymierzeńców.

*

Bo to się trzeba jednoczyć przeciwko chamstwu i znieczulicy społecznej w komunikacji miejskiej. Nie może tak być, że siedzi jeden z drugim, a ludzie zmęczeni, inwalidzi wojenni i kobiety przy nadziei będą posapywać nad głową.

– A ten nadal czyta zadowolony, nogi rozkraczył i zatopiony w lekturze. I co on tam czyta? „Przegląd Sportowy”. Takiś sportowiec, to może z łaski swej postoisz sobie, co? Będzie zdrowiej – radziła kąśliwie coraz bardziej zirytowana baba.

Tramwaj, autobus, metro. Tutaj każdy centymetr musi być wygrany, wykupiony twardym łokciem i ostrym obcasem. Zanim się wejdzie do środka, należy mieć ułożony plan działania względem tłoku, tej obezwładniającej masy ludzi napierających na siebie z każdej strony. Kieszonkowcy, ocieracze, śmierzące pachy. Miejska wersja cielesnych zbliżeń. Chwila zagapienia i wypadasz na schodki, skąd już tylko sekundy dzielą cię od nieoczekiwanego opuszczenia środka komunikacji, komunikacji bez porozumienia i ogólnej płątaniny rąk, nóg i skręconych szyj.

Własna przestrzeń rzecz święta. Gdzie mnie tu lezie po moim! To moje jest, rozumie się?! Nie oddam!

Halina była niezbyt zorientowana w całej sytuacji, bo miała słuchawki na uszach i wyobrażała sobie właśnie, że występuje na koncercie. To grała na basie, to znowu dała się do mikrofonu. Przez chwilę była tubą przenoszącą najważniejsze myśli, ubrane w zgrabne słowa. Stała na scenie, a przed sobą miała tłum falujący przy każdym nowym dźwięku. Jesteśmy razem, myślimy tak samo, nikt nas nie pokona. Halina w myślach mrużyła oczy przed jasnymi reflektorami, omiatającymi snopami światła parujące głowy pogrążone w transie. Czuła, że to jej najlepszy występ, na serio, lepszego nie było. „Jesteście wspaniali!”, krzyczała, machając jednocześnie ręką do fanów.



Z zamyślenia wyrwała ją coraz bardziej rozkręcająca się awantura. Autobus wyglądał, jakby miał zaraz pęknąć na pół.

Gruba baba szalała. Miotła przekleństwa i napierała łokciami na coraz bardziej rozwścieczonego faceta młócaącego powietrze gazetą. Wydawało się, że to jakaś ostateczna walka na lasery w wersji dla biedaków. Trzask-prask: papier przeciwko plastikowi. Zdaje się, że do placu Zamkowego nikt nie dojedzie cały, chyba że wejdzie kanar i od razu emocje opadną. Minęli już Wisłę, nikt jednak nie przerywał bitwy i tylko słychać było rozemocjonowany falset baby:

– Przecież tu w ciąży stoi pani, w ciąży! Z nienarodzonym dzieckiem, czy pan wie, jakie to niebezpieczne chodzić z nienarodzonym dzieckiem?!

A tłum za nią mruczał: „Ustąpić, cięża, chamstwo, jeszcze kierowca zahamuje i będzie nieszczęście!”.

Halina zorientowała się, że chodzi o nią. Ósmy miesiąc uwypuklał się pod starą koszulką i naprawdę nie dało się już tego ukryć. Zdjęła słuchawki i próbowała zrozumieć, o co chodzi, ale nagle ktoś pociągnął ją za rękę i usadził wprost na kolanach faceta z gazetą.

– Masz pan, za karę, ustąpić nie chciałeś, to będziesz na sobie wioził matkę i dziecko, i naszą przyszłość, a odezwij się pan jeszcze, to gęby nie poznasz za chwilę!

Baba z siatami wydała triumfalny okrzyk i zadowolona z dobrze wypełnionej misji wysiadła z godnością na przystanku przy Miodowej.

Halina próbowała wstać z siedzenia, zaklinowała się nieszczęśliwie między kolanami faceta a oparciem przeciwnego fotela. Poruszała się niemrawo, gubiąc z torby długopis i chusteczki do nosa. Facet chciał jej pomóc, ale miał naprawdę ograniczone ruchy, więc machał tylko rękoma, bezradnie patrząc na ludzi, którzy nagle stracili zainteresowanie dla całej sytuacji. Właściwie czuli się jacyś tacy oszukani, że tyle hałasu o jedną dziewczynę, co sama się mogła upomnieć o siedzenie, a nie teraz jeszcze chce wstać.

Siedzieć ma gdzie, to niech już tam siedzi, a nie się wyrывa, no ale to w ciąży, to burza hormonów, kobita nie wie sama, co chce, raz ogórki, raz ptasie mleczko, a ten mąż tak lata wte i wewte biedak – i tylko masuje stopy i plecy, plecy i stopy i do apteki po rozkurczowe.

A słyszała pani, że oni teraz rodzą z żonami? Jak to, chlopy na porodowce? Ano tak i podobno jak go nie będzie przy porodzie, to baba może nawet się z nim rozwieść i każdy sąd przyzna rację, że nie dopełnił obowiązku i był złym ojcem. Matko święta, no to jeszcze tego brakowało, no szkoda, że zamiast niej on tam sam nie rodzi. Chryste, to się teraz dzieje, te baby już same nie wiedzą, co wymyślać, jak te wariatki w telewizji gadają, to tylko człowiek szuka nerwowo pilota i to już lepiej na przyrodnicze filmy przełączać.

Przyrodnicze filmy, o to dobre są. Najlepiej takie o drapieżnikach, które się atakują. Jak one się atakują, mój Boże, potem jedzą padlinę, aż miło. Ogólnie należy pamiętać o tym, co dzikie i piękne, bo w mieście zbyt często zapomina się o widokach takich jak las czy jezioro. Człowiek się znieczula, kumkanie żab go denerwuje.

Tymczasem Halinie udało się wyswobodzić z przymusowego siedzenia. Poprawiła ubranie i wyskoczyła przy ruchomych schodach niemal w biegu. Powinnam jechać rowerem, w autobusach dom wariatów, Głupotowo Wielkie, pomyślała i skręciła w stronę placu Zamkowego.

Popatrzmy, jaka to miła makieta, ta nasza warszawska Starówka. Kolorowa, ze zdobnymi fasadami, które pomalowano tuż po wojnie. Wydaje się, że to stare budynki, ale kiedy podejdziesz bliżej i dotkniesz cegieł, będziesz już wiedzieć: dykta, sklejka, meblościanka. Pusto.

Bo z budynekami jest jak z ikonostasem: albo wokół krąży czarodziejska aura, albo wszystko to podróża made in China. A tutaj tylko bruk przy Brzozowej pachniał zawsze starością. Cała reszta mogłaby równie dobrze grać w jakimś serialu, bo tyle ma z prawdy co bohaterowie tasiemca.

I kręcisz się wkoło, robisz zdjęcia, wsłuchujesz w znużonych przewodników. A że po prawej stronie budynek z XVII wieku, a że dalej Zamek gotycki, ale nie za bardzo. Że tu stało, tu było, ale się spaliło. Rozwalili, zburzyli, w powietrze wysadzili. Oni. A myśmy to, hej, wydzwignęli do góry z powrotem, nie będzie Niemiec i tak dalej, proszę tylko spojrzeć, jak nam to dobrze wyszło.

Nikt nie wierzy, że to sztuczne.

Halina przeszła szybko przez Rynek, uśmiechając się mimowolnie do ulubionego fresku Stryjeńskiej na rogu ze Świętojańską. Skręciła na Górę Gnojną. Dobrze, że to wtorek, bo nie było dużego tłoku i tylko nieliczni turyści błakali się z pomiętymi mapami. Minęła dom, w którym mieszkała Pola Gojawiczyńska. Pomyślała sobie, że sama mogłaby napisać nową wersję *Dziewcząt z Nowolipek*. Tylko że żadna z nich nie nosiłaby halek, nie przeżywała podlotkowych romansów. Wszystkie by miały kredyty, kupony zniżkowe w portfelu i byłyby bezrobotnymi ze znajomością języków. Mogłyby również wyjechać do Londynu w celu zmywania lub podcierania albo bezrobocenia, podobnie jak w kraju.

Zmęczona usiadła na jednej z nowo postawionych ławek i zapatrzyła się na Wisłę, która powróciła już do naturalnej wysokości po ostatnich powodziach.

W brzuchu dziewczyny poruszał się nowy człowiek. Pukał od wewnątrz, wywijał koziółki, a zaraz potem dostał czkawki. Napięta skóra falowała niesiona rozhuśtanymi wodami płodowymi.

Halina pogładziła się machinalnie po skaczącym bębenku i jednocześnie wystukała numer do Celiny. Celebracja stanu błogosławionego później, teraz obowiązki.

– No cześć, cześć. Jestem na Starym, a ty gdzie? Na Stalowej? A ja dopiero co wracam z Pragi. Miałymy spotkać się pod Syrenką, dziewczyno, myślisz, że ja tak mogę sobie podróżować? No dobra, przyjadę, co mi tam, mam czas. Czyli kogo dziś robimy? Aha, tych dwóch koleśków. Będę za piętnaście minut.

Westchnęła i poprawiła w kieszeni szpadrynę. Robota to robota, na relaks przyjdzie jeszcze czas.

Noże, kastety, siekiery i kije. Paralizatory, proce, rurki i scyzoryki. Pięści, podkute buty, twarde czoło. Ile razy się tego używało, ile razy po udanej akcji polerowało, opatrywało, czyściło. Jeszcze przed śmiercią Antka czasami brała udział w łatwiejszych akcjach, ale zwykle bez przekonania. Trochę z obowiązku. Bo to zawsze łączy, jak narzeczeni mają wspólne hobby lub przynajmniej hobby drugiej osoby poznają.

Ale teraz Halina Żyleta bije tylko z obowiązku wendety.

Zbiera sobie narzędzia zbrodni tak, jak kobiety zbierają biżuterię. Zaraz śpioszki, koszulki, czapeczki i smoczki zastąpią wszystkie te skarby, ale póki co można poszaleć.

Halina skręciła w Kanonii, odruchowo dotykając wielkiego dzwonu – niby na szczęście, na dotyk wszystkiego najlepszego. Pomyślała o swoim mieszkaniu, o parzącym słońcu i jeszcze o tym, że bardzo by chciała teraz odpoczywać, wylegując się jak kot. Przecięła dziedziniec Zamku, omijając slalomem wycieczkę pstrykającą zdjęcia powietrzu, chmurom i temu dziwnemu zapachowi luksusowych hoteli położonych w centrum miasta.

Jeżdżą ci ludzie wszędzie, rozłażą się jak prusaki po kątach i jeszcze by sobie ten all inclusive wykupili, a jeszcze taką mapkę po kieszeniach wymięli. I dalej rozsiadać się po lokalach, dziwić ziemniakom z mizerią. Och, jaka to ciekawa potrawa, a to zielone? Koperek? Czy to rodzaj mięsa? To jest takie, to wszystko jest takie typowo polskie, ci Polacy gotują koperek na wódce. To podobno pomaga żyć.

Wódka. Tego by było trzeba. Do niedawna przed każdą akcją Halina wypijała sobie setkę bez popity. Wykrzywiła tylko kąciki ust i ocierała krople wierzchem dłoni. Mrużyła oczy i od razu umysł robił się jaśniejszy. Ręce szybciej biły, nogi szybciej uciekały. Słowem: trochę jak na siłowni. Co prawda przez całe liceum miała lewe zwolnienia z wuefu, ale od jakiegoś czasu interesowała się sportem. Polegało to na nieprzełączaniu kanału telewizyjnego, kiedy zaczynały się transmisje z meczu. Od kiedy postanowiła pomóc Antce, trzeba było jakoś zadbać o kondycję.

Przez całą drogę tramwajem wyobrażała sobie, że pije malutki – no naprawdę malutki, przecież wie, że nie można – kieliszeczek. Ostatni przed porodem, obiecuje. Nie jest żadną patomatką, czytała raporty o złym wpływie alkoholu na płód, o chorobach spowodowanych alkoholizmem, o ogólnym rozpadzie więzi społecznych. Ale umoczenie ust, poczucie kropli wódki między zębami, na podniebieniu – czy to grzech?

Patrzyła na Wisłę i wyobrażała sobie, że zamiast wody płynie tam spirytus, robi fale z alkoholu, a Syrenka na pomniku zamiast miecza ma butelkę. Słabo jej się zrobiło, może przez upał, może przez te emocje, przez wyobraźnię. Delikatna bryza smogu osiadła na jej twarzy, zawiąła do uszu warszawską modlitwę: „Zdrowaś, cwaniaro, łaskiś pełna, dasz radę. Błogosławionaś ty między samochodami, między tramwajami, a siła twojej pięści wielka”.

Wysiadła przy Inżynierskiej i niemal biegiem rzuciła się do sklepu.

– Cwiarteczkę, kierowniczkę! – wysapała.

– Ale, co też pani, w ciąży matce to ja nie podam, co pani zgłupła?

– Nie, nie, to dla chorej babci, bo jej się noga paprze po żyłkach i to trzeba spirytusem smarować dwa razy dziennie, bo inaczej opuchlizna i świerzb. Tak że to tak tylko, nie dla mnie, absolutnie.

I już, niemal na schodach, z buteleczki chlup do ust!

Naraz krew zaczęła inaczej krążyć, inaczej myśli się uczesały, a wzrok taki sokoli jakby, lepszy.

Sprzedawczyni wychyliła się zza lady i smutno spojrzała w stronę dziewczyny. Pokiwała głową z przyganą. Cywilizacja śmierci, zagłada. To już nas, Polaków, koniec.

Halina sprawdziła czas i przyspieszyła kroku. Po wódce wszystko wydało się miłsze, tylko brzuch kopał od wewnątrz, domagał się powietrza, może jakiegoś relaksacyjnego masażu czy muzyki klasycznej w pozycji lotosu. Nadaremno.

Na Stalowej, niedaleko baru, stała Celina i nerwowo paliła papierosa. Była już po pierwszej robocie, ale towar zostawiła w zaprzyjaźnionym klubie.

Zwykle stała obok swojego domu, w bramie. Chowala się za róg przy śmietniku i tak czekała. Miała jasne włosy i podłużną, skupioną twarz. Trzymała w ręce papierosa, z którego dym leciał gdzieś za nią i znikał w ciemności.

Zawsze tam stała wieczorami. Umiała czekać, a za tę cierpliwość spotykała ją zwykle nagroda. Tak było i dziś rano.

Wysoki mężczyzna wszedł energicznie na podwórko. Stanął na chwilę, postawił na ziemi nesesor i wstukiwał kod do domofonu.

Podeszła do niego i spokojnie stanęła obok. Przystawiła nóż do gardła i zażądała pieniędzy oraz komórki.

Mężczyzna próbował obejrzeć się za siebie, wykonać jakiś gest obrony, ale poczuł ostry czubek noża, więc posłusznie wyjął z kieszeni wszystko, co miał.

Dziewczyna kopnęła jeszcze nesesor, coś w nim było ciężkiego, twardego. Pewnie laptop, domyśliła się. Kopnęła mocniej, aby odsunąć od mężczyzny i nie schylać się przy nim, bo mógłby to wykorzystać i zaatakować albo przynajmniej wyrwać się i uciec.

Na razie była w dobrej pozycji, nie widział jej twarzy. Nasunęła głębiej kaptur na twarz, jednym ruchem złapała torbę, schowała resztę łupów do kieszeni i uderzyła pałką w głowę.

Mężczyzna osunął się nieprzytomny tuż obok drzwi, a Celina szybkim krokiem wyszła z bramy.

Minęła otwierający się właśnie sklep spożywczy. Właścicielka siłowała się z kłódką od kraty. Spojrzała na dziewczynę przelotnie i szybko spuściła oczy. Lepiej nie prowokować, lepiej skupić się na swojej pracy i nie rozglądać się wokół, szukając problemów. A mało to ich na dzielnicy nie jest.

Na widok koleżanki Celina splunęła tylko i wycedziła przez zęby:

– Już później to przyjąć królowa nie mogła, już się tu doturlać za trudno na umówioną godzinę, co?

Nie było możliwości i sprzyjających warunków do kontynuowania tak mile zaczętej pogawędki, bo zza rogu wyszło dwóch napompowanych facetów o twarzach rzeźbionych tępotą. Jeden miał łysą głowę i złamany nos, drugi – dla odmiany – długie włosy związane w kitkę. Zamiast nosa okulary, czym przypominał trochę studenta fizyki, którego najlepszym przyjacielem jest komputer. Ale w ramionach był niczym posąg, w barach nie było śladu po programowaniu i obliczeniach matematycznych. Wyglądał jak kolos zakończony łapami niczym bochny chleba. Maczeta do bicia ludzi.

Pierwsza zagroziła im drogę Celina.

– Panowie, oj, my tu z koleżanką potrzebujemy pilnej pomocy, gdyż zepsuł nam się samochód, a spieszymy się na poród. Panowie by zerknęli pod maskę, bo coś tam się dymi, a my nie wiiiieemy.

W kwestii prowadzenia samochodu przez kobiety to lata emancypacji nie zmieniły absolutnie niczego. Baba za kierownicą to zło. Siedzi tylko i powoduje wypadki. Z ledwością nauczyła się, gdzie drzwiczki, a gdzie hamulec, ale twardo jeździ po mieście, bo przecież koleżanka też jeździ. Normalnym kierowcom psuje się krew, jeśli nie ruszą na żółtym świetle, nie wymuszają pierwszeństwa, nie pojedą sto pięćdziesiąt na godzinę.

Mając to na uwadze i pławiąc się w pogardzie, ten łysy zmierzył spojrzeniem dziewczynę, zatrzymał wzrok w okolicy biustu i po pozytywnej ocenie sytuacji poprawił dumnie koszulkę z nazwą jakiegoś zespołu pisaną gotykiem. Wokół nazwy widniało wiele symboli, o których mówi się, że pochodzą z kultury pogańskiej i na aukcjach internetowych wpisują się w dział „kolekcja militarna”, takie działy nie podpadają pod paragraf. Zza rękawa wychylił się tatuaż swastyki.

No, to pomożemy szanownym paniom, czemu nie.

I już są chłopcy gotowi do reperowania samochodu. Do grzebania w silniku, wjeżdżania pod podwozie i wysmarowania sobie paznokci lepkiem smarem. Wszystko to w imię rycerstwa i pomocy bliźnim, gdyż w tych trudnych czasach, co tu dużo ukrywać, człowiek człowiekowi, a zresztą, wystarczy spojrzeć, co się dzieje naokoło. Tak że my z kolegą uczciwie przestrzegamy: zrobimy, co w naszej mocy, aby panie sobie spokojnie, bez nerwów, pojechały na te kobiece porody. Niech se baby pojeżdżą po mieście, w sumie co nas to obchodzi. My, przykładowo, nigdzie nie jedziemy, no nie? Jak będzie trzeba, to i dopchamy wóz pod szpital. A co! Panie spojrzą na nasze mięśnie.

Łysy wygiął się w paragraf, naprężył biceps i z radością stuknął w niego drugą dłonią. Jaki twardy, jaki mocny, na tym oto bicepsie można by posadzić całą rodzinę z ciotką i stryjem. A ten z długimi włosami, niewiele myśląc, podciągnął nogawkę, gdzie ukazały się żyłaste mapy. I ja też, mówił, ja też daję radę.



No, to gdzie ten samochód?

A tu, za rogiem.

No to chodźmy.

No to poszli.

Ledwo skręcili w Czyszową, posypały się pierwsze ciosy. Celina krzyknęła tylko: „Bierz tego z długimi!”, a sama zaczęła tłuc łysego. Bach, bach, po twarzy, po brzuchu i w podbrzusze.

Za wszystko, co macie w głowach, za wszystko, co chcielibyście z nami zrobić, i jeszcze za to, że jesteście. I już wy dobrze wiecie, kim jesteśmy my, przedstawianie się w takiej sytuacji byłoby zbędną kurtuazją. Zastanówcie się jeszcze, jak sobie nas zapamiętać. I jak się modlić, aby nigdy więcej nie napatoczyć się na nas na ulicy. I że nigdy, przenigdy nie pokazywać nam siebie, bo to nas wprawia w zły nastrój i wtedy może się zdarzyć – lojalnie przestrzegamy – że ktoś pożegna się ze światem w sposób natychmiastowy.

Ten pierwszy facet już leży na ziemi, z ust ciurka krew. Stara się poderwać, ale co chwilę dostaje nowe kopniaki. Tymczasem Halina walczy metalową pałką – na indywidualne ciosy nie mogłaby sobie pozwolić, ponieważ przeszkadzałby jej ogromny brzuch.

I tak leniwie kończył się wieczór, przechodnie cofali się do bram, a wybite zęby pokrywały chodnik.

Lecz nagle ten żyłasty, ten niby taki zasuszony przed ekranem komputera, co gra w gry skomplikowane, jak nie machnie, jak nie świeńie. W jego ręku błysnął nóż wydobyty z trudem zza paska. Niedobrze, Halina słabła, w końcu taka gimnastyka dobra, ale do szkoły rodzenia, kręgosłup rwał, a w oczach powoli wirowały plamki. Dostała raz w ramię. Potem nóż przejechał wzdłuż dłoni. Przemknęło jej przez głowę, że to wszystko nie było dobrym pomysłem. Co teraz będzie, co się stanie.

Leżała na ziemi.

Bruk już wielokrotnie przyjmował ją z otwartymi ramionami, niby dobry papa, ale teraz odrzucał swoim szorstkim policzkiem. Leżąc, uważnie studiowała krawężnik, pachnący jak riksze na bombajskiej ulicy, pełnej sandałów i przepastnych sari. Jeszcze chwila, a wskoczy ktoś na ten krawężnik i zacznie tańczyć swoje historie. Lecz nie Halina. Ona zajęta była patrzeniem, tym razem na rabatki usadzone przy zasranym trawniku. Jeden listek, drugi, cały gąszcz. Nikt nie docenia ogrodnictwa miejskiego, wszyscy się tylko gdzieś spieszą. To dopiero trzeba być pobitą, aby spostrzec piękno przyrody, przyjrzeć się sposobom działkowca amatora, który zgrał grządki i każde nasionko z pietyzmem w ziemi zasiał. Na samym środku Czyszowej. Rośliny wyrosły, wybiły się z betonu i pięły dumnie ku niebu. Niby takie małe, zagubione w smogu i dymie, a rosną.

Wszystko trwało kilka sekund, myśli przetoczyły się po głowie i zaraz odbiły od siebie. Działać!

Halina musi koniecznie uciekać, nie ma wyboru. Coś kazało jej się natychmiast ratować. W sekundę zgaśniła się, że nie może myśleć tylko o sobie, że nie zostawi przecież koleżanki. To niehonorowe.

Tymczasem drugi koleś został unieruchomiony na chodniku i związał się z bólu. Celina, widząc, co się dzieje obok, podbiegła do pomocy. We

dwie poszło szybciej, długowłosa nie miał już szans. Leżał obok kolegi z własnym nożem wbitym tuż obok serca. Nie to, żeby od razu zabić, nie ma takiej potrzeby. Niech przeżyje i wspomina te lipcowe chwile swojej porażki. Niech jedzie do Krynicy-Zdroju, do wód, na rehabilitację. I pamięta, że powodów do bicia jest wiele, zawsze się jakiś znajdzie, i lepiej żyć tak, aby powodów takich nie mnożyć. Lepiej się nie wychylać ze swoimi nieprzyjawnymi poglądami, bo a nuż ktoś zechce je wybić z głowy, i to dosłownie?

Dziewczyny pobiegły aż do alei Solidarności i wskoczyły do przejeżdżającego autobusu.

Dyszenie, tętno wysokie, pot oblewający twarz, rozmazujący tusz do rzęs. Cholera, znowu spłynął po policzku jak czarna łza. Piecze mocno, wypala od środka, wypala myśli. Słysząc tylko powoli uspokajający się oddech.

Jest też tłum pasażerów, który w milczeniu patrzy na dwie dziewczyny, jedna z nich zasłania sobie brzuch zakrwawioną ręką, z której kapie na podłogę jak z odkręconego kranu. Cisza na morzu, cisza w kościele i jeszcze ta specyficzna cisza gawiedzi czymś zaszokowanej, ale niewiedzącej, co o tym wszystkim myśleć. I ta cisza zaraz się skończy, ale na razie ludzie patrzą przerażeni po sobie, szukając rozwiązania. Szukając swojego zdania.

Wreszcie jeden chłopak podchodzi nieśmiało.

Bo chyba panie powinny usiąść.

I panie usiadły bez słowa. Obserwowały samochody za szybą, obserwowały misie przy zoo, konary drzew i chwilę potem migoczącą wodę pod mostem. Nie patrzyły jednak na siebie, nie rozmawiały. Czuły zwyczajnie, że choć koleś dostali równo, to coś w tej akcji było nie tak.



Halina bała się przyznać przed sobą, że nie powinna już się bić. Celina bała się powiedzieć to samo koleżance, żeby ta nie pomyślała, że tu śmierdzi dyskryminacją ze względu na brzuch. Podala jej chusteczki do czyszczenia i wodę w plastikowej butelce.

Warszawa powoli stawała się ciemna, rozpalala pierwsze latarnie i zapraszała do coraz liczniejszych ogródków kawiarnianych. Kochani mieszkańcy, czas na luz, odpoczynek, czas na relaks.

– Jedźmy do knajpy – rzuciła Celina i objęła ramieniem krwawiącą koleżankę.

Kiedy wchodzisz do miejsca znajomego, gdzie barmanka kiwa głową i bez słowa przynosi, co należy, to wiesz, że jesteś stąd. Można jeździć po świecie, czemu nie, wszak podróże kształcą, ale najważniejsze jest własne miejsce na stojaku rowerowym i własny stolik w knajpie. I dlatego dziewczyny mogły teraz usiąść ciężko i bez słowa dostać to, co było im potrzebne: lód w ścierce, dwie wódki i chleb.

Siedziały, patrząc w dal, ignorując ukradkowe spojrzenia klientów. Obmyta ręka Haliny nie była na szczęście mocno poharatana i tym razem nie skończyło się w szpitalu. Gdyby w takim stanie pojechała na izbę przyjęć, to na pewno zawiadomiliby policję. A po co tu jeszcze policja, a co by

miały im powiedzieć? Kapować, że zostały zaczepione, czy przyznać się do swojej działalności – no, ludzie, nie ma mowy! Lekkie draśnięcie, mruknięta do Celiny, kiedy wyszła z łazienki. Nie takie rzeczy się miało.

Pierwsza bójka, pamięta – ba, nawet czuje do dziś – zakończyła się złamaniem palców u prawej ręki. Nie wiedziała jeszcze wtedy, jak uderzać, nie miała techniki. Waliła na oślep, aż się doigrała. No szkoda, że jeszcze paznokci nie połamała! Palce nie chciały się zrosnąć i trzeba było dwa razy prostować.

– Pan łamie bez znieczulenia – powiedziała do młodego lekarza, a ten spojrzął na nią i się uśmiechnął.

– Za dużo amerykańskich filmów się pani naoglądała.

A ona mu na to:

– Niech pan łamie, ja nie aktorka z filmu, ja z Mokotowa jestem.

To on pierwszy palec – trach! Ból nie do opanowania. Syknęła i mocniej zacisnęła zęby. Czowała, że wbijają jej się w dziąsła i wychodzą gdzieś do mózgu.

A tu drugi palec – sruu! Przypomniła sobie Stanisława Grzesiuka, który był chory na gruźlicę i dzielnie znosił wszystkie zabiegi, cwaniakując przy tym i wygłupiając się. Chciała podobnie, chciała coś zabawnego powiedzieć, ale wyszedł z niej tylko cichy charkot. Czowała się poniżona, czowała, że lekarz z niej drwi. Że nie wierzy w jej siłę, może nawet śmieszny go ta odwaga na pokaz.

I trzeci palec złamany – łup!

Wtedy pomyślała po prostu, że musi dorwać tego kolesia, który złamał jej kości, i złamać coś jemu. Ząb za ząb, kość za kość. Ze złości gotowała się jej w środku krew. „Nie wytrzymam, nie wytrzymam”, szeptała sobie. Wybiegła ze szpitala i rzuciła się pędem w poszukiwaniu tamtego, co ją tak urządził. I dorwała go. Kiedy sobie o tym przypomina po latach, uśmiech zadowolenia błąka się po jej twarzy.

*

– Co jest? – spytała Celina. – I z czego ty się cieszysz?

– A z takiego jednego, co się posikał ze strachu, jak mnie zobaczył ze świeżo nałożonym gipsem i jak dopadłam go wychodzącego ze sklepu i zaczęłam przy wszystkich prac.

To było na Marszałkowskiej, obok Sezamu, prawdziwy cud, że go wtedy spotkałam. Wypatrując go w tłumie, bałam się, że już nic z tego nie będzie i że wygotuję się na śmierć z tej złości. Ale ulga przyszła szybko. Była rozkoszą porównywalną do długiego przeciągania się lub do orgazmu, kiedy napięcie schodzi z mięśni, kiedy czujesz w całym ciele cudowne wirowanie.

Pierwsze uderzenie, napięte ciało, dopiero zaczynasz, badasz teren. Drugie uderzenie nieco szybsze, jakby pewniejsze. Nadal jednak nie wiesz, co będzie się działo. Zaczynasz się rozkręcać, wkręcać, powoli przenosisz się w świat zewnętrzny. Świat jeden do jednego, świat bez perspektywy i kolorów, kreskówkowy. Bez zbędnych ozdób i dźwięków tylko ciało na ciało, masa na masę.

Stłoczone mięśnie pracują bez odpoczynku, zmagają się z własną słabością i starają się przejść próg bólu. Jeszcze kilka ciosów i organizm odżyje na nowo. Należy tylko chronić głowę, schować ją między ramionami jak baran, wziąć zamach i młócić rękami celnie i odważnie. O ranach, ciosach danych nam na zawsze myślimy po bójce, w samotności.

Bo to się zwykle tak zaczyna, przeniesienie w równoległą rzeczywistość, o wiele ciekawszą niż ta codzienna. Gdzie można w sekundę stać się wszystkimi naraz bohaterkami dziecięcej wyobraźni, ratować świat od zagłady, wymierzać sprawiedliwość. Pelerynka łopocze na plecach, a ty przeskakujesz dachy domów w poszukiwaniu wendety.

Halina Żyła rozmarzyła się i nieświadomie zaczęła delikatnie poruszać dłońmi. Dopiero kiedy spadł strącony widelec, wybudziła się z letargu. Rozejrzała się wokół i nagle, jakby poza sobą, zaczęła mówić. Najpierw cicho, potem coraz głośniej i szybciej.

Nie ma życia bez bijatyki

Jak byłam małą, to w szkole dawali mi co roku plakietkę wzorowej uczennicy. I mnie to bardzo denerwowało, wiesz? Myślałam sobie, co jest, jaki wzór, gdzie ja wzorem, dla kogo? Dla tych dziewczynek obok mnie, takich samych, w fartuszku z pedetu, z kucykami, z warkoczykami, w rajstopach. Jesteśmy wychowane na Ali, co zapierdala w kuchni z matką jak motorek, co ma brata kosmonautę, strażaka, Bóg wie kogo. I jakim ja wzorem jestem dla innych dzieci? Że taka pilna, taka grzeczna? Boże, jak ja nienawidziłam być grzeczna. Jak ja się starałam łobuzować, pluć, przeklinać, drzeć zeszyty w ozdobnych szlaczkach. I nic.

Kiedyś taki jeden z klatki wyskoczył. Miałam szesnaście lat, w głowie pustkę i tylko na koncerty chodziłam w ciasnych glanach, na koncerty pod sceną i poogooo!! A koleś mi przystawił nóż do gardła i „rozbieraj się! – krzyczy – majtki zdejmuj!”. To ja, że ratunku, to on, że zamknij gębę, bo cię zabiję! A ja, że ratunku, a on, że nikt mnie tu nie usłyszy, i rzeczywiście – nikt nie chciał mnie usłyszeć na osiedlu dwa tysiące osób, lato, okna otwarte, a ci, kurwa, ogłuchli wszyscy w jednym momencie. To ja się drę, ale bardzo słabo. Jakoś tak w środku mnie, od wewnątrz krzyk, na zewnątrz cisza. I on gmera przy rozporku, dyszy, kompletnie w amoku. Tak się zrobiło naraz duszno, mucha kręciła się przy mojej głowie, ale ja już myślamy byłam gdzie indziej, ja już odmówiłam współuczestnictwa w tej niemiłej scenie i tylko sobie myślałam, ha, ha – odpocznę w domu, nakryję się na głowę i nikt mi już nic złego nie zrobi. A tymczasem, całkiem nagle – sąsiad przeszedł z kubelkiem śmieci i wychylił głowę w naszą stronę, a tamten uciekł, tylko mnie jeszcze zdążył popchnąć, to upadłam. Bardzo mnie bolało, bo jakoś tak niefortunnie uderzyłam się w rękę, spadłam na nią całym ciężarem.



I leżałam z majtkami zdjętymi do połowy, w kompletnym szoku. A sąsiad tylko zrobił przeze mnie duży krok, bo mu leżałam bez sensu na drodze do śmietnika, i łupnął tą klapą, łup, i poszedł. Nie miałam jak wstać, myślałam, że on mi jakoś pomoże, ale on mnie nie chciał słyszeć, zauważać, on miał, do cholery, swoje osobiste kłopoty natury: żona, dzieci, i tyle.

No naprawdę, już nie mają gdzie się rozkładać te hormonalne nastolatki, opalają się, trądzik wyciskają na ludzi normalnie zmęczonych. Dlaczego nikt się tym nie zajmie, nikt nie opisze w telewizorze, gdzie są rodzice z komitetem wychowawczym, gdzie?

Sąsiad poszedł, ja nie.

Ferajna tańczy, ja nie tańczę.

Za jakiś czas, sycząc z bólu, podniosłam się i poszłam do domu. A tam to już tylko łeb pod kran i zimna woda.

Pomyślałam, że mnie nie zgwałcił. Że jednak nic się przecież nie stało. Drżąca cała wyszłam na klatkę zapalić.

Spotkałam koleżankę i ona: „co tam u ciebie, jakoś tak blade wyglądasz”. A mi ta ręka, co się na nią wywaliłam, tak napuchła, taka się normalnie bania zrobiła, że jeszcze chwilę, a by skóra pękła. Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy, żeby trzymać fajkę właśnie w tej łapie i nic nie mówić, i tylko łyż mi kapały, ale nic nie mówiłam, i ta koleżanka do mnie: „ej, stary cię pobił?”, a ja nic, i ona chyba pomyślała, że chyba tak, i się chyba wstydzę powiedzieć, i chyba jest jej mnie szkoda.

Wydawało mi się wieczorem, że to przejdzie. Że rosnące uczucie tępej wściekłości jest jak chwilowe nabuzowanie. Tydzień później po raz pierwszy podciąłam sobie żyły.

W szpitalu była taka fajna siostra i ja jej opowiedziałam wszystko, jak było, i to, że wołałam zabić siebie niż tego, co mi zrobił krzywdę.

Pamiętam, że ona najpierw odwróciła głowę, potem długo milczała. A kiedy ponownie na mnie spojrzała, nie była już miłą panią w czepku i w fartuchu. Przestała gładzić mnie po ręce i skromnie siedzieć na taborecie. Ona była już wtedy Xeną, Hothead Paisan i boginią Kali w jednym. Mówiła, właściwie syczała do ucha potoki słów, wbijała je do głowy, tak jak wbija się wzory matematyczne i święte przykazania.

Była moim Mahometem, który specjalnie na tę chwilę ukazał się, aby przekazać jedną prawdę:

Zemsta cię wyzwoli. Tylko zemsta, dziewczyno.

I to była taka życiowa prawda, której nie znajdziesz w gazecie. Taka życiowa prawda przemycana tylko między wtajemniczonymi.

Jeszcze jedną wódkę, proszę. Oczywiście, dla koleżanki, co tu siedzi.

Halina poprawiła się na krześle i przestała nerwowo skubać skórki przy paznokciach, zaplatać warkoczyki na włosach, mamrotać pod nosem, pocić się. Już dobrze, już sobie zła opowieść poszła precz do szufladki „było minęło”. Już jest dobrze, już jest cios karate i ostre narzędzie wyczuwalne pod sukienką.

W świecie przeszłości nie ma czasu na refleksje – zamykamy ozdobną szkatułkę traumy i bierzemy głęboki oddech. Hej, przygodo, jutro nowy dzień!

Dziewczyńskie opowieści mają też to do siebie, że lubią nagle zwroty akcji. Przykładowo: wydaje ci się, że uczestniczysz w prymitywnym plotkowaniu, ale nagle dostajesz porcję zwierzeń. I znowu w inną stronę bieg nie rozmowa, rollercoaster sunie w górę i w dół opada. Nie nadażasz, to nie gadaj.

I Halina zmieniła temat na nowe wystawy i zepsuty rower, który naprawił jej Marek. Ach, nie uwierzysz, ple-ple, co za tempo, co za melodia. Szkatułka opowieści była już zamknięta na specjalny dziewczynski szyfr. Długo się teraz nie otworzy, bo szyfr trudny do zapamiętania.

– Nie za dużo tej wódki? – mruknęła Celina, kończąc swoje jedzenie.

– Przecież alkohol jest zdrowy, dobrze działa na trawienie, kobiety w ciąży muszą pić, bo to zapobiega baby blues i wzdęciom. Tak naukowcy amerykańscy to odkryli, badając szczury. Otóż samice szczurów miały do wyboru dwa pojniki: z wodą i z alkoholem. I wybierały ten drugi. No chyba szczury wiedzą, co robią. I to jest teraz takie potwierdzone, na całym świecie kobiety w ciąży muszą pić. Nawet na porodówkach zamiast oksytocyny z kroplówek sączy się spirytus i od razu dziecko ma dziesięć punktów w skali tych, no alpag.

Celina spojrzała na przyjaciółkę nieco skołowana i próbowała zaprzeczać, że to chyba chodzi o symboliczną lampkę czerwonego wina, ale nie była już pewna i strasznie chciało jej się spać. Pracowała w sklepie z ubraniami, gdzie musiała być uśmiechnięta, frontem do klienta, w gotowości do jego życzeń i zażaleń. A jak wyglądam w tej sukience?, a co by pani założyła na moim miejscu?, a to, a śmo. Na ich miejscu to by nie kupowała drogich ciuchów, tylko sobie na szmatach coś skombinowała, i na ich miejscu to by sobie wiadro na łeb założyła i przestała wymyślać. W sklepie nastolatki kradły ciuchy w przebieralni na potęgę, żadne kamery nie pomagały. Chodziły z obcęgami w kieszeniach i odczepiały białe plastiki zabezpieczające towar. Potem rzucały je gdzieś w kąt przebieralni, i tyle je widzieli. A jeszcze niektóre to ze spokojem w torby ładowały majtki, rękawiczki, delczyki. Po prostu wszystko, co się dało zwinąć. Część, już po złapaniu, była agresywna, potrafiła uderzyć nawet. Celina w takich sytuacjach delikatnie wykręcała ręce, stosując jeden ze swoich ulubionych chwytów, który sprawiał, że człowiekowi łyż stawały w oczach, ale nie tracił przytomności. Tylko tak się delikatnie osuwał i można było wtedy z nim robić wszystko, co się chciało. Głównie nie wzywać policji, tylko tak postraszyć złodziejki, żeby im się odechciało kraść. Bo to potem lecą po pensji pracownikom i cierpią na tym te osoby, które nie powinny. Trudna to była robota, wymagająca.

Oparła teraz ciężko głowę na blacie stolika knajpy i cichutko westchnęła.

– Jakiś problem? – zagadnęła ją Halina.

– Nie wiem, jestem chyba zakochana. Od kilku dni myślę o takim jednym, ale nie wiem, czy to ma sens. Jak w piosence radiowej, że ona siedzi i cierpi, ale nie ma śmiałości podejść i zagadać, a potem jest za późno, bo on ma inną i biorą ślub, a ta zakochana patrzy na nich jakby przez mgłę, bo już płacze potwornie i łka. Zaraz refren, ludzie podkręcają radia w biurach i podśpiewują sobie pod nosem wzruszającą piosenkę. Zabrałeś serce moje, zabrałeś duszę mą, a mnie pozostawiłeś napięzanie się po mieście, bo już nic innego robić nie mogę, jak tylko to.

Celina Cios czasami stawała na górcie pomiędzy kupami psów a wysypanymi śmieciami. Ręce wznosiła do góry, jak Mesjasz, i płakała nad samą sobą i swoimi miłościami nieszczęśliwymi, bo to jeden chłopak się okazał safandulą, drugi bankrutem, trzeci impotentem, a czwarty ledwo się kimkolwiek okazał, zwał za granicę.

Zakochać się na śmierć, zatracić w uczuciu, wejść na górkę w parku z kimś za rękę, śmiać się i z tej góry sturlać jak dzieci.

I cóż, skoro górką zanieczyszczona, uczucie zatracone i zgubione, ręka urwana przy kolejnej próbie ratowania się z odmętów.

Jak się chuliganica zakocha, to zaraz powstają z tego różne problemy natury estetycznej. Wstaje rano i patrzy na siebie w lusterku, o Boziu, ale mam szarą skórę jak papier i te wory pod oczami, co za królestwo zaniedbania. Paznokcie połamane od bijatyki, sznyty na nadgarstku jak prywatna mapa rozczarowań życiowych. Do tego mięśnie na ramionach sterczące jak wielkie bułki. Ani to bluzki na ramiączka założyć, ani filuternej sukienki. Zaczyna więc kompulsywnie smarować się przeterminowanymi kremami i fluidem z gazety. Kradnie ze sklepów szminki i jeździ nimi po zębach, co wygląda źle. A na dodatek zaczyna się odchudzać. Wiadomo, jak to się kończy – cały dzień na głodzie, papieros za papierosem, a w nocy wielkie żarcie do wyrzygania. Na drugi dzień to samo, tylko z większymi wyrzutami sumienia.

Kiedyś, przez te niemądre zaloty do chłopców, musiała pobić dziewczynę. Cały tydzień to potem przeżywała i do tej pory aż jej słabo z przejęcia. Bo jak to tak: dziewczynę uderzyć? W obronie dziewczyn się staje, to dla nich lepszy świat chce się budować, a nie łomotać po twarzy, że najlepszy puder tego nie zakryje.

A było to tak. Celina zakochała się w koleżce z pracy. Pracował z nią w sklepie, był ładnie zbudowany, ze szlachetną twarzą i – przynajmniej na początku – ze szlachetnymi zamiarami. Tak ją zagadywał, do domu chciał odprowadzać, więc Celina myślała, że coś z tego będzie. I żyłby długo

I namiętnie, gdyby nie jedna laska z działu warzywniczego pobliskiego sklepu, mieszczącego się w tym samym centrum handlowym. Na początku często przychodziła po ubrania i zawsze prosiła o mniejsze rozmiary właśnie tego chłopaka. I ciurli-luli, a tiu tiu, a może krótszą sukieneczkę mi podasz, a może w przebieralni stanik mi zapniesz i jeszcze wgapisz się w moje cycki, gdyż tak się składa, że noszę je na wierzchu. Dla ciebie.

Celina początkowo nie wiedziała, jak się zachować, bo chłopak coraz mniej się nią zajmował, a coraz więcej tamtą lafiryndą. Wycofać się z placu, obrazić, dostać depresji?

Ale sytuacja sama się wyjaśniła, bo kiedyś po robocie, kiedy Celina odpinała swój stary rower ze stojaka, tamta podeszła do niej i niby niechcący nadepnęła jej na stopę. A kiedy Celina syknęła z bólu i wyprostowała się, aby sprawdzić, kto to i dlaczego, tamta z niewinną miną rzuciła: „Cóż, Paweł jest mój, zapamiętaj to sobie, dziewczynko, a nie próbuj zaprzeczać!”

I Celina Cios poczuła wielką niesprawiedliwość, poczuła gorycz oszukaństwa i zagrania nie fair. Niewiele myśląc, chwyciła tamtą za włosy (a były doczepiane, co się potem okazało, bo zostały w ręku od silnego pociągnięcia) i uderzyła z główki. Stary zwyczaj z Czerniakowa. Wręcz tradycja. Tamta zatoczyła się, zdziwiła i upadła. Ojej, tak nie można, powiem pani, ała!

Lecz nie był to koniec porządków uczuciowych, gdyż Celina poprawiła kilka razy po nerkach, a na końcu wyrwała torebkę i wysypała jej zawartość do kosza. Właściwie trochę z czystej złości i chęci postąpienia brzydko. Błyszczyki, puzdereczka, lustreczka i perfumy znalazły się naraz w towarzystwie śmierzących resztek i niedopalonych petów. Profanacja części kobiecej, smutna, ale sprawiedliwa.

I rzekła jej na końcu:

– Jedna zasada obowiązuje nas wszystkie: nie podpierdalamy sobie koleśków. Która nie zna tej zasady lub się do niej nie stosuje, musi liczyć się z przykrymi konsekwencjami. Moim sposobem na przykre konsekwencje jest solidny łomot. Z podpisem „na zawsze”.

Po czym wyjęła z kieszeni nóż i przejechała nim po nodze dziewczyny. Tamta zemdłała i dobrze zrobiła, bo miękkich się więcej nie bije, więc Celina wsiadła na rower i odjechała.

Było jej obojętne, czy tamta doniesie na policję (wtedy zemsta byłaby o wiele sroższa), czy koleś wybierze jednak ją. Szybko zapomniała o tej dwójce i skupiła się na bójkach, które odtąd stały się jej sposobem na spędzanie tak zwanego wolnego czasu. Jako trzydziestopięcioletka zasługiwała na to, aby bawić się według własnych zasad i własnego scenariusza.



I na tych koleśków, obiekty westchnień, tak się zawsze patrzy z nadzieją: lubią mądre.

Wiecie, mówią do kolegów, ładne są głupie. Ale brzydkie to normalnie bibliotekę zjadły, w teleturniejach wygrywały i znają wszystkie przypisy świata. O, takie to my lubimy, z takimi to pójdziemy na dach w nocy i będziemy czule patrzeć w oczy do świtu. Brzydkie mają w sobie to coś, ten okrucieństwo i zgodzą się na wszystko.

– Tylko że ja raczej – mówi Celina – to znam tylko takich, co się na cycki gapią, choćby czytali Żizka.

Zakończyła przemowę i odruchowo spojrzała w swój pusty dekollet.

– Niczym się, koleżanko, nie przejmuj. Jak cię nie będzie chciał, to go skopiemy.

Halina poklepała po ramieniu nieszczęśliwie zakochaną dziewczynę. Sięgnęła po swoją chustkę na szyi, zmiędlila ją w dłoniach i wręczyła Celinie.

– Masz, wypchasz sobie stanik, nikt nie zauważy.

Ale nie o sprawy cielesne chodziło w tym wszystkim, lecz o duchowość miłosną.

Celina przeżyła kiedyś prawdziwe uczucie względem kolegi. Nawet razem zamieszkali. Mieli po dwadzieścia lat, mieli, jak to się mówi, „całe życie przed sobą”. Błogosławieństwo rodziców, papiery złożone do urzędu stanu cywilnego. I tego narzeczonego przejechał samochód. Normalnie, nagle wyjechał zza zakrętu i przejechał.

A szedł ten narzeczony rano do pracy i niczego nie podejrzewał.

Celina codziennie rano przechodziła obok tamtego miejsca, po tygodniu plama krwi zrobiła się zupełnie niewyraźna.

Jechali samochodem na weekend, on prowadził. Zobaczyli na poboczu na wpół rozjechanego kota. Nie wiadomo, co z takim zwierzęciem zrobić, bo na ratowanie za późno, a zostawić tak w agonii też trudno. Zatrzymali się więc i Celina podeszła do umierającego. Miał otwarty pysk z którego leciała krew. W brzuchu dziura, przez którą widać było wnętrzności. Ani go przenieść, ani transportować do weterynarza. Celina pochyliła się nad nim w ostatnim ludzkim odruchu, ale kot zrobił nagły ruch i resztkami sił drapnął ją po ręce. Mocno, naprawdę mocno. Celina miała ślad przez kilka dni. Syknęła tylko, odruchowo liznęła ranę. Była zwierzęciem przy drugim zwierzęciu, zaatakowana w desperackiej próbie samoobrony. Przed czym, przed śmiercią, przed krukami dobierającymi się do wnętrzności, przed robakami zjadającymi flaki, wyjadającymi gałki oczne. To straszne, pomyślała Celina, tak leżeć na poboczu i oddawać się na pastwę przypadkowego obserwatora.

Wróciła do samochodu, nic nie mówiąc.

Dwa dni później zginął jej chłopak.

Wiele lat temu to było, dawno i nieprawda, szkoda żyć przeszłością. Ale dziwnie się złożyło, bo od tamtej pory to już dziewczyna innego narzeczonego się nie doczekała. Nie układało się z nikim. Jakieś fatum, naznaczenie pazurem kota czy co?

Młode wdowy

Za młoda jesteś na kolor czarny. Tak mówili Celinie i Halinie po śmierci narzeczonych. Poza tym, mówili, ślubu jeszcze nie miałyście, to przecież nie obowiązuje was żałoba po mężu.

*Już nie ma Antka mojego,
Do powietrza poszło zamężcie,
Więc jestem wdową przed ślubem,
Los na mnie ścisnął swe pięści.*

Możecie sobie być trochę smutne, ale przecież młode jesteście, sobie kogoś ciekawego znajdziecie.

Nic z tego, przeszłość jak guma pod podeszwą, ciągnie się za nami i nie pozwala dać kroku do przodu. Stoimy więc zamysłone nad grobami, jak kruki na regale. Wypchane, ze szklanym okiem.

Wdowy nielegalne, wdowy nie do końca. Bez obrączek na spuchniętych palcach. Za młode na smucenie się. Bo młodzież musi się wyszumieć. Musi rodzić dzieci, zwiedzać dalekie kraje i śmiać się, śmiać na głośnej imprezie.

Śmierć w takim momencie jest nie na miejscu, jest wykluczająca. Nie pasuje bowiem do obowiązku szczęścia wpisanego w okres młodości. Już po czterdziestce, kiedy przekraczamy czas nadziei, wstępujemy w smugę cienia, nikt nas już nie słucha, ale za to zwalnia z pracy. O, wtedy można tracić mężów. Wcześniej nie. Inaczej będą za nami chodziły baby i szeptały „to tak, mój Boże, tak młodo, co za nieszczęście!”. A koleżanki będą mruczały „no, no, ale jednak nieźle sobie radzisz, dzielna jesteś w tym wszystkim, ja to na twoim miejscu”. Ale żadna na jej miejscu być by nie chciała, na jej miejscu by gryzła nadgarstki we wrzasku rozpaczyci ciągnącym się od stóp do czubka głowy. Z rozpaczyci by wyła w kuchni nad stołem, gdzie stał jeszcze jego talerz z okruskami kanapki ze śniadania, co ją jadł pospiesznie.

Co zrobić z tymi okruskami?

Czy w którymś poradniku dla żałobników jest napisane, co zrobić z okruskami po kanapce?

Młode wdowy, za młode na śmierć cudzą i swoją. Widać je rano na cmentarzach, jak idą w czarnych rajstopach i nie patrzą na boki. Przeczekują życie, spędzają je, jak się spędza irytującą muchę ze stołu. Widać je także, gdy wieczorem kupują wino i zapraszają koleżanki. Przyjdź, proszę cię, nie mogę zostać sama. A koleżanki na początku przychodzą, ale potem coraz częściej nie mają czasu. Piszą tylko na komórkach „kochana, sorry, dziś nie mogę”. I nie dodają, że nie mogą, bo idą ze swoim chłopakiem do kina; nie chcą drażnić. Nie chcą epatować swoją stabilizacją domową, bo jak tu komuś powiedzieć, że jest dobrze, kiedy u tego kogoś przeszedł huragan i spierdolił całe życie. Teraz weź to posprzątaj wszystko, weź to ogarnij!

*

Dziewczyny ustaliły inne życie niż to, które je spotkało. Czy jest możliwość złożenia zażalenia na źle wykonaną usługę życiorysu? My, młode wdowy, chciałybyśmy zareklamować nasze związki, gdyż się nagle przerwały. Może te nici były za słabe, może sznurki pękły, śruby zardzewiały?

Zerwane przyrzeczenia, plany na wakacje, zakupy na niedzielę, nieważny bilet do kina. Talia kart, czekająca na potasowanie.

I znowu argument: ale to nie był wasz mąż, to i wy nie musicie oplakiwać jak żony. Na stos was nikt nie zaprowadzi, abyście razem z ukochanym spłonęły, nikt od was niczego nie wymaga. Możecie podrywać nowych mężczyzn, bo tylko tak będziecie mogły dalej żyć. Możecie pić alkohol na imprezach, bo wasza młodość musi być podlewana. Nikt nie będzie miał pretensji o nową drogę życia, bo co ma tak ta dziewczyna siedzieć i oplakiwać?

A Klan Wdów płonie na tym stosie każdego dnia, spalając się na węgiel i rodząc na nowo. Każdego poranka, wtulone w poduszkę, pachnącą jeszcze wodą po goleniu nieżyjącego chłopaka, spalają się od nowa.

Czarne Wdowy, czarne ptaki z podkrążonymi oczami, starannie zakamuflowanymi fluidem. Żeby nikt się nie litował, żeby wszyscy dali święty spokój pytaniom, żalom i wspomnieniom, które istnieją tylko dzięki nagłym przeblysłom światów równoległych, gdzie toczą się historie na przekór logice. Wbrew linearnej czasoprzestrzeni, która nie ma już możliwości zastosowania. Spędzamy zatem chwilę ze zmarłym i nie chcemy przestawać, chociaż doskonale wiemy, że nie będzie ciągu dalszego. Odkrycie tych światów jest wielką ulgą dla wszystkich żałobników. Oczywiście, nie każdy może je odkryć, niektórzy pewnie by chcieli, ale inni niepotrzebnie by się zdenerwowali. Że jak to, co za rzeczywistość, czyżbym zwariowała, odbija mi, o matko! Zaraz terapia, a pani siedzi na krześle i tłumaczy „musi pani pozwolić sobie na płacz”. Ale weź i płacz w robocie, nagle, nad komputerem. Albo w kolejce do kasy. Ludzie pomyślą, że wariatka. Zaczną wypytywać albo odwrócą twarz.



nie, zdecydowanie równoległe światy są dla najsilniejszych. Tylko dla tych, którzy potrafią przyjąć na siebie ciężar wiedzy i odpowiedzialności za swoje uczucia. Uczuć tych się nie wstydzić i nie peszyć na ewentualne nowe stany, które nie są przecież efektem choroby psychicznej, a tylko wybawieniem z mroku rozpacz. Są dla nas wspaniałym prezentem. Po odkryciu, że możemy znowu spotkać się z najbliższym, czujemy się, jakbyśmy wygrały nagrodę, zostały wyróżnione. Od tamtego czasu chodzimy na cmentarz z radością, z ulgą. Rzucamy do płyty nagrobnej „cześć, witaj, opowiem ci, co u mnie”. I zaraz zwyczajne zapalanie zniczy staje się niedzielną wizytą na obiedzie. Można wtedy wstać w nocy, w ciemnym mieszkaniu i spojrzeć zmarłej osobie w twarz. Nie bać się, tylko uśmiechnąć i nie zwariować od tego. Wcale się tego nie wstydzić.

Co u ciebie?, pyta koleżanka.

A u mnie nic.

Spuchnięta skóra

Wytoczyły się z baru nad ranem i od razu wdały się w jakąś pyskówkę. O co chodziło? Oczywiście o nic, drobiazg, fikuśny dodatek do przebywania w przestrzeni publicznej. Bo jednej z nich wydawało się, że to idzie taki jeden, co ją kiedyś klepnął pijany w tyłek. Ona nie zdążyła mu oddać, bo spieszyła się do pracy, ale zapamiętała twarz. Na przyszłość. Bardzo dobre jest takie powiedzenie: co się odwlecze, to nie uciecze, co w wolnym tłumaczeniu brzmi: będziesz wleczony i już nie uciekniesz.

Czego się gapisz, kurwa? Ja? No, a kto, ja? Ale że ja? No ty, mówię przecież, nie widzisz, że sobie porządnie idziemy i nikomu nie wadzimy, więc, kurwa, o co ten grymas, o co ten dąs?!

I koleś stanął, zdębiał, bo nie wiedział, czy ma bić te dwie dziewczuchy, czy machnąć ręką i odejść. Zanim zdecydował, co wybrać, już zarobił z główki.

Ale zaaa cooo? Zakrwawiony domagał się sprawiedliwości na bruku przy Dąbrowskiego.

Otóż, tak się składa, za wszystko, szanowny panie.

*

Gdyby każda kobieta tak miała swoje słowa gdzieś wewnątrz, z głębi ukrywanej frustracji, a potem nagle rzucała je przez furtkę zębów, gdzie tylko pisk nieoliwionego zamka. O, to w mig wszyscy by byli ugotowani, nie mając nic do powiedzenia. Patrząc przed siebie bez szans.

I dziewczęta wyjęty z torebki chusteczki z wyhaftowanym HWDP – krzyżkiem! – i otarły sobie spracowane rączki. Ciężka ta robota, nie ma zmiłuj. I tylko dniami i nocami człowiek się naparza, a żeby za to choćby jaki grosz był. Może jakieś dofinansowanie z Unii na to jest, może realizacja projektu „Rewitalizacja ludzi zagrożonych debilizmem” działanie 666, gdzie liczba beneficjentów nieokreślona, gdyż stale zmieniająca się, z tendencją rosnącą.

Ale nikt nie płaci za ratowanie świata, to już sobie można na plus zaliczyć, że jest to aktywność wolontaryjna i dożywotnia. Bo to z wiekiem nie mija, z tego się nie wyrasta na rzecz dorosłości. Tak, tak, nawet stare babcie potrafią dowalić laską czy balkonikiem stopę w sandale przejechać. Na pohybel!

Ileż to już razy ktoś je pytał „czemu?”. Za co, po co, gdzie on winny, to nie on, to kto inny. Ale dziewczęta spokojnie wyjaśniały i na wszelkie wątpliwości miały odpowiedź. Należało się, widocznie się należało, skoro w naszej kartotece wyładował. Skarg i zażaleń nie ma sensu kierować, a ewentualne bileciki zapraszające na ustawki przyjmujemy tylko w ostateczności. Tylko my zapraszamy do zabawy. Tutaj obowiązuje białe tango.

Bo trzeba mieć swoją dumę i swoje zasady. Każda elegancka kobieta je ma i się ich trzymać powinna.

Zgadając się ze sobą i złorzecząc na ludzi bez wychowania, dotarły na Puławską. Spotkały tam koleżankę, bo to już była prawie ósma rano, czas ludu pracującego do przemieszczania się w stronę pracodajni.

Koleżanka początkowo ich nie zauważyła, tak była pochłonięta sobą.

Jestem chyba ładna, powiedziała do siebie Stefania Karwowska, stojąc przed szybą. Dla pewności przekręciła głowę w prawą stronę i zerknęła raz jeszcze w odbicie. Wokół jej twarzy kłębiły się wyjątkowo ładne kapelusze leżące w witrynie sklepowej „H. Matuszewski i syn”. Kolorowe filce, eleganckie woalki i zabawne koczki. Wszystko to sprawiało, że twarz Stefanii wyglądała jak z zagranicznego prospektu. Patrząc na siebie z zadowoleniem, czuła niemal ten specyficzny zapach błyszczącego papieru, słyszała delikatny szelest cienkich kartek katalogu. Mimo woli westchnęła rozmarzona. Być taką modelką, przebierać się pięć, albo nie, dziesięć razy z rzędu. Rozpyłać wokół siebie najdroższe perfumy, ach. Cudownie.

– No siemano, Stefa, co tam u ciebie?

Odrzuciła się do nich i od razu spieszyła. Pod okiem miała fioletowy siniak, który nieudolnie próbowała zamaskować pudrem. Do tego na górnej wardze widać było świeży szew.

– Och, to wy, dzień dobry, ładna pogoda, wprost nie mogę oderwać wzroku od tych cudnie kobiecych. Powinnyście sprawić sobie jakieś letnie kapelusze. Zobaczycie, raz założycie i nie będziecie mogły wychodzić już bez nich. To dodaje charakteru całej twarzy, to... to – szukała słów Stefania, ale tak naprawdę próbowała zakryć wstyd, takim pudrem ze słów.

Jeszcze Celina zamruczała, że kapelusz niewygodny, bo jak się przekrzywi, to napastnika nie zobaczysz i woalka spadnie na oczy, ale Halina tylko:

– Kto ci to zrobił i gdzie on teraz jest?

– Nie, nie, nic się nie stało, zacięłam się przy goleniu, naprawdę, tak sobie te łydki goliłam i się zagapiłam, aż mi zjechało na twarz, tak bywa.

Stefania lubiła wyglądać ładnie. Rodzice kupili jej salon kosmetyczny, gdzie było solarium, fryzjer i tipsy. I Stefcia miała na sobie wszystkie możliwe zdobycze techniki upiększania, tak że naprawdę można było uwierzyć, że depilacja doprowadziła jej oczy i usta do całkowitej ruiny. Tylko że ślady po biciu stawały się powoli makijażem permanentnym, no, a tego w salonie nie mieli w usługach.

Te wszystkie modnie z fioletowymi oczami bawią się wieczorami w „pobite twarze, pobite twarze – zamawiam!”. Jak któraś nie dobiegnie do telefonu, aby zadzwonić na policję, to oprawca tak właśnie krzyczy. Zbliżając się do swojej ofiary, cedzi „raz, dwa, trzy – z gry odpadasz właśnie ty!”. I ona odpada, a raczej pada na podłogę, na ścianę, gdzie tam prawo fizyki ją akurat rzuci, i myśli sobie „ene due rike rabe przyjmą zgłoszenie czy oleją sprawę?”. Wyobraża sobie, że przez otwarte okno wleci jakaś superbohaterka i porwie ją w ramiona. Szepnie do ucha „poleć ze mną do krainy Niby-Niby, gdzie na mięciutkiej trawie będziesz plotła wianki z mleczy”.

Jak ja lubię pleść wianki, zupełnie o tym zapominałam, a tu ciosy i kopniaki za wszystko źle, wszystko nie tak. Stefania ma w domu dwójkę dzieci i naprawdę nie chce, aby się obudziły, kiedy tatuś rozmawia głośno z mamusią. Stara się więc nie krzyżeć, być cichutko jak mała myszka. Ból rozrywa głowę na pół, iskrzy na wszystkie strony, ale grunt to savoir-vivre i nieepatowanie swoim nieszczęściem. Potem Stefania kładzie się w małżeńskim łóżu i myśli sobie: Co ja na jutro im ugotuję, no co ja zrobię na obiad? Zupa była, drugie danie było, ale na deser – brak pomysłów. Może ugotuję siebie, przyrządzę się na słodko-gorzko. Zamarynuję, zagotuję, podsmażę i posypię ziołami. Będzie obiado-matka na niedzielę, jak znalazł. Będzie smacznie i ekologicznie.



Kobieta patrzy coraz bardziej przezroczystym wzrokiem, kiedy Halina z Celiną coś do niej mówią. Chyba jakieś pijane, chyba jakieś obce są te koleżanki. Co one do mnie mówią, co one wiedzą? One nie wiedzą o mnie nic.

Pochylają się jeszcze nad nią, przytulają i mówią: „Ty się nic nie martw, my to wszystko załatwimy”. Odchodzą.

A Stefania odwraca się znów w stronę witryny sklepowej i podziwia kapelusze. Ręczna robota, solidna i ten modny fason. Ciekawe, czy mają też woalki zasłaniające całkowicie twarz. Ciekawe, czy szyją kwefy na zamówienie.

W drodze powrotnej Celina nic nie mówiła, tylko ścisnęła z wściekłości dłonie. Na twarzy nawet żyłka nie drgnęła, ale dłonie pracowały. Gdyby ktoś miał je namalować, to użyłby samej czerwieni. Krwistej czerwieni.

Halina wyczuwała nastrój towarzyski. Czuła się lekko pijana, starsza o dwadzieścia lat. Mimo zmęczenia i coraz bardziej ciężącego brzucha nuciła sobie pod nosem, aby jakoś umilić drogę powrotną.

Ochota, Żoliborz, Bródno

Tak tu nudno, nudno.

Sadyba, Szmulki, Śródmieście

Kiedy to się skończy wreszcie?

Jelonki, Powiśle, Żerań

Chyba umieram, umieram.

Wola, Czerniaków, Okęcie

Jestem na zakręcie.

Praga, Targówek, Mokotów

Dość mam tych kłopotów!

Włochy, Ursus, Młociny

Pomszczą mnie dziewczyny.

Doszły do rogu Puławskiej i Narbutta. Tramwaje wracały po raz kolejny z pętli i wiozły zniecierpliwionych pasażerów. Jeden z nich spojrzął w stronę dziewczyn na rogu i zawołał przez przymknięte okno: „Ej, za ile mi zrobicie laskę?”. Znużona Celina, nie patrząc nawet w stronę torów, pokazała środkowy palec. To wyraźnie rozsierdziło amatora erotycznych przygód, bo zaczął walić w szybę, krzycząc coś o kurwach. Celina jednym ruchem chwyciła kawałek odłupanego chodnika i rzuciła w stronę tramwaju. A rzut miała dobry i złoty medal z miejskiego survivalu, tak że szyba rozbiła się w drobny mak. Chłopak ostudził swój zapał i zajął się opatrywaniem pokaleczonej twarzy. Maszynista ruszył na zielonym świetle, nawet

na chwilę się nie zatrzymując. Jeszcze jest tak rano, kto tu będzie zajmował się awanturami. Udajemy, że nie widzimy.

Celina spojrzała w oczy koleżanki.

– Dobrze się czujesz?

– Ja, naturalnie, ciąża wzburza hormony, hormony wzburzają krew, krew szybciej płynie i człowiek czuje się jak na speedzie.

– Czyli widzimy się jutro pod domem Stefanii, dobrze?

Halina jakby natychmiast wytrzeźwiała. Nic nie mówiąc, kiwnęła potakująco głową i machinalnie poprawiła sprzęt za paskiem.

– Jej mąż wychodzi do pracy około siódmej rano. Bądźmy tam chwilę wcześniej, na wszelki wypadek. Przy Kazimierzowskiej, obok poczty. Na pewno dasz radę?

– Nie denerwuj się. Będę, póki jeszcze mam siłę zwlec się z łóżka. Nie można zostawić tak koleżanki na pastwę psychopaty. Ale... – tu zawahała się trochę – czy my go tak do końca, no wiesz... Oni mają dzieci. A jak będzie je akurat odprowadzał do szkoły?

– Przecież są wakacje, przyzwyczajaj się do takich niuansów. Poza tym ten gnój pewnie nie pamięta ich imion, więc nie sędzę, aby był na tyle troskliwy, żeby odprowadzać je gdziekolwiek. Dobra, nie przedłużajmy. Śpij dobrze i do zobaczenia.

Pożegnały się i Halina powoli wróciła do domu. Otwierając drzwi od klatki schodowej, spojrzała w stronę swojego mieszkania. W oknie świeciła się niezgaszona lampka w kuchni. Domowo, mieszczańsko, dobrze na ten dzień, tak musi być zawsze, pomyślała. Ledwo wspięła się na pierwsze piętro. Nogi spuchły niczym balony napełnione wodą.

*



Na progu czekał już Antek.

– Martwiłem się o ciebie. Załatwiłaś wszystko?

Halina bez słowa przytuliła się do chłopaka.

A potem westchnęła, odeszła od wiszącej na kołku kurtki i pogładziła ją delikatnie. Położyła się zmęczona do łóżka.

Obudził ją hałas dochodzący z sąsiednich bloków, które górowały nad okolicą niczym wieże stereo. Bum, bum, lecą obcasy po schodach, ludzie się kłócą, trzaskają drzwi, czy to nie można ich normalnie zamknąć, czy nie można sobie kupić jakichś bamboszy, tylko tak walić tymi szpilami ludziom nad głowę? Kiedy oni odsypiają nocne roboty, kiedy są zmęczeni.

Na drugi bok, poducha na ucho, ale nic nie pomaga. I jeszcze szczekający pies, który drze się pod oknami. Popędza swojego właściciela, żeby szybciej obsikać drzewka przy Puławskiej. Kradnie się w takich chwilach sen, wskakuje jak do tramwaju, tuż przed zamknięciem dwuskrzydłowych

drzwi. I znowu młot pneumatyczny, czyli budzik. Dlaczego wszyscy się uwzięli?, tym powinno się zająć jakieś stowarzyszenie do walki z hałasem.

Spojrzała jednym okiem na zegar. Dobrze, ewentualnie, ale tylko na próbę, może wstać i iść do kuchni zrobić sobie kawę. Ewentualnie, podkreśla, i dlatego ta łaskawość poranna, gdyż kocha swych poddanych i daje szansę temu światu.

Która godzina? Prawie siódma, zaraz, siódma to była, jak się kładłam.

Akcja, przecież już pora!

Błyskawicznie się ubrała i złapała w biegu starą kanapkę, którą natychmiast wyrzuciła z obrzydzeniem, bo chodziło po niej sto robaków i dwieście pleśni. Poklepała się jeszcze po brzuchu, jakby chciała sprawdzić, czy nadal tam jest.

Już była na ulicy, wystrzeliła jak z procy po schodach, przez drzwi, turkocząc do taktu starymi butami. Minęła kościół i małe sklepiki i za kilka chwil ukazała się jej Kazimierzowska w pełnej krasie. Jeszcze porannej, niewyspanej, gdzie ziewający właściciele psów zbierali niemrawo kupy z trawników.

Z oddali dostrzegła Celinę opartą o barierkę schodów przy poczcie. Halina pozostała na swojej stronie chodnika i próbowała przyspieszyć kroku. Za dwie minuty siódma, jest na styk, co za porażka, na akcję trzeba przychodzić wcześniej, na wszelki wypadek, to nie zabawa, tu sprawa jest poważna. Celina dostrzegła ją i ruchem dłoni pokazała, co myśli o spóźnialskich.

Dosłownie w tej samej chwili otworzyły się drzwi klatki obok i wyszedł z nich mąż Stefanii, Andrzej. Andrzej Karwowski, lat czterdzieści jeden, ubrany w garnitur wersja „jest gorąco, bo lato, ale w biurze mamy klimę”. Przełożył neser i wyjął z kieszeni kluczyki od samochodu. Ti-ti, wyłączenie alarmu samochodowego, poranny hejnał wszystkich kierowców. Mąż Stefanii poszedł w stronę Madalińskiego. Pierwsza zaczęła go Celina.

– Dzień dobry, pan mnie poznaje?

– A, to, to koleżanka żony mojej, umiłowanej małżonki typu worek bokserski. Dzień dobry – kłaniał się wesoło mężczyzna.

Za nim stanęła, posapując, Halina. Przedstawiła się, uśmiechnęła nawet, bo grunt to dobre wychowanie i nie zapominajmy o tym.

Kiedy gra wstępna i small talk były już za nimi, a Andrzej wyraźnie dawał do zrozumienia, że się spieszy, Celina poprosiła, żeby zawiózł je do centrum. Jadą na badania, koleżanka sama nie dojdzie, taka zmęczona, taka zaciążona.

Co miał robić, zabrał dwie panie do swojego autka z choineczką zapachową, z pieskiem kiwającym główką na tylnym siedzeniu, z GPS-em prowadzącym go obecnie na pewną śmierć. Głos seksowny mówił mu: „Skręć w lewo, uciekaj, póki możesz. Za jeden kilometr umrzesz”. Tylko że pasażerki rozmawiały tak miło, nawet trochę się przekomarzały, chwaliły samochód. Uuu, o samochodzie to on mógłby godzinami.

A dlaczego pan ma takie duże siedzenia?

Żeby się nam wygodniej siedziało.

A dlaczego pan ma taką wielką kierownicę?

Żeby mi bicepsy się prężyły.

A dlaczego pan ma taki ogromny silnik?

Żeby szybko skończyć tę grę!

Kiedy mijali Pola Mokotowskie, siedząca na przednim siedzeniu Celina wyciągnęła pistolet i przystawiła lufę do czaszki Andrzeja. – Skręcaj w Batorego – już!

Pan skręcił automatycznie; jeszcze próbował się wyrwać, wyskoczyć z pędzącego samochodu, ale to tylko w filmach takie proste, w naturze bezcelowe i tragiczne. Bo jakby otworzył drzwi i przeokoziłkował na ulicę, to po drodze Celina nacisnęłaby spust. To nie miało sensu. Zatrzymali się na parkingu niedaleko placu zabaw. Dziewczyny musiały jeszcze przez chwilę prosić o otworzenie drzwi, bo to naprawdę nie przystoi zamykać się na centralny zamek, gdyż pogoda ładna, szkoda dnia, żeby siedzieć tak w aucie. Wysiedli. On i one. Co się stanie? Będzie rozmowa.

– Wiesz, dlaczego tu jesteście? – wycharzczała wściekła Halina.

– Nie, absolutnie, nie mam pojęcia, jestem niewinny, to jest napad, ja miałem piątkę z matmy na maturze, to jest pomówienie, spotkamy się w sądzie, ja sobie wypraszam!

Mężczyzna przypominał sobie nerwowo telefon do policji, do pana Boga, do mamuni, ale znikąd pomocy, on to wiedział. Jego twarz tężeła z paniki, najwyraźniej zasady o odwadze silniejszej niż strach nie słyszał. Trząsł się teraz zupełnie jak uczeń przed tablicą, taki był umorusany tym strachem, jak dzieciuch jedzący czekoladę.

Dziewczyny stanęły obok niego i z wycelowaną bronią prosto w jego serce powiedziały:

– W imieniu Kobiet Podziemnych, bitych i torturowanych wykonujemy na tobie wyrok zemsty. Raz, dwa, trzy, wychodzisz z gry.

Mężczyzna zestresował się jeszcze bardziej, chyba nawet posikał, bo przed nim dwie wariatki inscenizowały sensacyjny film.

Jakaś tutejsza Thelma z Louise stały oto z odbezpieczonym pistoletem i nie była to raczej fikuśna zapalniczka. Może im zapłacić, może je zagadać.

Nie było jednak czasu na pogawędki, gdyż Halina zrobiła się głodna.

– Głodna jestem – powiedziała tuż po uroczystej przemowie, więc Celina szybko uderzyła. Przez zmiętoloną marynarkę Andrzeja, żeby nie płoszyć ptaków z Pól.

Stały przed samochodem i okładały półprzutomną ofiarę metalowymi rurkami. Po wszystkim schowały go do bagażnika, zamknęły samochód, a kluczyki wrzuciły do śmietnika. Już miały podpalić wszystko, na wszelki wypadek. Rzuciły nawet szmatę pod podwozie. Nie za bardzo chciała się palić, zostawiły ją więc, bo nie ma co przesadzać w chwilach zemsty, żeby nie stać się własną karykaturą. Umiarkowanie, ot co. To się zawsze przydaje.

Odwróciły się od samochodu i poszły do domu piechotą.

Za nimi słychać już było syreny policyjne.

– Jak mogliście mi to zrobić!

Stefania chodziła nerwowo po pokoju Celiny i paliła papierosa. Papierosy zawsze pomagają, bo przynajmniej człowiek czuje, że coś jeszcze robi oprócz denerwowania się. Można przekładać fajkę z ręki do ręki, wypuszczać dym, osnuwać się nim. Można się w tym dymie zatracić, schować.

Papierosy jak koło ratunkowe w sytuacjach bez wyjścia, jak erzac rozwiązania i jedynie słusznej pointy.

Stefania przybiegła od razu po przesłuchaniu na policji, kiedy znaleźli samochód z zamkniętym w bagażniku Andrzejem, który po

oprzytomnieniu dobijał się ze środka.

Teraz rozzłoszczona żona awanturowała się już od kwadransa, nie dając dojść do słowa dziewczynom.

– Jak mogłyście to zrobić i napaść na mojego męża – przecież to ja miałam się zemścić! Już nawet sobie przygotowałam nóż, już sobie przygotowałam cały plan. Nóż z telezakupów specjalnie wyostrzony na wszelką krzywdę, z różową rękojeścią. Czy wy wiecie, jakie to uczucie, kiedy człowiek się nie zemści. Co wy sobie wyobrażacie? Dlaczego pozbawiłyście mnie tej satysfakcji, tego cudownego uczucia wsadzania ostrza aż po samą rączkę. Będę chodziła do końca życia w poczuciu niespełnienia. Wrażenie, jakby wyjść z domu i nie być pewną, czy się czegoś nie zapomniało: zgasić ogień pod garnkiem, zamknąć okno na wypadek burzy. Coś miałam zrobić... I nagle sztylet przebija serce – zrobić już tego nigdy nie będę mogła.

A do tego cóż to za metody? Jakieś strzały, podpalanie. Czy nie można go było zwyczajnie tortuować, tak najlepiej kilka dni? Oskalpować, przypalać, połamać wszystkie kości i patrzeć, jak zdycha. Zbyt dobre byłyście dla niego, zbyt dobre jak na takiego złego człowieka.

Czyn wasz był efektem źle pojętego siostrzeństwa i tak naprawdę spełnieniem egoistycznej zachcianki rozprawienia się ze złem. Czemu uczucia biednej matki się nie liczą? A co, jak już żona, to ma być pozbawiona praw? – Stefania nie mogła się uspokoić, widać było, że każde kolejne słowo nakręca ją jeszcze bardziej.

Tylko zemsta może uratować wszystkie sprzątające kobiety w walkach, w podomkach, w uwięzieniu między odkurzaczem a pralką. Tylko wendeta śniadaniowa, pokawowa, nagła potrafi idealnie zaspokoić rozedrgane zmysły. Można do niej zaprosić inne osoby, czemu nie, przygotować „zemsta party”, ale należy w nim uczestniczyć. W innym razie nie jest to pełna zapłata za doznane krzywdy. Niezbyt satysfakcjonująca.

*

W końcu Stefa nieco się uspokoiła i stanęła w miejscu, patrząc przez okno na czubek Pałacu Kultury wystający zza horyzontu jak jakiś górski szczyt. Nic nie mówiła, cisza świdrowała powietrze i odbijała się od ścian.

Dziewczyny czuły się jak na dywaniku u dyrektorki. Nie było sensu nic mówić, bo i tak wszystko przemawiało przeciwko nim. Bąknęły nieśmiało, że to miał być taki urodzinowy prezent, że myślały o tym jak o jakiejś frajdzie, niespodziance.

Na to Stefcia prychnęła i powiedziała, że wybór śmierci swojego kata to jak zapach perfum – sprawa indywidualna i prezentów nie ma co robić, bo zawsze pudło.

– No nic – dodała po chwili, jakby zmieniona. – Czasu cofnąć się nie da, trzeba żyć dalej.

I, nieoczekiwanie dla pogrążonych w poczuciu winy koleżanek, zaprosiła je wieczorem do siebie. Mąż przebywał w szpitalu, ale miał kolekcję whisky, można ją wreszcie wypić. Halinie uśmiechnęły się oczy, dostrzegła jednak srogą minę Celinki i szybko powiedziała, że nie ma dziś czasu. Obowiązki natury matczynej, szkoła rodzenia mianowicie.

Stefcia niedbale machnęła dłonią. Ech, rodzenie, bez przesady. Przyj, nie przyj, oddychaj, nie oddychaj i już dziecko na świecie. Potem karmić, zmieniać pieluchę i ani się człowiek obejrzy, a dziecko maturę robi. Zapaliła papierosa, spojrzała na ciężarną, zgasiła szybko i pożegnała się. Postanowiła nie otwierać dziś zakładu pracy, tylko jechać na zakupy. Planowała kupić sobie wymarzoną sukienkę, uważała, że to będzie idealne zwieńczenie całej sytuacji.

Po jej wyjściu dziewczyny zaczęły gotować obiad. No bo co innego można zrobić, kiedy tyle ma człowiek problemów na głowie.

Cięły energicznie cebulę, siekały koperek i rozgniatały czosnek. Ich wprawne dłonie z taką samą szybkością miały pieprz co ludzkie ciało. Stare przysłowie gospodyń domowych mówi, że jeśli umiesz upiec ciasto, poradzisz sobie z każdym zabójstwem.

Rozmawiały chwilę o tym, co się stanie, jeśli policja trafi na ich trop. W końcu zaczęły działać coraz bardziej spektakularnie. Już nie pod osłoną nocy, a w biały dzień. Nie w zaułkach, a na widoku.

W tej profesji należy liczyć się z elementem ryzyka. Kłopoty z prawem są wpisane w umowę. W związku z tym im również może powinąć się noga, ale wizja porażki nie powinna mieć wpływu na podejmowane decyzje. Trudno, to sobie posiedzą! Ale zawsze warto walczyć, warto podejmować ryzyko herbu Adrenalina.

Ktoś tu kogoś spalił

Po obiedzie przeszły się w stronę rogatek na placu Unii Lubelskiej i kupiły sobie po bukietku kwiatków. Tak na szczęście.

– Dziś już chyba nikogo nie skopiemy, co? Za ładnie słońce świeci, zbyt ładnie wyglądają te kamienice wokół nas.

I tylko te śmieci, no, ale one też mają swoją historię.

Domy, cegły, mury ciągnące się kilometrami po ulicach. W nich zarośnięte postacie czające się w bytowaniu. Śmietniki warszawskie zamieszkałe są przez niekończące się odpadki miasta. Nie są one przyporządkowane konkretnym grupom społecznym, chociaż, oczywiście można by pokusić się o interpretacje, analizy. Więcej będzie na przykład torebek Aro w okolicy akademików, a znowu Alma 24 przy strzeżonych osiedlach. Opakowania po wyrobach z Biedronki częściej spotkamy na wielkich blokowiskach niż przy koloniach Starej Ochoty. I tak dalej. Zawsze jednak tony, fury tradycyjnie niesortowane przewalają się codziennie i zjadane są przez pomarańczowe śmieciary uzbrojone w metalowe zęby. Jeżdżą takie, skręcają w wąskie uliczki i łupią śmietnikami od szóstej rano.

Grzmot, trach, pudło do góry. Rumor wywalanych strumieni odpadków znika w brzuchu mielącej maszyny. W jego środku butelki, puszki i sterty makulatury uderzają o siebie nawzajem i nie chcą chodzić na paluszkach. Młocą, wierzgają, jakby nie chciały pogodzić się z tym, że to ich gehenna przed cmentarzyskiem w postaci hałd, szczytów wysypisk. Jak niepoliczalna masa, jak świat bez początku i końca. Nie możemy się opanować, kupujemy, wyrzucamy, znowu kupujemy. Szewc kręci głową, bo teraz balerinki kosztują pięćdziesiąt złotych i ścierają się po trzech miesiącach. Nie ma sensu wstawiać im nowej podeszwy za piętnaście złotych, bo zetrze się również czubek i w krótkim czasie trzeba będzie kupić nowy but. Po prostu, znowu po taniości – przecież zaraz się zepsuje.

A zresztą, co tam but. A komórka? Co dwa lata nowa, w abonamencie. Już nie wiadomo, co robić z tymi wszystkimi modelami, bo psują im się coraz częściej przyciski i wysiada bateria. Leżą potem w szufladzie te niemodne trupy, zastąpione nowym modelem, któremu wbudowali lodówkę i laser do zabijania niechcianych rozmówców. Po kolejnych porządkach wyrzuca się więc rżęcha, który miksuje się z resztkami z obiadu i kurzem z bezworkowego odkurzacza.

Na wieczne zapomnienie i na wieczne niekupienie.

Najlepszymi znawcami śmietnikowych skarbów są nurkowie, którzy buszują codziennie w kontenerach, korzystając z tego, że jedni są bogaci, a drudzy biedni. Że jedni nie potrzebują, a znów drugim się przyda. Reakcje łączone, łańcuchy wzajemnych zależności, podtrzymują tkankę miejską w należytym porządku. Na nurków można zawsze liczyć, bo nikt tak jak oni nie zna tylu sekretów.

I wtedy, w czasie letniego spaceru, wyłoniło się zza rogu dwóch panów objuczonych siatami. Jeden miał w swojej torbie na kółkach puszkę, a drugi ciągnął za sobą starą rurę.

– Uszanowanie paniom kierowniczkom.

Sklonili się nisko i z szacunkiem. Dziewczyny były znane w okolicy i cieszyły się estymą. Bo choć miały wielu wrogów, to w podwórkowej hierarchii ich odwaga i szybki cios liczyły się bardziej niż prywatne animozje.

Uszanowanie nurkom, a czemu nie.

– Czyście już, dziewczyny drogie, słyszały okrutną historię z naszej kamienicy? Co to się teraz na świecie dzieje, ludzie kochane!

– A nie słyszałyśmy, co tam?

– Niestety, prawdziwa katastrofa. Wyburzać chcą nasz dom przy Chocimskiej, właściciel już ludzi wygania, bo pod koniec lata jak nic na tym samym miejscu stać będzie biurowiec na sto pięter.

– Sto pięter? Jak to, gdzie? Przecież wasza kamienica zabytkowa, dwa lata temu burmistrz obiecał, że nie ruszy okolicy, bo chce zachować „tradycyjną tkankę miejską w postaci kamienic przedwojennych”. I teraz co?

– No właśnie, z przeproszeniem, to. Ludzi straszą, żeby czym prędzej opuszczali mieszkania. Jedna Jolka z pierwszego piętra swoje życie straciła przez to wszystko, bo wyprowadzić się nie chciała, to ją niezłani sprawcy – akurat! my już wiemy kto! – do lasu wywieźli i żywcem spalili. Takie miało to być ostrzeżenie dla reszty, żeby nie pytała, tylko spierdalała na zastępcze lokum gdzieś za Piaseczno. Mówię wam, co tu się teraz dzieje! Przecież to rodziny z dziećmi, staruszki, my wszyscy. I jeszcze ta Jolka, kobita bidna, co ona winna, że chciała na swoim mieszkać.

I panowie zamyśliли się, a w zadumie beznamytnie przesyrywali nagromadzone śmieci z worka na ulicę i z powrotem. Dziwna cisza zapanowała, bo i cóż powiedzieć, kiedy miasto się zmienia, Warszawa goni za nowoczesnością.

Żeby tak spalić ludzi jak w średniowieczu, coś podobnego! Rzeczywiście, w gazetach pisali, że był taki wypadek. Wszystko zrobią dla tych nowych domów, co to stare ostańce miasta wypychają jak stałe zęby młeczaki.

Chryzantemy złociste, oczy szkliste, barwny głos, który nie jest w stanie odbić się od starych murów powleczonego szlamem wojen, przebudowy, odnawiania i ocieplania. Dom widmo, dom z podartą skórą, pod którą czai się małe źródelko krwi. Do czasu, kiedy ktoś to źródelko zamiesza upadkiem, rozbryzga nagłym uderzeniem.

Kruszy się cegła, wychyla zapach z przeszłości, który osnuwa czas teraźniejszy i nic już nikogo nie obchodzi, że stan obecny niby lepszy, bardziej bezpieczny i zdrowszy. Bo smród historyczny zakłóca, dyszy nad karkiem i zgina go w dół jak przy strasznej walce.

Warszawa goni za nowoczesnością, a że po trupach goni, to nie pierwszy raz przecież i szkoda gadać.

Ale dziewczyny gadać, komentować chciały, a czemu nie. Oburzone, wściekle wręcz, zaczęły dopytywać się o szczegóły. Kiedy spalenie, kiedy wysiedlenie i, przede wszystkim, imię i nazwisko kamienicznika złego.

– A żeby to tylko kamienicznik – niby jest właścicielem dwóch domów, ale on, oprócz tego, firmę deweloperską ma i przekręty na gruntach robi.

Podpalił willę Chowańczaka dwa lata temu, żeby za bezcen tereny przy pałacyku Szustra wykupić. A teraz swoje własne domy chce burzyć, żeby wybudować szklany dom, cwaniak jeden! Podpisał umowę z zagranicznym konsorcjum, potem im sprzedał swoje udziały i teraz kupę kasy zgarnie za sprzedany teren. A tamci znani z tego, że niczego nie szanują, tylko biurowce budują i zero dla ludzi miejsca mają. Tylko dla robotów. Szkoda, że wszystkich nas w tych mieszkaniach nie podpalił ten właściciel i jeszcze odszkodowania od trupów nie zażądał!



Dziewczyny dowiedziały się jeszcze, że facet nazywa się Kossakowski i znany jest ze swoich lewych interesów. Halina od razu skojarzyła mężczyznę – ten, co chciał wyburzać jej dom na Narbutta. Widziała go wtedy, na zebraniu. Niepozorny maniak. Antek się wkurzył i mu potem przebił opony. Znaczący się, nieznani sprawcy przebili, ma się rozumieć.

I co teraz będzie z tymi wszystkimi domami? Fakt, zniszczone są, do remontu się nadają. Ale czy od razu trzeba je burzyć? Biedna Warszawa, niedługo zamiast mieszkań będą biurowce, kolejne oddziały banków i punkty dla kredytobiorców. I zamiast do warzywniaka co najwyżej po polisę będzie można iść. Polisę na jedzenie. Na wodę i powietrze.

Pokolenie W, pokolenie miłośników Warszawy ociera łzy wierzchem dłoni.

Oddalili się z miejsca spotkania smutni lumpowie, ciągnąc swoje skarby do skupu. Dziewczęta popatrzyły na siebie i wiedziały już, co robić. I z kim.

Między szpitalem a balkonem

Zanim jednak wzięły się do roboty, to jedna z nich, mianowicie Halinka, udać się musiała na zajęcia do szkoły rodzenia, mekki brzuchatych, rozanielonych kobiet bez makijażu, które napuchniętymi dłońmi podtrzymywały sobie piłkę niczym kulę do wróżenia.

Przeszła na Madalińskiego do szpitala. W salce do zajęć unosił się charakterystyczny zapach lecznicy i odświeżacza do powietrza. W korytarzu czekało już kilka małżeńskich par przebranych w dresy i legginsy. Nie mieli na sobie nic, co krępowałoby ruchy, tak niezbędne do symulacji porodu. Halina czekała na swoją mamę, która wpadła w ostatniej chwili i wyglądała na szalenie przejętą. Czuli się niczym szpieg z Krainy Deszczowców, który niechcący znalazł się na popołudniowej herbatce. Ach, więc to jest laktator, doskonale, a tu wanienska do mycia dziecka i przewijak do zawijania w rożek. Niby mama też kobieta, ale jednak sprzed pokoleń, wszystko było dla niej nowe, na świeżo.

Ze skupioną miną próbowała oddechu przeponą. W razie czego i za nią urodzi, co to dla niej, w końcu chce pomagać, da radę, dla córeczki zrobi wiele.

Szkoły rodzenia jak tajne spotkania sekty. Specyficzny język, wyrażenia tajemne: mięśnie Kegla, przepona i kryzys dziesiątego centymetra. Twarze ciężarnych, nieumalowane, zmęczone, opuchnięte. Chód ciężarnych, rozkołysany, powolny. Pani prowadzi zajęcia, no to może tatusiowie teraz tutaj podejść, o właśnie, gdyż będziemy uczyć się czego? Ka-pa-nia. Tak! Wykąpiemy dzidzusia w waniencie. Najpierw trzeba sprawdzić łokciem, czy nie za gorące, żeby dzidzusia nie poparzyć, bo mu odejdzie skórka. Potem musimy pieluszkę włożyć na spód, żeby się maleństwo nie poślizgnęło. I dalejże wlewać hipoalergicznym olejków rumiankowych, lawendowych, uspokajających i usypiających. Niech się to wszystko pieni. O, proszę, to może tutaj właśnie tatuś, jak ma tatuś na imię? Darek. Dobrze, Darku, wlej wodę do plastikowej miseczki i zamieszaj. Dooobrze. Teraz musimy przygotować bobasa do kąpielki. Jest przewijaczek, kładziemy na przewijaczek i trzymamy mocno, aby się dzidzius nie wymusnął na twardą posadzkę w łazience. O właśnie, i żeby rączki nie urwać bobaskowi. Darku, a jak robieramy dzidzie? Po-wo-li. Dooobrze. Brawo, mamusie biją brawo. Kaftanik, pieluszka, kokardka, tasiemka. Dzidzia gotowa. Ręką męską, ramieniem silnym przenosimy golaska do wanienki i pluszczymy. Teraz wszyscy tatusiowie pokazują, jak pluszczą wodą, o tak. Świetnie. Doooobrze. Dzidzia wymyta, należy ją bezpiecznie wyjąć, wytrzeć, ubrać, uspokoić, bo się przecież przez ten cały czas słodkiego pluskania dała. Dzidzia gotowa, ale zaraz – co należy zrobić, aby skórka się nie poodparzała? Nasmarować oliwką, nałożyć krem, opatrzyć strupek po pępowninie. Nie zapominamy, bo to potem są komplikacje. Jak smarujemy dzidzie? Ostrożnie. Dooobrze. Wszyscy czyści, wszyscy żyją. Bardzo dziękujemy tatusiom, a przede wszystkim Dariuszowi, za lekcję. I teraz na pewno już będziecie wiedzieć, jak to zrobić. Brawo, mamusie biją brawo swoim mężom, bo się starali. Dooobrze.



Po tej swoistej paraolimpiadzie zajęcia przebiegają już spokojnie. Pokaz slajdów z powikłań porodowych, filmik z łyżeczkowania i metody cięcia cesarskiego. Następnie w sekcji rodzenia zajęcia praktyczne w kółku, na posadźce. Oddychamy, masujemy, turlamy się na wielkiej piłce, wspieramy. Panowie podtrzymują panie, panie desperacko czepiają się panów. Litości, wołają, zabierz mnie z tej porodówki, ratuj mnie ode złego! Lecz jest już za późno.

Halina starała się dystansować od wszelkich informacji na temat złych scenariuszy porodowych, jednak trudno jej było uśpić wyobraźnię. Co jakiś czas wyobrażała sobie poród dziecka z dwoma głowami, poród dziecka bez głowy. Swój zgon, zgon dziecka, zgon całego personelu szpitalnego i strajk. Próbowwała wtedy myśleć o czymś miłym, ale co chwilę dochodziły do niej informacje na temat zagrożeń i powikłań. Zagrożeń i konsekwencji. Boże, myślała, dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że to takie trudne. Dlaczego nas o tym w szkole, ale podstawowej, nie uczono?

Spoglądała wówczas na swoją mamę, która również przerażona spoglądała na córkę z wyrazem twarzy „jak mogłam przez to wszystko przejść i czy naprawdę było warto?”.

Halina starała się uważnie słuchać wykładu, ale co chwila wybuchała nerwowym chichotem. Kiedy przyszło do zajęć praktycznych i podskakiwania na piłce, musiała wyjść i pośmiać się na osobności.

Stała w ciasnej toalecie i patrzyła w lustro. Halo, koleżanko, masz już trzydzieści lat, czas się ogarnąć. Nie śmiać z cudów natury, tylko zacząć czytać te wszystkie poradniki dla przyszłej matki i wmasowywać krem w brzuch. Bez cellulitis, bez zmarszczek, bez skóry. I jakoś to będzie. Myślała o tym, jak szybko można przeskoczyć od zabijania do rodzenia. Czuliła, że za chwilę popadnie w stan melancholii i snucia rozmyślań. Zbyt niebezpieczne, włączył jej się alarm depresji.

Kiedy wyszła z toalety, czekała już na nią mama.

– Pani mnie wysłała po ciebie – myśleliśmy, że coś ci się stało, że rodzisz już!

Halina pokiwała z politowaniem głową.

– W kiblu to ja nie urodzę. Co najwyżej w czasie bójk.

– Córeczko, chciałam o tym z tobą już dawno porozmawiać. Tak nie można. Musisz zmienić tryb życia, bo to się robi niebezpieczna gra. Złapią cię i urodzisz w więzieniu. Boję się.

– Mamo, mamo, a kto mi całe dzieciństwo kładł do głowy prawdy objawione dotyczące dzielności, hartu ducha i sprawiedliwości. Nic innego wszak nie robię, jak tylko walczę o nią. Jak babcia na wojnie.

– O, kochana – tu mama wyraźnie się oburzyła – babci w to nie mieszaj. Wtedy to były inne czasy, Niemcy byli i słuszne cele. A teraz, za przeproszeniem, z kim ty walczysz? O co, pytam się? Co ty z tego masz?

– Nic. Satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Za twoich czasów był system DoRo – dobra robota, pamiętasz? Według niego po wyrobieniu normy należał się odpoczynek. Ja już trochę wyrobiłam, to po porodzie sobie odpocznę. I tyle. A walczę o to samo, o co walczyli ci wszyscy w helmach i panterkach. O siebie walczę, o swoje koleżanki. O sprawiedliwość.

Mama pokiwała tylko głową i westchnęła.

Wróciły obie na zajęcia, a wieczorem Halina znowu pobiła dwóch facetów na przystanku, bo rzucili puszkę na trawnik.

Dla odpoczynku postanowiła później wybrać się do studia tatuażu i zrobić sobie kolejny wzorek. Miała jeszcze trochę czasu do porodu, a bała się, że po nim nie znajdzie choćby chwili dla siebie. Jak się ozdabiać, to jeszcze teraz.

– Tu będzie pasek otaczający ramię, ale z niego wychodzą takie jakby płomienie i zakrecać na plecach. Dalej wzór skończy się przy dłoni, okrążając palce. Kolor czarny, z prześwitami czerwonymi, lekko cieniowany, żeby nie wyszedł ciężki tribal. Aha, i jeszcze dwie gwiazdy na łokciach, i jak już tu jestem, to może taką kotwicę na brzuchu – Halina podniosła bluzkę do góry i pokazała miejsce wokół pępka.

Tatuator podrapał się w głowę i chciał coś powiedzieć. Spojrzał jednak na zdecydowaną minę klientki i westchnął.

– Ale to dopiero za dwa tygodnie, robotę mam.

– Panie, coś pan, nie widzisz, że to ekspresowe danie, czasu nie ma, gdzie ja potem z taką rozwlekłą skórą przyjdę?! Też mi coś, on ma robotę! A ja to co, na wakacjach spalam cellulitis, pisma sobie leniwie przeglądam od pierwszej strony do ostatniej i na odwrot? Masz pan wzory i rysuj. Ja sobie tu usiądę, o proszę.

Cóż było robić. Umówieni klienci pieklili się, wspominając o zaliczkach i niesłowności, ale dziwna siła płynąca od zdenerwowanej dziewczyny uniemożliwiła logiczne myślenie.

E tam, siła. Przecież wiadomo, że kto babie w ciąży odmówi, tego najgorsze nieszczęścia spotkają, komornik przyjdzie i grom z jasnego nieba walnie.

Maszynka do tatuowania zabuczała, Halina westchnęła i zaczęła zastanawiać się, co zrobi po wyjściu ze studia. Co prawda już późny wieczór, a w szkole rodzenia mnóstwo czasu zeszło na tych wszystkich próbach generalnych oddychania, kucania, masowania. A w robocie różnie, zlecenia raz są, a raz ich nie ma. Bez stałej umowy ciężkie życie. Dobrze, że ma ubezpieczenie, teraz, przy porodzie przyda się w sam raz.

Niepokój o pieniądze, jeszcze tego Halinie brakowało. Zgromadziła już większość niemowlęcej wyprawki, zebrawszy po znajomych gadzety typu wózek i stertę śpioszków. Śpioszki z misiem, śpioszki z balonikiem, śpioszki z pędzącym królikiem. Kolekcja czekała na nowego właściciela, a ona w spokoju oddawała się ostatnim podrygom swojego hobby. Wymierzaniu sprawiedliwości. Gdyby tak okradać swoje ofiary, o, to byłby biznes. Nieraz widziała, jak z kieszeni wystaje pękaty portfel, pełen banknotów i kart. Wyduszenie, i to dosłowne, PIN-u nie byłoby problemem. Ale w całej tej zabawie nie chodziło o to, aby się obłowić. Nie wiadomo zresztą, czy ofiary były takie znowu bogate. Jednak Halina obiecała sobie, że gdy dorwie następną osobę i widać będzie po niej obłowienie materialne, to skorzysta z kluczy i poczęstuje się przynajmniej telewizorem. Już dawno nie oglądała różnych programów, a tak kiedyś lubiła, jak była mała, leżeć i oglądać. Tylko jak takie czterdzieści cali wynieść z czyjegoś domu, może poprosić kolegów o pomoc?

Zganiła się w myślach za te materialne rozważania, niegodne osoby ideowej. Zaczęła myśleć o wzniosłych wyprawach w góry, które uwielbiała i w których spędzała wakacje. Ale to dawno, zanim zaraziła się chorobą miejską. Objawiała się ona uzależnieniem od rozgrzanego asfaltu przylepiającego klapki, od tłumy ludzi biegnących przed siebie, ocierających się o siebie nawzajem. Przepraszam, chcę przejść, przepraszam, chcę zniknąć. Uzależnienie od braku powietrza, braku przestrzeni, braku izolacji.

Po kilku godzinach tatuator spojrzął na swoją pracę i wystękał:

– Ja już nie mogę, resztę skończymy jutro.

– Jutro? I tak będę chodziła, pomalowana do połowy, no nie mogę.

Ale mimo próśb Halina nic nie osiągnęła i owinięta folią zabezpieczającą nowe dzieła sztuki widniejące na jej skórze wyszła na ulicę.

Mijała dom Stefy i odruchowo spojrzała w jej okna. Nie paliło się w nich żadne światło, ale jakaś sylwetka stała na balkonie. Nie widać było twarzy, tlił się tylko papieros, który w mroku wyglądał jak błyszcząca gwiazdka.

Kiedy robi się ciemno, kiedy dzieci już śpią, my skrzypimy drzwiami balkonowymi, skradając się na zewnątrz. Gdzie idziesz, kochanie? Ach, podlać kwiatki. Powiesić pranie, umyć okna. Tymczasem w ręce mamy papieroska i cichutko, żeby nie wzbudzić podejrzeń, sobie tego papieroska zapalamy. Pierwszy mach, co za ulga. W głowie przelatuje cały dzień. Poranne miotanie się, zaległe rachunki, kłótnia z panem na stacji benzynowej i długi telefon do dawno niesłyszanej koleżanki. Początkowo palimy szybko, jakby w rytmie codzienności i pośpiechu. Papieros tli się nerwowo, my strzepujemy nieistniejący popiół obok popielniczki. Trochę jak ilustracja kobiety na skraju załamania nerwowego, trochę jak Krystyna Janda wdychająca łapczywie skrawki powietrza. W połowie papierosa zwalniamy, uświadamiając sobie, że nie musimy się nigdzie spieszyć, nareszcie. Przekładamy powoli ustnik między opuszkami palców, bawimy się nim. Osnuwający twarz dym upodabnia nas do secesyjnych modelek z reklamy firmy tytoniowej. Palimy na jazzowo, leniwie, jakby od niechcienia. Teraz to nam nic już nie mogą zrobić, teraz to już my na nowo zarządzamy sobą. Palenie niczym deklaracja niepodległości w odwiecznej wojnie z czasem. Pierwszy fajek skończony, kiepujemy z zadowoleniem Nawet z cieniem satysfakcji: stać nas na luksus relaksu, a co! Na fali ogólnego poczucia spełnienia zapalamy drugiego papierosa. Ale tu dopadają nas niepotrzebne przemyślenia. Zaczyna się niewinnie, od planów na następny dzień. Trzeba pojechać tu i załatwić to, a potem zdążyć podrzucić coś tam i odebrać gdzieś tamto. Groza wpełza w zakamarki wewnętrznego kalendarzyka spraw niezłatwionych. I nie chodzi tu o rzeczy do zrobienia, a o cały bagaż emocjonalnych rozważań. O nasze lęki, pragnienia i nigdy niespełnione obietnice. Stajemy się przyczajoną kotką rozglądającą się na boki. Dostrzegamy tym samym inne kobiety, które, podobnie jak my, stoją na swoich balkonach i palą. Nagle okazuje się, że nie jesteśmy same, że stałyśmy się niechcący aktorkami wspólnego teatru. Trwa właśnie przedstawienie, wieczorna odsłona samotności osiedlowej. W ciemnościach widać tylko rozżarzone końce papierosów. Wysyłają tajemne znaki, czerwone SOS, komunikaty o niepokoju. Ile nas tam stoi, czy stoimy tam codziennie? A może są jakieś dyżury, stałe godziny wychodzenia na balkony i odpalania ognia? Pewne jest to, że ta swoista wspólnota balkonowa tworzona przez kobiety istnieje ponad podziałami. Nieważne, ile mamy lat, czy żyjemy z rodziną, czy jesteśmy singielkami. My sobie co wieczór robimy seanse psychologiczne na świeżym powietrzu, bo zdrowo. My sobie zjeżdżamy psychikę ciągłym rozmyślaniami, brakiem luzu wewnętrznego, brakiem umiejętności powiedzenia „dość”. Kiedy dzieci śpią, budzą się demony naszej dorosłości. Przyjmują kształty najgorszych na świecie potworów i przeobrażają się we wszystko to, co udawało nam się w daytime gonitwie zamieść pod dywan świadomości. Wyrastają nagle na tych balkonach, przechodzą przez barierki i czają się zza doniczek. A tu cię mamy, tu cię złapaliśmy – na nielegalnym odpoczynaniu, na ucieczce w krainę nikotyny. Nie ma lekko, czary-mary dopadną w najmniej spodziewanym momencie. Inne kobiety z balkonów patrzą na nas, chociaż nie widać ich twarzy ukrytych w ciemności. Inne kobiety czują to samo co my, ale to nie pociesza. Płyniemy na jednym statku pełnym balkonowych księżniczek, które przestały już machać białymi chusteczkami na znak poddania się. Stoją sobie ze zrezygnowanymi minami i patrzą na gwiazdy. Jedna gwiazda spadła, hej, pomyśl życzenie, to się nigdy nic nie spełni. Jedna pani z trzeciego piętra mówi: „Ja to bym chciała zasnąć i się nie obudzić”, a druga z sąsiedniego bloku: „A ja to sobie gdzieś wyjechać, na przykład do jakiegoś piekła all inclusive”. A trzecia to ja, myślę sobie: „A co się z nami stanie, jak te wszystkie gwiazdy zlecą nam na łeb i pogaszą papierosy?”. Co nam wtedy pozostanie? Może tylko powrót do ciepłego mieszkania i tylko: „Kochanie, czy mogłabyś zamknąć te drzwi od balkonu?”, bo jakoś strasznie od nich wieje”. Od tych drzwi to wieje tysiącami westchnień kobiet papierosowych.



Wspólnota balkonowa rozciągała się po całym mieście.

Stefa stała w kapciach na zimnym betonie i dogaszła papierosa. Jak to dobrze, że jej nikt nie mówi, żeby zamknęła drzwi, bo wieje. Jak to dobrze, że ten, który zawsze mówił zbyt wiele, leży teraz w szpitalu, połamany i przypuszczalnie zdziwiony całą sytuacją. Leży i zastanawia się, co też mu się takiego przytrafiło, że nawet na policję pójść nie może, bo te dwie jasno się wyraziły w kwestii donosicielstwa. A w oczach miały taki ogień, że chyba nie kłamały, oj, chyba nie.

W każdym razie Stefa uśmiechała się na myśl o cierpieniach swojego kata, bo tyle lat była bita w imię dobra rodziny, w imię dobra dzieci (jak dobrze, że są na koloniach i tego nie widzą), w imię tego, że jest żoną. Tyle lat czekała na jakikolwiek sygnał sprawiedliwości, który jakoś nigdy sam nie nadchodzi, jakoś się samo to nigdy nie dzieje, tylko trzeba czekać w nieskończoność na wybawienie. Na wybawicielki. Spojrzała na drugą stronę ulicy, gdzie stała Halina i patrzyła na nią. Pomachały sobie wesoło.

Stefa wychyliła się przez barierkę i krzyknęła „dziękuję!”.

Nie ma co, robotę wykonały dziewczuchy doskonale. Może na początku niepotrzebnie się uniosła, że bez niej, ale w końcu trzeba przyznać, że efekt jest idealny.

Dodała jeszcze z góry:

– Bo gdyby coś, to ja z wami.

*

Trzeba przyznać, że tych trzech dziewczyn nie dałoby się powstrzymać. Ich nieprawdopodobna siła i determinacja nie były przecież zasługą siłowni czy sterydów, a prawdziwej wściekłości, takiej, jaką znamy z dzieciństwa, kiedy ktoś złamał nam kredkę. Jak ktoś poderwał nam chłopaka, jak niesłusznie oskarżył, jak poniżył.

Czemu te dziewczyny tak się biją? Bo chcą się zemścić. A na czym? Na życiu i na śmierci. A co chcą znaleźć? Może równoległe światy.

I wszystkie te malutkie zdarzenia rosną w człowieku, kielkują, aby w odpowiednim wieku przybrać formę idealnie skrojonej sukienki w stylu zemsta.

Część druga

Bezprawie i bal

Było już dobrze po dwudziestej drugiej. Halina i Celina siedziały na plastikowych krzesłach ustawionych przed zakładem kosmetycznym Copacabana. Stefa już dawno przyjęła ostatnią klientkę, ale wpadły koleżanki i jakoś tak się zagadały, i może kawki, i może jeszcze jedną. Zrobiły sobie z nudów tipsy (każdy innego koloru) i poszły na solarium. Teraz siedziały rozkraczone, wycierając świeżo umyte włosy. Piły piwo, paliły skręty i dobrze się bawiły.

– Ty, normalnie zobacz, jakie mam cztery pary rąk, a każda z laserem na końcu i żywą bronią.

– Żywą y bronią? – bełkotała Halina. – To robaki, a nie broń. Ciach, ciach, strzelam do ciebie glizdami z palców. Uważaj!

– Padam z krzeselka, ała, zabiłaś mnie. – Celina teatralnie tarzała się po chodniku. Jej włosy zamiatwały całodniowy zapas kurzu i brudu naniesiony tutaj z różnych stron. Wstała więc i poszła znowu umyć sobie głowę pod kranikiem fryzjerskim.

Zakład kosmetyczny to w ogóle niezła instytucja. Łączy funkcje społeczne z kulturowymi. Z jednej strony działa jak psycholog, grupa wsparcia i magiel w jednym. Z drugiej gra rolę okolicznego punktu informacyjnego, bo tu niby maseczka na twarz, a do uszu już sączą się płoteczki. Na solarnek Mega Sun Ergoline przychodzą też koleisie, bo to takie czasy, że na bladą cerę nie ma popytu. To się koleśków podgląda przez specjalną dziurkę w ścianie, jak zdejmują majtki i sobie poprawiają tam wszystko, kiedy leżą w tubie nabrązowującej. Potem smarują skórę kremem, a przyczajone dziewczyny zasłaniają usta w złośliwym chichocie.

Kosmetyczka jest dla wszystkich przyjaciółką, powiernicą sekretów, terapeutką, a czasami i wróżką. Wpadasz na regulację brwi i w pięć minut, kiedy wosk zatapia się głęboko w cebulki włosków, ty wiesz już, co powinnaś zrobić z nieuczącym się dzieckiem, z dzieckiem pyskującym i niesprzątającym w swoim pokoju. Kosmetyczka wie, powie, doradzi i jeszcze pocieszy. Full service, opłaca się odwiedzić.

I wie wszystko o urodzie, to proste. O ludziach, którzy mają urodę, są urodą zainteresowani, w rubryce „hobby” wpisują: skóra, włosy i paznokcie.

Celina słuchała urzeczona, może dlatego, że była już kompletnie upalona.

– Ponad trzydzieści lat żyję, taka niby fufarafa na sprycie, a co ja do tej pory wiedziałam o mezoterapii – nic nie wiedziałam. O elektrostymulacji i drenażu limfatycznym – zero. O lipolizie, tybetańskim neuromasażu i rytuale kamieniami z drzewa wacapou nie wspomnę, bo aż wstyd.

A Stefa, zadowolona, że może koleżankom wytłumaczyć świat, perorowała, objaśniała, rzucała światło na fakty związane z kwestią ciała.

– Ale wiesz, jak mi się pani na recepcji pyta, czy dziś mezo, czy RF, to nie czerwienię się, myśląc, że chodzi o rodzaj choroby, tylko śmiało mówię, że nie, dziś wolę hydrokolonoterapię.

Wiecie, co to jest, no nie? Generalnie to płukanie jelita grubego za pomocą takiej specjalnej rurki, którą wprowadza się w tyłek, następnie tłumaczy, że to nic takiego, po czym wlewa wodę wypłukującą wszystko, co mamy w środku. Z głośników sączy się muzyka, a my staramy się zapamiętać, że się publicznie, z przeproszeniem, wiecie co.

Nie no, spoko, generalnie się można po godzinie przyzwyczaić, ja to sobie nawet jakieś pismo przejrzałam i wykonałam ze dwa telefony. No tylko te dźwięki i poza tym trochę boli.

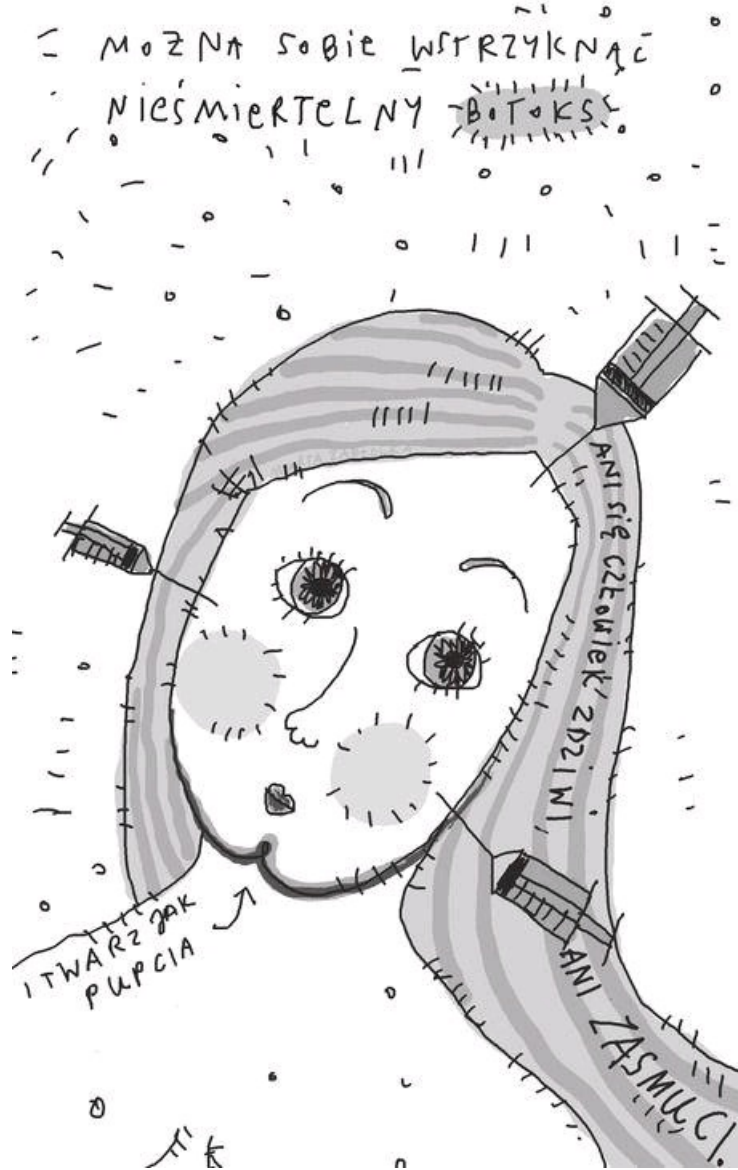
Albo, na przykład, dajmy na to, depilacja. Bo wy jak się w pachwinach skubiecie?

Aha, wcale. No to gratulacje, świetnie, dziewczyny, ciekawe, jak na basen chodzicie, nie ma co.

To się nazywa współcześnie: za-nie-dba-nie. Dobra, luz, ja tam nic nie sugeruję. Wasze pachwiny, wasze życie.

Ale gdybyście chciały, to u mnie sobie można zrobić. Na przykład depilacja bikini w wersji brazylijskiej. To moje ulubione. Baba leży w jednorazowych majtkach i rozkracza przede mną, przed obcą w sumie dla siebie osobą. A ta osoba chłapie rozgrzany wosk lub strzela laserem do każdego włoska z osobna. I mówi tak do nich, że niby ja im opowiadam: „Proszę pani, do mnie to przychodzą takie baby, za przeproszeniem, że szok. Jedna to ma tyle włosów, że musiałyby się cała w wosku wykąpać. A druga gruba. Trzecia z cellulitis przypominającym kalafior”. I tak dalej opowiadam, żeby pocieszyć te baby. Bo kosmetyczka niby wysłucha jak ksiądz, ale tajemnica spowiedzi jej nie obowiązuje.

Albo manicure. Najnowszy sposób: hybrydowy. Doskonały dla tych, co chwilę po wyjściu z gabinetu zaczynają zmywać naczynia albo odkręcać koło od samochodu. Albo, jak wy, się idą bić gdzieś z kimś po ciemku i potem mają zadarte skórki.



W czasie nakładania na paznokcie lakieru konsystencji smoly słyszę często głosy klientek, które wychwalają Moisture Quenching Purity Ritual. Że taki świetny, odmładza twarz. I mi się rodzi wewnętrzna satysfakcja, że im doradziłam, że one mi zaufały i że po prostu są zadowolonymi klientkami moimi.

Oczywiście potem można sobie wstrzykiwać nieśmiertelny botoks i twarz jak pupcia. Twarz niewyrażająca emocji, a to akurat się dobrze składa, bo kobiety nie powinny reagować zbyt histerycznie na życie. Najlepiej w ogóle nie reagować. Wstrzyknąć sobie wiele rzeczy pod skórę i ani się człowiek nie zdziwi, ani zasmuci. Twarz o wyrazie wszystkiego i niczego. Nie mam oficjalnie w cenniku botoksowania, ale dla stałych klientek to spod lady, że tak się wyrażę, to mam.

Pomyślcie też o tym, bo lepiej żyć bez emocji. Jak mnie mąż bił, to sobie potem ostrzykiwałam całą skórę i od razu lepiej.

To wyższy stopień wtajemniczenia w urodę, prawda, jakieś kobiece liceum o profilu żwir-silikon.

Stefa emocjonowała się zdobyczami kosmetologii, a dziewczyny leniwie przyglądały się okolicy. Na rogu mieścił się ciucholand prowadzony przez Kryskę, która odkładała im zawsze co ładniejsze kiecki. Zaraz obok spożywczy Baški, w którym można było brać na krechę, żeby tylko zawsze pamiętać o spłacie. I wreszcie obok lombard, miejsce wybawienia od chwilowych stanów zawieszenia finansowego. Okolica podręcznie wygodna, obfitująca w punkty usługowe i pożyteczne sklepy. Okolica znana, oswojona. Dzielnica. Dzielnia. Kwadrat. Zatoka. Obszar. Rejon. Mokotów. Moko. Mo'Ko. Po prostu dom, ojczyzna, maczyzna na dobre i na złe. A szczególnie na to drugie, kiedy zachodzi słońce i szyby robią się ciemne od styrynych spojrzeń. Wzroku z za kraty rżęs. Westchnień spod skopanego żebra. Złego sumienia i nieprzespanej północy.

Salon Copacabana utonął w ciemnościach. Tuczyła się mrokiem czarna krecha pobliskiego parku Morskie Oko aż po horyzont. Nadeszła noc.

Zza rogu Puławskiej wyjechała Bronka, koleżanka ze szkoły. Miała typowy warszawski samochód, wielki land-rover, niemający nic wspólnego z rowerem. Landara jak szafa toczyła się po ulicach miasta na swych terenowych kołach i zagarniała przestrzeń, o którą w metropolii trzeba walczyć na chama, bo nikt nam tej przestrzeni nie da na ładne oczy.

Bronka nie lubi

I toczyła się leniwie bryka, a zza jej szyby wyglądała Bronka, która pracowała obecnie w kancelarii prawniczej. Wszystkie dziewczyny się z niej śmiały, bo mieszkała na strzeżonym osiedlu przy Wołoskiej i miała ten szalenie elegancki samochód. Łeeee – ale bogaczka, ale dziewczyna z serialu, podśmiewały się biedne kocmołuchy, którym się materialnie w życiu nie poszczęściło, bo studiowały polonistykę zamiast rachunkowość and bankowość.

A to wiocha przecież, tak mieć pieniądze na koncie, myślały nieudacznice życiowe, a w głębi serca miały co dzień fantazje o gold karcie oczekującej zerami.

Ale Bronka nie była z tych, co piją drogie wino po ciężkim dniu i noszą tylko markową bieliznę pod markowymi garsonkami. O nie, może i miała z jeden Chanel, ale jadła w barze mlecznym. Taki miała styl. Bo zamiast do drogiej restauracji na kolację chodziła czasem z Celiną i Haliną na miejskie towy.

Szczególnie upatrzyła sobie nocne autobusy. Do szauła doprowadzali ją pijani goście zaczepiający współpasażerów. Potrafiła pół nocy zjeździć od Centralnego choćby i do Wołomina, aby spotkać „chuliganów”. Scenariusz był podobny: kilku wesołków lokowało się z tyłu wozu, wyjmowało piwa i głośno gadało. Po pewnym czasie zaczynała się demolka. Podchodzili do jakiejś dziewczyny i zaczęli swoje: „Ej, kurwa, niezła lacha, ej, co robisz, mała, a co ty tu masz, ładna bluzka, zdejmij bluzkę, ej, jedź z nami na imprezę, ej!”. Dziewczyna udawała, że nie widzi, że nie słyszy, że jej nie ma. A cała reszta autobusu to samo. Zamyśleni, nieobecni, byle doczekać do momentu, aż byłoby wysiądzie i da spokój.

Lecz Bronka nie. Bronka się w takich momentach rozluźniała. Zawsze na wysokich obcasach, w sukieneczce, podchodziła do bandy i przyglądała im się bez słowa. To oni rozochoceni: „Ej, mała, chcesz ruchanko?”.

To był sygnał – wystrzał z pistoletu, na miejsca, gotowi, start. Jednym ruchem łapała pierwszego z brzegu za szyję i przystawiała mu nóż do gardła. Na najbliższym przystanku kazała wychodzić reszcie, a sama zręcznym kopniakiem wywalala zatrzymanego. Zazwyczaj banda uciekała.

Raz zdarzyli się chojracy, którzy zaczęli wsiadać z powrotem do wozu i żądać zadośćuczynienia. Musieli zginąć.

Oczyszczanie miasta z elementów męczących i zbędnych podejmuje się na skutek swoich osobistych doświadczeń. Zazwyczaj. Czasami jest to po prostu irytujący detal na mapie, biały puszek na czarnej wykładzinie. Brzęcząca mucha.

Ludzie cierpiący na nerwicę natręctw niełatwo znoszą bałagan. Porządkują i przestawiają do momentu, kiedy obraz ich zadowoli. Żaden szampon nie może stać krzywo pod prysznicem, żadna kartka swobodnie leżeć na stole. Bo świat ma zasady, nie można burzyć ich w imię własnego widzimisię lub zwykłego lenistwa.

Ona nigdy nie lubiła być po jednej stronie. Zawsze zostawiała sobie furtkę na różne rozwiązania. A może jednak na obiad nie zjem chińszczyzny, a może ziemniaczki jednak? A może nie pojedę na wakacje jak wszyscy, tylko na balkon wyjdę z książką i dwa tygodnie będę leżeć w gaciach, w relaksie? Wątpliwości zacierały się tylko w kontekście sprzątnięcia. Daleko posunięta nerwica natręctw nie pozwalała usiedzieć w jednym miejscu dłużej niż kilka chwil. A to się kremy ustawiło kolorystycznie, a to lakiery do paznokci według wysokości. Zmywak kuchenny równoległe do płynu do zmywania. Dokładnie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, nie ma mowy inaczej. Cały czas w poprawianiu, w polerowaniu i ustawianiu. Jak na komputerze pomyliła się z literką, to zamiast ją poprawić, musiała całe zdanie kasować i od początku. Jak przeszła po krańcach chodnika, to wracała do domu i siadała na chwilę. Inaczej mogło ją spotkać nieszczęście.

Kiedy dowiedziała się, że jest poważnie chora, zaczęła dodatkowo myć ręce. Trzydzieści, pięćdziesiąt razy dziennie, aż do zardcia skóry. Nosila potem na noc specjalne rękawiczki z balsamem od spodu, żeby się wyleczyć, bo źle tak podpisywać ważne dokumenty papierem ściernym, zarazą, dżumą. Kontrolowane ciało nie miało przed nią tajemnic. Umiała nakazać skórkom wokół paznokci, aby rosły wolniej, była w stanie wyrwać z cebulką każdy włos na łdce. Dostrzec go i wyeliminować z doskonałego obrazu samej siebie.

Dlatego też podczas akcji miała ze sobą chusteczki nawilżane, aby po kilku ciosach móc się wydezynfekować. Mieć siebie pod kontrolą, zawsze.



Dla Bronki awanturujące się hordy pijanych facetów były tym samym co nieposprzątany dom. Wyprowadzały ją z równowagi. Chodziła więc po Warszawie i, niczym sumienna pokojówka, ścierała najmniejszą drobinę kurzu. Chodzi o zasady, o ład. Ludzie śmiecą torebkami po chipsach, rzucają je na Bogu ducha winne krzewy i zadowoleni wpierdzielają kolejne zamulacze. A tak nie wolno, gdyż miasto to nasz wspólny dom, broniony przez pradziadów i prababcie. I nie można sobie, ot tak, siup, i do tyłu papiererek.

Jeśli Bronka zauważyła na ulicy śmiejących ludzi – nawet małe dzieci – podchodziła i z zaciśniętą szczęką pytała o imię, nazwisko, wiek i adres. Najczęściej ludzie patrzyli na nią dziwnie lub kazali sływać. Małe dzieci wybuchwały płaczem i zaraz podlatywały rozjuszone mamy. Bronka pytała je o to samo. Następnie swoimi wypielegnowanymi dłońmi podnosiła kosz na śmieci i wysypywała na głowę śmiejącym. To wersja minimal.

Jeśli wiedziała zaś, gdzie mieszka dana osoba, to potrafiła pół nocy zbierać odpadki, aby wyrzucić je na wycieraczkę zbrodniarza. Dzieci podnosiła do góry za uszy, niewychowane nastolatki ładowały tyłkiem w koszu, a pijani kolesie, cóż, pijani kolesie mieli najgorzej. Tu już nie pytała o nic.

Patrzyła się tylko na nich długo, a potem natychmiast działała. A działanie to nie było podszyte żadną ideologią, żadnym przemyśleniem natury politycznej. Może chodziło o ekologię, ale raczej o kwestię zasad. Zwyczajnie oczyszczała teren, a widok grupy rozchoconych panów z plastikowymi torebkami pełnymi puszek był dla niej jak przejechanie paznokciami po tablicy. Jak styropian kruszony mokrą ręką. Uczucie nie do zniesienia. Grupa ludzka do eliminacji.

W czasie akcji Halina i Celina miały kłopoty z Bronką, ponieważ trudno było działać zespołowo. Podczas gdy dziewczyny namierzały się czasem po kilka dni na jednego kolesia przebijającego się w mundury SS i chwającego Führera, to Bronce wystarczył niezobowiązujący spacer po dzielnicy, aby wściec się kilkakrotnie. Tłumaczyła im, że śmiecenie jest gorsze od faszyzmu. Ot, zwyczajnie: za pozostawianie psich kup i opróżnionych butelek poza miejscem do tego wyznaczonym – kara.

Bronka, gdyby ją spotkać na ulicy, wyglądała jak ostatnia osoba, która mogłaby kogoś kopnąć. Przede wszystkim buty na obcasie – strasznie trudna sprawa. Niby ostry czubek boli bardziej, ale wziąć zamach i utrzymać równowagę – już nie mówiąc o uciekaniu! – to zupełne szaleństwo. Do tego dochodziły pięknie skrojone spódnice, tak zwane ołówki, rurki, tuby, mini. Wszystkie te dopasowane, zgrzebne i opinające tyłek materiały, które miały pokazać, że Bronka jest kobieca, lecz zdecydowana. Spódnice do kolan wjeżdżały do góry, kiedy tylko siadała przy stole na przykład do negocjacji. I już frywolne ciało dawało znaki, kusiło, wysyłało sygnały.

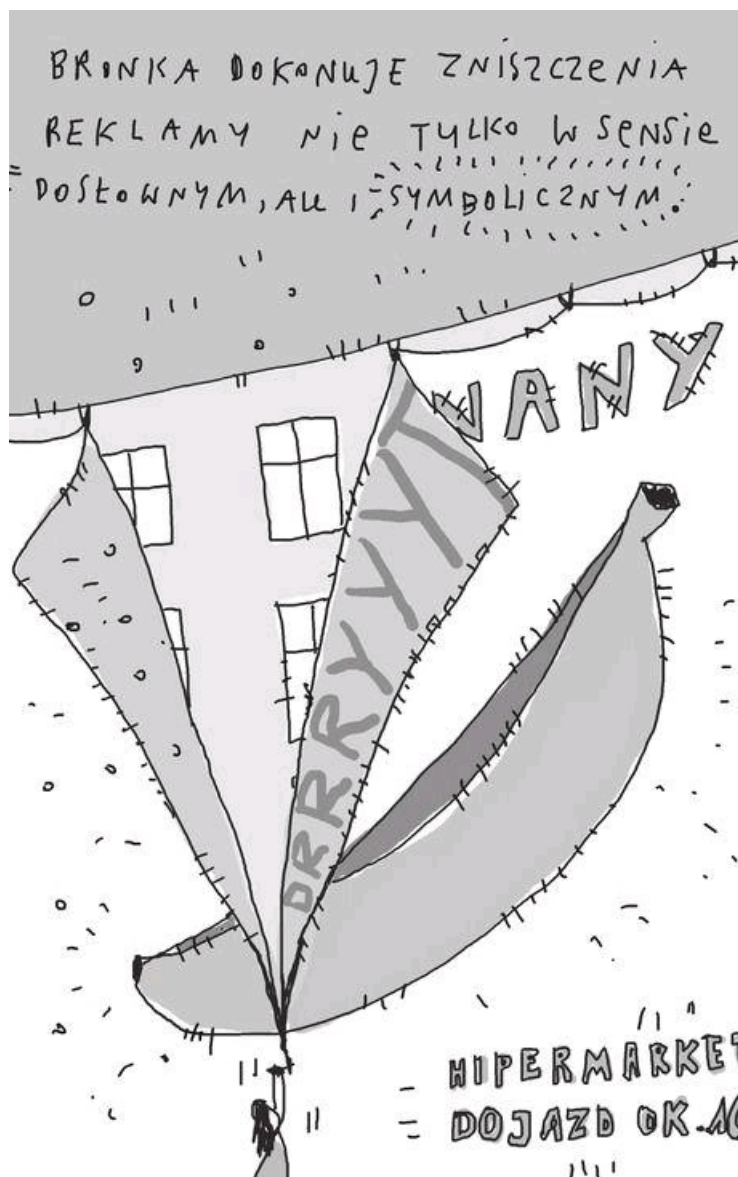
Na akcje też zawsze w nienagannym stroju, bo i sposób na wymierzanie sprawiedliwości był dość specyficzny.

Więc Bronka organicznie nienawidziła gości, którzy rozwalali się na siedzeniach komunikacji miejskiej i zajmowali sobą przestrzeń. Tak, oprócz papierków na chodniku właśnie takie typy wywoływały w niej głębokie niezrozumienie. A to się rozkraczali, a to zawadzali w przejściu. Byli ponad miarę, wyglądali jak panowie na włościach, na gospodarstwie, i całe pole ich. Nie mieli żadnej refleksji o współdzieleniu się miejscem, mieli wręcz refleksje wprost przeciwne, że to oni, dla nich, jadą teraz i panują, a reszta won! Dobrze, oczywiście, przecież ona sama wielkim samochodem

przemierzała w korkach całe miasto. Ale skoro to walka o przestrzeń – ktoś musi przegrać. I nie będzie to ona.

Wcale nie ona. Oni właśnie! Bronka doskonale umiała sobie poradzić z tymi wszystkimi dominatorami. Mimo że za dnia korzystała ze swojego eleganckiego samochodu, który miał udogodnienia rakiety kosmicznej, w nocy przerzucała się na nocne autobusy i ostatnie tramwaje skręcające z piskiem do zajezdni. Była tam na swym drugim etapie, na swojej roli, w swoim biurze wydziału do spraw patologii w przestrzeni miejskiej. A jak wysiadała na ulicę, to jeszcze w drodze do domu wsadzała gumę do środka zamków wszystkich oddziałów bankowych, które mijała. Gdyby była wyższa, toby jeszcze tipsami poorala banery rozczapierzone po fasadach budynków, zasłaniające ostatnich żywych w tym mieście. I nawet planowała wypożyczenie jakiegoś dźwigu, na którym dosięgłaby płachty i zjechała na niej w dół, trzymając rękojeść noża, który prulby materiał. Jak na pirackim statku.

Bronka z Celiną poznały się tak naprawdę na jednej z imprez pod koniec liceum. Oczywiście, były w jednej klasie i spędzały w związku z tym dużo czasu na wspólnych lekcjach. Tylko że Celina skupiona była głównie na ściąganiu i pisaniu listów miłosnych do różnych chłopaków, natomiast Bronka uczyła się pilnie, bo już wtedy wiedziała, że chce iść na prawo. Ambitna, pracowita. Zupełne zaprzeczenie Celiny. Stąd może ciągnęło je do siebie, chociaż pochodziły z różnych środowisk wzajemnie się wykluczających. Ojciec Bronki był znanym prokuratorem rozpracowującym grupy zorganizowane, trudniące się kradzieżami samochodów i okupem. Natomiast ojciec Celiny w takiej grupie zorganizowanej pracował. Raz nawet spotkali się wszyscy na sali sądowej: ojciec Bronki z mową oskarżycielską, Bronka na praktykach i z notatkami, a ojciec Celiny w kajdankach. Dostał potem dziesięć lat, ale Celina większych pretensji do koleżanki nie miała, bo w domu zawsze panowała zasada: praca przynosi konsekwencje i udawać, że to legalne, nie ma sensu. Lepiej uważać, żeby nie złapali, a jak złapią, kombinować. No, ale jeśli nic nie da się zrobić, to iść do więzienia z podniesioną głową i tak sobie i rodzinie życie urządzić, żeby ta przymusowa przerwa w życiorysie nikomu nie przeszkodziła w realizacji życiowych planów.



Ojciec Celiny wyszedł potem warunkowo, ale powrócił do swojego proceduru. Pierwszy włam był do auta tego prokuratora. Żeby wiedział, że Wajcha jest już na wolności. Właściwie auta nie ukradł, przejechał się nim tylko i zostawił na sąsiedniej ulicy. Taka niby wizytówka i podpis „tu byłem”.

Obie dziewczyny lubiły się i dziwna siła pchała je do siebie. Przyciąganie przeciwieństw, nie ma innego wytłumaczenia.

Kiedyś takich dwóch wypadło zza zakrętu. Jeden chudy, drugi gruby. Od razu zaczęli dostawiać się do dziewczyn, a że takie ładne panie, a same chodzą po nocy, a że to niebezpiecznie. Takie tam bajery na macho. A dziewczyny były zmęczone, zatopione w rozmowie, wcale nie chciały się integrować, zwiedzać wspólnie miasta.

To mówią im:

– Weźcie się odpierdolcie!

A tamci im mówią:

– Ho, ho, jakie ostre babki, lubimy takie.

No to dziewczyny dalej:

– Odpierdolicie się, bo oberwiecie!

Tamci, że bić się nie będą, ale chętnie popatrzą, jak one się za włosy złapią, najlepiej w kisielu i bez stanika.

Dziewczyny więc oczami przewróciły, paski z łańcuchów zrobione zdjęły i dwoma ruchami położyły facetów na ziemię. Kilka kopów i charch na twarz. Do widzenia, już nam się nie chce na was nawet pluć.

Odeszły, dumne i spokojne.

A teraz Bronka zatrzymała się przed koleżankami siedzącymi na krzeselkach i otworzyła szybę.

– Dobry wieczór szanownym paniom.

– Nasze uszanowanie osobiste. Gdzie jedziesz, kochana, gdzie ruszasz swoją karetą?

– Ach, wiecie, jadę do nocnego na chwilę. Podwieźć was gdzieś, idziecie dziś na miasto?

– Kochana, my już na mieście jesteśmy i właśnie sobie robimy relaks u koleżanki z Honolulu.

– Z Copacabany, Celina, tyle razy ci mówiłam.

Stefa była już zmęczona wizytą i teraz pocierała nerwowo oczy przyozdobione permanentnymi kreskami. Chciała iść do domu, następnego dnia przyjeżdżały dzieci z kolonii, trzeba je było odebrać z dworca, coś posprzątać, coś przygotować. A te siedziały tu i się upalały, zamiast też zająć się swoim życiem.

Dlatego kazała im pakować się do wozu Bronki i zrobić coś pożytecznego.

– Idźcie się bić albo coś. A nie tak dogorywacie.

Akcja w takim stanie byłaby chyba niewskazana, ale obie panie wstały grzecznie i wgramoliły się do samochodu Bronki.

– Pani taryfiarz – krzyknęły przyjaźnie do koleżanki – wież nas pani nad Wisłę! Zobaczymy sobie nasz warszawski ocean.

Ruszyły z piskiem opon i tyle je widzieli. Pojechały sobie na nocne opalanie, a co!

Ciemno już

*W zaułkach skrył się mrok, wypełzła mgła,
Lękliwy stawia krok panienka ćma.
Gdzieś autem paskarz mknie, oblicza dzienny zysk,
Policjant wpatrzył się wksiężycyca dysk.
Warszawo, wcichę noc
Gdy milknie dzienny gwar,
Masz dla mnie ponęt moc, upaja mnie twój czar.
Warszawo, moja ty,
Śniesz cudną bajkę, sen,
Marzenia płyną hen
I śmiech i łzy.*

Jechały tak przez czarne miasto rozświetlane popłuczynami neonów, które wyglądały obecnie jak szczerbata szczęka, bo im się co druga literka świeciła tylko i robiła z napisów jakieś rebusy. „Chinka” to była „inka”, a znowuż „perfumeria” to „efueria”, niemal jak „euforia”. Bez sensu. Siatkarka na placu Konstytucji rzucała co drugą piłkę i nie miała dolnej części kostiumu, bo znowu się przepaliły rurki. Dziurawa Warszawa, nic tu nie działało i nawet wielki koszyk stadionowy na drugim brzegu wyglądał z oddali jak torba Ruskich na Dziesięciolecie. Zęby stolicy zrobione z bloków Grochowa niemrawo kłapały nad rodzinami ściśniętymi w M3 na kredycie w obcej walucie. Przewalały się boazerie i wykładziny, drżały balkony z pudełek od zapalek. Nic tu nie było na zawsze, tymczasowość metropolii wylewała się z każdej bazarowej budy i niebieskiego toi toia.

Trudno, jedziemy dalej, pozwiedzamy.

Na brzegu Wisły, od strony Poniatoszcza, pusto i głucho. Za wcześniej na wędkarzy, za późno na pijaków z okolicznych barków. Taka porażura. Nic się nie dzieje, co mogłoby stanowić zaczątek jakiegoś ciekawego scenariusza.

Ale nigdy nie myśl, że jest nieciekawie, zawsze możesz się przecież zdziwić.

Dziewczyny wysiadły i przeszły pod zawieszenie mostu.

I wtedy Bronka odwróciła się do koleżanek, mówiąc:

– Słuchajcie, bo ja mam raka piersi, nawet nie boli, i właśnie go leczę, ale wiedzieć o tym musicie, bo kto, jak nie wy, kiedy, jak nie teraz?

O, kochana! Nie mów do nas tymi słowami, dobrze?

My obcych słów nie znamy. Lubimy siebie, a i owszem. Są jednak pewne granice. Bo życiem winny rządzić zasady, a my takowe mamy i w nich nic nie ma o koleżankach śmiertelnie chorych, tak że przepraszamy, ale na chorobę się nie zgadzamy. Zmieńmy temat, popatrzmy na romantyczny blask księżycyca odbijającego się od tafli rzeki. Tylko jakiś błąd ten księżyc, co oświetla tafel, a to fatalnie wpływa na tak zwany obraz ogólny.

Popatrzmy zatem na reflektory samochodów przenoszące warkot silników przez most. Zastanówmy się nad czymś nieistotnym, nad ostatnimi wystąpieniami polityków w telewizji, nad sukienką jakiejś nieznannej gwiazdy. Zróbmy cokolwiek, poobgryzajmy na przykład razem paznokcie w milczeniu, dobrze?

Bo kiedy koleżanka ci mówi takie rzeczy, jak ona w ogóle może, to odkrywasz nagle meszek na karku, który podnosi się i mrozi skórę. Szukasz odpowiedzi na wszystkie pytania świata, ale tak naprawdę walczysz z brakiem tlenu, twarz jak ryba bez wody, zdziwienie. I zaraz wyobrażenie szpitala, nawet czuć już ten straszny zapach, woń słodkawą plastra i strzykawy. A potem komin w krematorium ludzi chorych na Złe Choroby. Dym wychodzący z komina, kłębiący się po niebie jak, za przeproszeniem, mgła rosyjska. Dym zataczający koła nad domami bliskich, którzy stoją teraz w oknach i patrzą na niebo, jak ich Umarli A Dopiero Co Siedzący Przy Tym Stole wirują niczym na karuzeli.

– Hej, wy z góry, słyszycie mnie, złażcie tutaj!

– Ale jak?

– Normalnie, weźcie się w garść i na ziemię.

– Nie da rady, już nam ciała odebrali, a na goło wracać to głupio.

– No co za lebiegi, chodźcie tu i nie marudźcie! Rozumiemy, że tam niektóre to na górze fruwać jakieś ciotki opasłe, jakieś stare baby, Calineczki sto dwadzieścia kilo żywej wagi i dwa metry w bok. Ale są też tam dzieci małe, no i szczupłe, zadbane dziewczyny w wieku singielskim. Niech nawet bez ubrania złażą, to razić nie będzie.

– Nie da rady, bo my już nieuleczalni.

No nie. Znowu nas oszukano, znowu nam źle powiedziano, że żyć będziemy wiecznie i mieć będziemy szczęście. Ale wszędzie zło, do niczego to życie, skoro ukochani latają nam nad głową w formie przezroczystego tchnienia czy jakiejś, bo ja wiem, wypsikanej ze spreju chmurki. Jak żyć, skoro oni nie żyją?

Lecz jednak zaraz przychodzi myśl, że choroba to nie śmierć, więc czekaj, Bronka, właściwie powiedz nam, co to jest ten rak?

– Taka choroba żrąca ciało od środka.

To znaczy jak to?

– Zwyczajnie.

Ale w jakim celu?

– Normalnie, dla czarowania publiki za pomocą magii organizmu.

– Ludzie jak ciemniaki, wszystko łykają. Tkanki się rozwarstwiają, robią się złośliwe i uprzykrzają zdrowym ludziom los.

– Chwila, a teraz weźmiemy na przykład taką, dajmy na to, ciebie, Bronka. Czyli że ty masz regularnie magię w sobie, znaczy się w piersi?

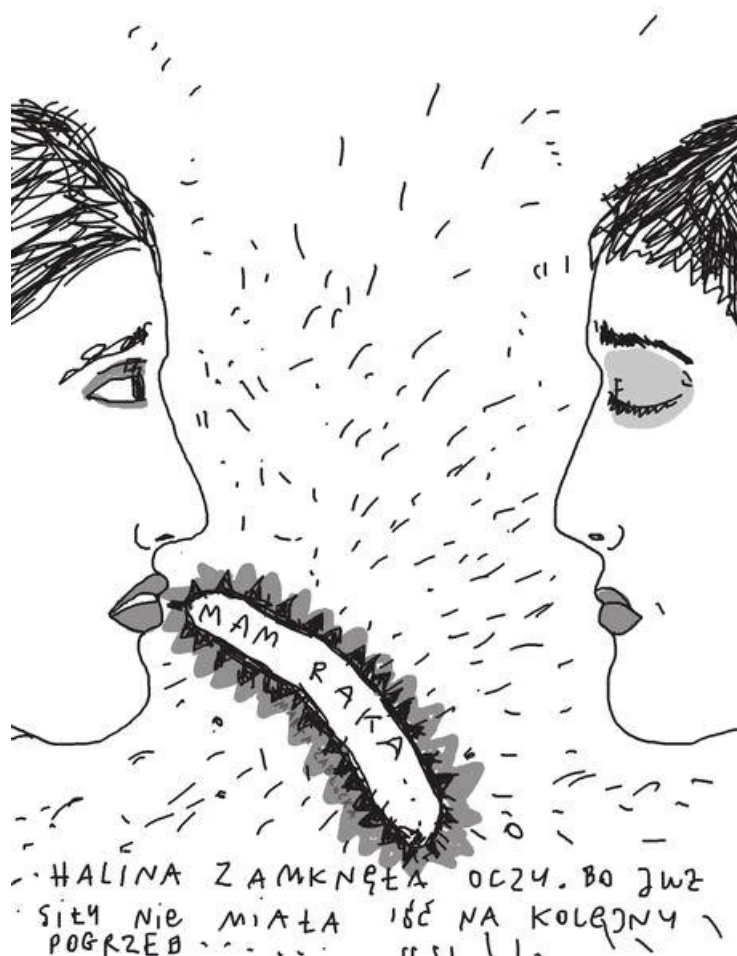
– Tak, tak to sobie tłumaczę, że mam od jakiegoś czasu zaczarowany biust produkujący specjalne guzki, które potem utworzą coś na kształt trzeciej piersi, i będą mnie pokazywać w cyrku jako współczesną odpowiedź na zapotrzebowania rynku bra-fittingowego.

Dziewczyny trochę jakby bardziej otrzeźwiały, Halina niemrawo zagaiła głosem drżącym, dyszkantem w sumie, niepewną struną głosową zmienioną obecnie w rozciągającą się gumę.

– Co się teraz robi, w takiej chwili?

Czy widział ktoś instrukcję obsługi raka, czy też savoir-vivre mówi cokolwiek na temat zachowania się w czasie choroby? Nie bardzo raczej, same jesteśmy zostawione z nowym wyzwaniem i sobie będzie można potem do życiorysu wpisać, że się cierpiało. Nic poza tym.

CO SIĘ TERAZ ROBI,
W TAKIEJ CHWILI?



– Ależ dziewczyny – Bronka usiadła na murku przy ścieżce rowerowej – ja wam tak tylko sobie westchnęłam o chorobie. Ja przecież umierać nie zamierzam, to do wyleczenia jest. Będą teraz napromieniowywać mnie znowu w różnych punktach, wypadną włosy, będę osłabiona. A potem przyjdę na imprezę i wszystkie wzniesiemy toast nad orzeczeniem lekarskim, że rak wyleczony. Jest tyle kobiet, które to przeszły, amazonki i w ogóle. Aktorki, pisarki, malarki i księgowie. Cycki odrastają, a jak nie, to się kupuje push-up. Z tego można wyjść, tak czytałam w piśmie dla kobiet, kiedyś w poczekalni u dentysty.

Ale tak naprawdę to Bronka wiedziała, że mogła z tego wyjść, a nie wyzdrowienie. Tylko nie chciała tego mówić na głos, bo zawsze trzeba mieć nadzieję. Zawsze lepiej być dzielną, niż się niepotrzebnie mazgać.

Nad rzeką panowała cisza. Zamyśliło się całe miasto nad słowami Bronki, bo nie wiadomo było, czy wierzyć i epatować propagandą sukcesu, czy też spojrzeć prawdzie w oczy. Albo te oczy zamknąć, tak na przykład zrobiła Halina. Bo już siły nie miała iść na kolejny pogrzeb w tym roku, na to się nie godziła.

Wycieczka zakończona, pikniku nie będzie. Dziewczyny wróciły na dzielnicę, słuchając buczonego radia i gapiąc się w okna obcym ludziom, którzy pewnie też tam zbierali jakieś smuteczki, ale przynajmniej się tych smuteczków nie znało na chwilę obecną, na dzień dzisiejszy, na już. Ludzie za oknami gasili światła i wtulali się w poduszki. Jedno wielkie dobranoc, podczas gdy organizm jednej z kobiet płonie. I kobieta ta wzdycha przez zaciśnięte zęby, i kontroluje mimikę twarzy, żeby nie przemknął się pod fluidem nawet najmniejszy znak bólu, znak cierpienia ponad siły.

Następny poranek zaskoczył Celinę. Myślała, że musi iść do pracy na dziewiątą, potem sprawdziła, że ma wolne, i usnęła z powrotem. Ale za kilka minut przypomniała sobie, że ma się spotkać w sprawie tego dewelopera od palenia ludzi, i zmuszona była rozpocząć dzień. Kawa, papieros, jakiś okruczeństwo zmielony z błatu. Wiadomo, figura ciała najważniejsza. Kiedy jest się w pełnej gotowości do zakochania, to należy o tym pamiętać, głównie przy posiłkach. Przy pokusach natury kalorycznej, bo to fajnie, fajnie, smacznie, pożywnie, a potem pierwsza randka w wyszczuplających gaciach, jak nic. Na to sobie pozwolić w obecnych czasach nie można. Dalejże więc głodówki, gimnastyki, diety i wyrzeczenia. Na pohybel, ku chwale, wbrew sobie.

Lepiej zamiast śniadania włączyć komputer. Na jego ekranie widniało właśnie ulubione zdjęcie Celiny. Na zdjęciu tym mała dziewczynka w otoczeniu Mężczyzn Swojego Życia – taty i dziadka. Tata zostawił rodzinę i wyjechał, dziadek umarł. Ale to potem, bo na razie dziewczynka ze zdjęcia ma cztery lata i jest na spacerze. Ubrana w niebieski płaszcz i czerwone kozaczki patrzy ufnie w obiektyw, bo wie, że nic złego jej się nie

stanie, kiedy otaczają ją najbliżsi. Tatusiu! – Słucham. – Obronisz mnie? – No jasne, kochanie, będę zawsze przy tobie. – Dziadziusiu! – Słucham. – Obronisz mnie? – No jasne, wnusiu, będę zawsze przy tobie.

I teraz to zdjęcie wygląda tak: jakiś most, ciąg latarni po horyzont, a na środku stoi dorosła kobieta w niebieskim płaszczu i gapi się zdziwiona w obiektyw. Stoi tam sama jak debil, bo tak ją właśnie załatwili. I tak tam będzie stała, aż ją coś na tym moście przejedzie albo piorun z nieba walnie. Tak tam będzie sobie zdziwiona stała. Oszukana.

Nie ma nawet narzeczonego, który by ją pocieszył. Bo on też umarł i zostawił.

Może to niezbyt optymistycznie zaczynać dzień od patrzenia na zdjęcie Braku, ale Celina trochę miała ciągoty do dołowania się. W młodości słuchała dużo przygnębiającej muzyki, najlepiej gdzieś na cmentarzu. Mimo że miała już grubo ponad nastolatkowość, to zostało w niej wiele z tamtej ubranej na czarno dziewczoi w powłóczyściej szacie. I sobie takie rozwalające zdjęcie na tapetę przywalić to żaden problem dla dziewczyny, która najbardziej lubi listopad, deszcz i zawodzący wiatr w kominie. Można wtedy usiąść i zamyślić się nad swoim nieszczęściem, jednocześnie jednak wzdychać do nieistniejącego mężczyzny, który weźmie w ramiona i spojrzy głęboko w oczy. A wtedy taka, przykładowo, Bzibzia z Ciaputkiem zaplanują ślub i kredyt.

A taka, przykładowo, Celina powie do faceta „ach, spadaj, jestem samodzielna!”, a on prychnie i sobie pójdzie. Wielokrotnie przerabiany scenariusz na potrzeby nieustającej telenoweli z zakochaniem nie szokował tak jak kiedyś i właściwie wprowadzał akcent stały w życie typowej singielki z dużego miasta, która zamiast chodzić na zakupy, chodzi na bijatyki. Ale, oprócz tego, szafa gra.

Zawsze tak jest, rzeczywistość przeciwko nam. Szczególnie w stolicy.

*

Bo Warszawa jest jak kromka chleba. Smaczna, zapychająca, ale niezdrowa. Ugniata się w brzuchu i rośnie w nim na zakalec. Odbija się to potem człowiekowi do wieczora i choćby popijał wodą, wstrzymywał powietrze i się nagle przestraszał – nie daje rady. Czkawka miejska, nie do zatrzymania. Wdziera się w mózg, stara się zawładnąć naszymi ludzkimi czynnościami, walka przegrana od początku.

Zresztą podobnie jest z jazdą po pijaku na rowerze. Wydaje się, że dwa, no, góra trzy piwa to niewiele, a joint był słabiutki i właściwie nic nie czuć. No i człowiek jedzie już do domu na sen, aż tu nagle wyskakuje zza rogu samochód policyjny i lizakiem wymachuje. Halt, zsiadamy z roweru, chuchamy. U, nieprzyjemnie się robi. Pan pyta, a piła pani coś, bo chyba tak (próbuję podpowiadać), a pani, że nigdy nie piła i tylko cukierki z advocatem jadła. Może dlatego tak chlor pachnie. A policjant, że w takim razie alkomat prawdę powie i sprawę rozstrzygnie. Dobrze, to dmuch do słomki, na liczniku cyfry jak wynik meczu i zaraz krępująca cisza. Taaaak. No, być może coś się jednak za dużo tych cukierków najadło. To prosimy panią do samochodu, a rowerek do bagażnika i na komisariat. Dowodzik, nazwisko panieńskie matki. Do pokoiku prosimy i rewizja. Potem sen, a jak się nie podoba, to do izby wytrzeźwień, gdzie obudzą prysznicem i jeszcze zmacają, gdyż tam weseli chłopcy pracują.

Celina milczy, bo jak coś powie, będzie jeszcze gorzej. Nie mówi nic, obserwuje, jak policjant wpisuje dane do komputera, a jego tłuste palce powoli szukają odpowiednich liter. I enter.

No, mówi policjant drugi, który gapi się na Celinę, jakby chciał ją, nie wiadomo, może przelecieć albo uderzyć. No, mówi, to będzie problemik.

I ona nie wytrzymuje i podejmuje dialog.

A potem już tylko dwie pałki i z kopa w tył. Do celi na komisariacie ulica Wilcza. Jakaś piwnica. Krata skrzypi, drzwi, klapka i jeszcze na koniec rzucone kurwy i pizdy, żeby sobie pijana rowerzystka nie myślała, że policja na kursach samoobrony nie miała języka polskiego.

Siedzi Celina i czyta napisy na ścianie tego przytulnego apartamentu z kubłem na szczochoy. Napisy: „Pozdrawiam fszystkich faszystów. Jebać Polonię! Kaśka to dziwka, rucha wszystko, co się rusza” i tak dalej, kwiat poezji ludzi zatrzymanych. niesprawiedliwie.

Nad ranem ktoś otwiera drzwi, daje szklankę słodkiej herbaty i dwie kanapki, które chyba są ze śmietnika albo ktoś na nie napluł wcześniej. Godzinę później drzwi znowu skrzypią, „wychodzimy!”. Rzucone w liczbie mnogiej, więc Celina machinalnie rozgląda się po pustej przestrzeni i zaczyna śmiać, bo przecież jej imię idealnie pasuje do zatrzymania. Cella – Celina. Ha, ha, zabawne! Wychodzi na ulicę, rower do odbioru za jakiś czas, bo to cała sprawa założona będzie, jej wyniki pozna się za kilka dni w sądzie grodzkim. Idzie Wilczą do Marszałkowskiej, odwiedza znajomych na squacie, potem wraca do domu, bo nie ma przy sobie pieniędzy na jedzenie. Idzie i myśli, że bez roweru jednak życie wygląda inaczej, a na kacu to już w ogóle źle. Postanawia wejść jednak po drodze do knajpy i na krechę upija się z powrotem. Potem przechodzi na czerwonym świetle, akurat trafia się patrol, który ją łapie, robi test na alkomacie i doprowadza na komisariat na Wilczą.

Warszawa jak spleśniała kromka chleba, bez dwóch zdań.

Namawianki

Dość wspominek, na nic stęki i jęki, kiedy sprawa wzywa. Jest akcja – jest impreza. Dalejże na rowerze (odzyskanym po dwóch tygodniach) do kolegów z placu Unii Lubelskiej pod śmietnik i dowiadywać się, co i jak, mianowicie, można zrobić w kwestii ratowania kamienicy i jej mieszkańców.

Czekali na nią już Dyszel z Mietkiem. Był nawet Stasiak z cmentarza Bródnowskiego, ten od plastikowych wiązanek i zniczy – czterdzieści osiem godzin palenia bez przerwy, promocja. Bo się okazało, że i on coś tam ze swojej Szmulowizny usłyszał. Tylko na zastępstwie żonę Helenę z synem Krystianem zostawił w budzie, szybko w punto wsiadł i na Mokotów.

Ale on w ogóle jest nieco ponad tymi śmietnikowymi zebraniem, bo ma biznes niby skromny, ale rozwinięty. I pod sobą kilku chłopów robiących takie i inne interesy w branży złom, odzyskiwanie kredytów bez żyrantów i zacieranie odcisków palców. Stasiak stał teraz oparty o drzwi do klatki i zapalał sobie spokojnie papierosa, wystukując rytm do następujących słów:

– A znam typa, on jest w ogóle od nas. Zaczynał na samochodach, potem rozszerzył działalność na agencje towarzyskie i potem zdominował rynek na prawym brzegu. W połowie lat dziewięćdziesiątych to on, ho, ho, nie takie układy miał ze wszystkimi: Pruszków, Wołomin i Ciechocinek. No wszyscy po prostu. Ale gdzieś tak na początku dwutysięcznego trafił na Rakowiecką. Miał szczęście, za pieniądze się wykupił, coś tam pokabacił, mówiło się, że sędzia miał zależności wobec niego, bo też w branży kurewskiej siedział. Ale nic w tym by złego nie było, bo każdy kombinuje, jak tu za kratki nie trafić. Problem w tym, że Kossakowski to konfident. Na co wytłumaczenia nie ma i być nie może. Dowodów większych brak, ale dziwnie po jego wypuszczeniu trzech najbliższych kumpi zwinęli. Że niby tak wyszło. Wyszło, i pewnie, ale z mordy tamtego, nakapował i tyle!

A to już sprawa nie do zapomnienia.

Bo kapować nie wolno – brzmi pierwszy punkt kodeksu honorowego obowiązującego na dzielnicy, na mieście, wszędzie po prostu. Za granicą nawet. Kto tej zasady nie przestrzega, jest niecharakterny i jako taki powinien być bojkotowany przez towarzystwo. Ale cóż z tego, skoro napsuło się teraz w środowisku i nikt już kary za donosicielstwo nie dostaje. Bo wygrywa ten, kto jest sprytniejszy, komu się uda i kto zarobi parę złotych. A jak, dzięki komu i w jaki sposób, już się liczyć przestało. W porządku, „skarżyć nie wolno – odegrać się wolno”, ale Kossakowski raczej powinien w dupę całować wszystkich kumpi, że mu tyle razy życie uratowali, a nie ich pucować na policję. No, ludzie, czy w tym narodzie to już nie ma, ja nie wiem, krzty tego honoru, tego ducha, tych dekalogów? Zapamiętać trudno nie jest – od małego dziecka do starości, od faceta do baby: nie kapujemy. Nie sprzedajemy. Ale jak kto cham, nic na to nie poradzisz.

I ten typ wyszedł spod celi, ale w niejasnych okolicznościach. Jego szczęście, boby go szybko skasowali. A tak to miał jeszcze jakieś oszczędności z interesów na kontaktach zagranicznych, dogadał się z niemiecką firmą budowlaną, bo on zawsze wałki kręcił z dojcziandem, język znał, taki obrotowy w sumie chłop. I dogadał się z nimi, i tu zaczęli się kręcić po rynku nieruchomości, i skupować ziemię pod Warszawą na inwestycje. Raz od dziada jakiegoś ruinę za bezcen wykupili, dziada z domu wywalili, coś tam w akcie notarialnym nakombinowali i normalnie na drugi dzień dziad w przytulku siedział, a na jego podwórku, co tam jego ojciec jabłoń sadził, a matka firankę na oknie wieszala, już buldożery rozjeżdżały zgnite resztki. Zaczął Kossakowski biznes w budowie, proszę was, deweloperski. Wchodzi, kupuje teren, wprowadza ekipę, buduje i potem sprzedaje – a to mieszkania, a to biura jakieś, banki, nie banki. Co tam kto chce i ile ma pieniędzy.

W pięć lat tak firmę rozrósł, że zaczął interesować się skupowaniem praw do starych kamienic. A kręgi zataczał coraz bliżej centrum. I sobie tak patrzył, jak kto odziedziczył starą ruderę i nie miał pieniędzy na jej utrzymanie albo i głowy do tego wszystkiego. To robił jakieś dziwne szacher-macher, tu odkupił, tu zasantażował, tam niby kogoś postraszył, że mu pół rodziny wyginęło, no w każdym razie nic mu nie udowodniono i ten sobie spokojnie działa nadal. Ludzi wyrzuca, zabytki rozwala albo czeka, aż samo się zawali, i potem – siup – apartamenta za trzydzieści tysia od metra. Mówi się, że bogactwo jego coraz większe. Mówi się również, że ma jakieś powiązania niejasne ze środowiskami, co do których niedobrze byłoby mieć wąty. Ale to tylko plotki.

Aż wreszcie nadszedł dzień, w którym facet pokazał pełnię swoich możliwości względem mieszkańców wysiedlanych kamienic. Bo oni mu wyskoczyli z jakimś tam prawem do niepodnoszenia czynszu, że coś tam, że lokale zastępcze, prawa lokatorów. Generalnie ludzie się zbuntowali, a facet nie miał czasu na takie tam protesty, to największą aktywistkę, taką babę, co nie popuszczała, napadł, wywiózł i podpalił. To znaczy pewnie nie osobiście, bo od tego to on ma swoich ludzi, ale fakt jest taki, że baby szukali, aż w końcu znaleźli, tyle że zwęgloną i nic już nieprotestującą.

Tu Stasiak zaciągnął się papierosem i zamyślił. Jak to jest, że tych nowych domów coraz więcej widać po mieście? Czy je ktoś zasiał, czy one same rosną, wyrzynają się z bruku i pną się w górę? Dziwna sprawa, poza kontrolą.

Pozostałe osoby międlili tylko przekleństwa pod nosem i wcale nie chciały się zastanawiać.

Propozycji było wiele, a każda sprowadzała się do zabicia.

– Spokojnie – przerwała litanie wendety Celina. – Tak to najprościej. A tu trzeba postraszyć całe środowisko takich jak on. Bo jednego się tropnie, a cała reszta zostanie. Musimy zrobić coś spektakularnego. Musimy pokazać, kto tak naprawdę rządzi miastem, kto ma tu najwięcej do powiedzenia. A gdzie on w ogóle mieszka, ten facet?

Ano podobnież na Mokotowie właśnie, niedaleko Domaniewskiej. W takich nowych budynkach, z rodziną mieszka i knuje.

To musimy go namierzyć dokładnie i zobaczyć, czym się zainteresowuje w chwilach wolnych od palenia ludzi. Poznać nawyki musimy, zrozumieć nieco. A potem wymyślić plan na zemstę w eleganckim stylu. Bo elegancja przede wszystkim. Sugerowałabym jednak podpalenie tego domu, tak na wszelki wypadek i w ramach zasady „oko za oko, ząb za ząb”. Miasto płonie, wiecie, i wtedy dzieją się najciekawsze rzeczy.

Rozstała się grupa, każdy poszedł w swoją stronę. Chociaż każdy z innej parafii, innego wyglądu, jednak wspólne zainteresowanie połączyło ich i skłoniło do konkretnych działań.

Bądźmy w kontakcie, bądźmy w porozumieniu, over!

Halina z Celiną i Staśkiem postanowili iść w stronę centrum.

– Często bywasz u nas, na Bródnie? – zwrócił się Stasiak do Haliny.

– Staram się kilka razy w tygodniu, ale teraz to tylko jak mnie nic nie boli i jako takie siły mam.

– Wiesz, jak mam czas, to podejść nieraz na grób tego twojego Antka. Tam zawsze tak płyta łśni, że aż miło popatrzeć. Lubitem tego chłopaka, czasem mi w biznesie nawet pomógł. Żeby tylko tak dorwać tych, co... – Nie dokończył i spojrzął na Halinę. – Nie ma co rozdrapywać ran, nie miejsce to ani czas. O zmarłych to sobie można przy wódce powspominać, a nie tak zniecka.

Oto właśnie połączenie Bródna z Mokotowem. Gdzie niewidzialny wiadukt łączy dwie dzielnice ze sobą tylko po to, aby jedna osoba mogła zapalić lampkę na grobie.

Bródno, początek świata, narodziny miasta. Jednocześnie grobowiec, koniec wszystkiego. Normalnie melodramat.

Sama Halina dzielnie nic nie odpowiadała Staśkowi. Ona też nie lubiła tych nagłych wspomnień, atakujących w biały dzień, niezapowiedzianych. Wiedziała jednak, że z nich także można czerpać siłę, można się nimi podierać niczym na twardym patyku.

Co innego, gdyby wierzyła w jakiegoś Boga czy miała kościół do chodzenia. Ale nic nie miała. Kiedyś poszła do takiego obok siebie, ale wcale jej się nie podobało. Było przyjemnie chłodno, ale jak się podkreśli klimatyzację, to wrażenie podobne, a nikt przynajmniej nie epatuje zwłokami na krzyżu.

Zanim dzwony obwieszczą niedzielą mszę, dookoła zawsze gromadzą się ludzie i milczą. Peszą Halinę, bo wydaje jej się, że od razu poznają, że ona niewierząca. A zatem: po co tu do nas przyszła?

Stoją ludzie w kurtkach skórzanych, w bluzach od dresu wystających spod tych kurtek i nachodzących na spodnie od garnituru. Na końcu buty, półbuty raczej, które cały czas zmieniają swoje położenie. Prawa kostka uderza o lewą kostkę i na odwrót, a wokół chłopaków rysuje się mandala ze śliny. Nie w niej jak zaczarowani, coś tam sobie opowiadają, coś planują. Ale od niechcenia, na półsłówku, bo emocje należy trzymać w ryzach. Nie ma co się emocjonować, kiedy na świecie jest tak źle. Zachować rozsądek nawet przy największej chryi, twarz mieć znudzoną, ze strzykającą dziurą w zębie. I że niby nic się nie dzieje, ogólnie zblaz.

Słychać dzwony, robi się ruch przy drzwiach. Chłopcy dogaszają papierosy, ostatni mach do płuc, zresztą dziewczyny już idą.

I tylko kozak, szpila, kiecka do majtek, futerko przy kapturku. Torebka! Podchodzą do chłopaków, trącając ich łokciem w kurtce i opowiadają: „U niego chciałam jego rzeczy oglądać, bo lubię, a on podkreślił grzejnik, żeby podnieść ciśnienie, to ściągnęłam bluzkę i on też i wtedy z łokcia mu pociągnęłam, bo mszczę się na facetach”.

Zaraz wchodzi do kościoła. Włosy do góry poprawiają i idą. Przykłek przed krzyżem i w chichocie do ławki. Zaraz będzie msza, to się esemesy powysła, gierki na blutufa prześle. W trakcie komunii, podejść trzeba do księdza i otworzyć usta, to najpierw tiktaka, żeby strawioną wodą nie zionąć i zębem żółtym od fajka. Mówią, trajlują, szczebioczą i buczą.

– Sytuacja wyglądała tak, że ona najpierw tamtej powiedziała, że owszem, czemu nie, ale potem zmieniła zdanie i on wtedy to słyszał, i się zdziwił, no, ale bez przesady i w ogóle. Szok. Więc tamta szła w zaparte, że ona wcale tego nie mówiła i że to tamta. Ale tamta to słyszała i wysłała esemesa jemu, że to kłamstwo. On się zdziwił. Później się spotkali i jakby nigdy nic, tylko że on jej nie odwiózł do domu samochodem, bo powiedział, że to samochód jego starej i ona się nie zgadza. Aha, akurat! Sorry bardzo, ale to ściema, bo nawet jeśli tak by było, to przecież starej w wozie nie wozi, to co ona ma do tego i by się nie dowiedziała. To tak tylko powiedział, żeby z tamtą czasu nie spędzać. Normalnie żal, jak on kłamie, zawsze kłamał, był taki, że po prostu sto wymówek na godzinę, weź przestań, bo mi się rzygać chce, jak sobie przypomnę, co on wtedy wyprawiał na imprezie i chyba go poniosło przez to, że był napity, ale są jednak granice, tak że wiesz.

I wtedy nie wiesz już nic, oczywiście, bo tego się nie da pojąć, tego mielenia, przesuwania słów z prawa do lewa, naginania sensu tam, gdzie go nie ma.

Ciało Chrystusa – amen – i język do opłatka, a na języku kolczyk, to zaraz opłatek zmiękczy się, zawinie wokół kulki i odkleić się nie zechce. Potem, już w ławce na swoim miejscu, można delikatnie Ciało Jezusowe podważyć tipsem, to się to jakoś połknie. Koniec mszy, wychodzimy na zewnątrz i na ławkę omawiać resztę dnia. Ale tak jakby ten dzień lepszy jest, bardziej święty.

Wszystkie dziewczyny zbite w grupkę, w spodniach luźnych, w adidasach. Jedna tak oczy mocno podkreśliła czarną kredką, że ich prawie nie widać. Żuje gumę i patrzy wyzywająco na Halinę.

– I co, zaciążyłaś, to myślisz, że wpierdolu nie dostaniesz? Jak nie oklep, to chociaż skrojenie z komory i drobnych. Nam obojętne, możesz se wybrać.

A Halina też patrzy jej prosto w twarz i nic nie mówi, bo co będzie gadać i po prostu z kim? Naciąga kaptur na głowę i odchodzi. Ale tamte nie popuszczają, tylko klepią po plecach, nie tak prędko, kurwo, nie skończyliśmy z tobą! I że ustaweczka za blokiem, tuż przed parkiem. Teraz albo wieczorem, im to bez znaczenia. Wszystkie przychodzą bez narzędzi, na gołe ręce te zabawy, na gołe oczy.

Nie ma mowy, nie czekamy z takimi sprawami i załatwiamy je od razu. Która ze mną w krzaki, która ze mną na ręce, która się odważy?

Wszystkie. Już stoją przyczajone, wzrok ich mierzy napastniczkę, próbują wychwycić najmniejszy gest, oczekują.

Na środku ona, w półzłokroku mierzy się i pierwszą z dziewczyn, najbardziej hardą, załatwia głową, z byka. Klasycznie, po mokotowsku, na czoło. Tamta leży, z czoła jej leci krew, mówi „pas”. Następna podchodzi i lewy sierpowy próbuje, to zaraz prawym dostaje prosto w klatkę piersiową, w bolesne miejsce, po uderzeniu którego całe ciało drętwieje, osuwa się na ziemię.



Trzecia i czwarta chcą razem się próbować. Dla Haliny to trochę za dużo, zważywszy na zaawansowaną ciążę. Udaje jej się jednak z łokcia i kolana położyć jedną z napastniczek. Druga, honorowo, wycofuje się i osłania resztę.

– I co – dyszy Halina – żadna już nie chce?

Żadna. Dziewczyny powoli wstają i ocierają sobie nosy. Pozostałe osoby stoją w milczeniu i patrzą.

Halina odwraca się i odchodzi. Czuje, że życie jest blisko, ale nie potrafi go już złapać i zbić. To zaczyna się robić nieznośne, to zaczyna robić się złe.

Halina nic nie miała do omawiania, nie potrzebowała żadnej świętości. Potrzebowała samego życia. Szukała go w bójkach, bo wtedy najbliżej jej było do śmierci, wtedy wiedziała, co to znaczy żyć.

Plac Unii stopił się w słońcu, nabral oddechu obok byłego Supersamu i wypuścił głośno powietrze w stronę kościoła ewangelickiego. Roste kamienice odbiły szybami promienie i oświetliły rogatki. W jednej z nich mieszkał Romek Tasak, znany miłośnik siłowni, hantli, pakerni i odżywek. Wyglądało to wszystko jak kanciapa starego dziada. W nielegalnie zajmowanym budyneczku, plac numer dwa, o braku przeznaczenia, urządził sobie pokój ćwiczeń. Na ścianach wisiały plakaty napompowanych panów i gołych pań, a wokół nich wyla się roślinności. Bo Romek Tasak uwielbiał природę, dbał o nią i walczył. Jak tylko zobaczył gdzieś ludzi wchodzących na trawnik, to zaraz ludzie ci fruwali wysoko i na zawsze w sfery niebiańskie. Sam sadił cebulki, nasionka, szczepy wszędzie, gdzie się dało, i zaangażowany był w partyzantkę ogrodową. Z tyłu kieszeni, tam gdzie zwykle wystaje grzebyk, on trzymał małe grabki i garść ziemi, aby w każdej chwili być gotowym na przesadzanie, podsypywanie i wykonywanie niezbędnych czynności mających na celu ratowanie przyrody. Głaskał drzewa, przytulał się do nich i czerpał z nich siłę tak potrzebną do miejskiego wrestlingu. Rozmawiał z roślinkami, szeptał im swoje sekrety, a one go rozumiały i nigdy nie oceniały.

Celina z Haliną i ze Staśkiem postanowili odwiedzić Romana, bo czuli, że ten mógłby pomóc w sprawie dewelopera. Poza tym był na tyle szalony, że mógł się zgodzić tak iść i sobie coś wysadzić. Sam borykał się co chwilę z Zarządem Gospodarowania Nieruchomościami, z urzędem do spraw nielegalnych mieszkańców, do spraw niepłacenia czynszu i panoszenia się na nieswoim. Co jakiś czas policja przychodziła nieśmiało eksmitować Romana z rogatki, ale za każdym razem musiała rezygnować z tego zamiaru. Na głowę strażników prawa leciały worki z moczem, zapalone butelki, śmieci i petardy. Po kilku godzinach walk dziki lokator stawał się naprawdę dziki i z dachu łał wrzątek, uprzednio zagotowany w wielkim garze. A jak było tego mało, to i osobiście schodził na dół i łał rękoma. Na pytania, czemu mieszka nielegalnie, odpowiadał, że mu się domek taki podoba, a że od lat stoi pusty, to on przynajmniej o niego dba. Na to padał argument, że przecież to nie jego, a wtedy Roman chciał wiedzieć, gdzie w takim razie jest napisane, że to nie jego.

Wierzył w to, co jest czarno na białym, a że sam miał problemy ze składaniem liter, to tym bardziej ciągi wyrazów jawiły mu się jako coś ważnego i nie do podważenia.

Siedział sobie teraz na schodkach i czyścił swoje buty. Obok zniemaczeni przechodnie odwracali wzrok od dziwnego człowieka, którego nigdy w życiu nie chcieliby spotkać w nawet jasnej uliczce.



– No cześć, Romuś, sprawa jest.

Romek odwrócił powoli głowę i mruknął coś niewyraźnie. W ogóle mu się nie chciało gadać, z rozmowy to on miał mierny na koniec roku i nigdy nie startował w konkursie na Srebrne Usta.

– Chodzi o szybką akcję z jednym fagasem podpalającym ludzi – włączył się Stasiak, ale szybko zrozumiał, że to nie jest dobry trop.

Halina najdłużej znała Romka, więc wiedziała również, co tak naprawdę może go zainteresować i sprawić, że na chwilę odłoży swoje zajęcia na bok, poruszy oczami, wyda jakiś dźwięk.

– Ten typ podpala też krzewy na podwórku, kosi kwiaty i rąbie drzewa.

– Ooo!

Reakcja siłacza była natychmiastowa i jednoznaczna. Kto znał Romka, poczuł mojrę.

Ale jeden nie znał jej

I naraził się dlatego na dintojrę,

Skończył się z przyczyny tej.

A ballady podwórzowe, legendy miejskie najlepiej oddają sens załatwiania porachunków.

Zaraz, od słowa do słowa, wszyscy ustalili plan. A kiedy zaszło słońce na placu Unii, wówczas część osób przeniosła się na pewne podwórko, gdzie do późnych godzin nocnych rozlegały się śpiewy.

Dolny Moko

W tym czasie Stefa podlewała ziemię w doniczkach na balkonie. Miała małą konewkę i chodziła od kwiatka do kwiatka. Delikatnie podnosiła kielichy, obserwowała spód liści i przestawiała do słońca. Na balkonie pełno doniczek, obok nich leżał z kupką kolorowych pism. W pokoju dzieci grające na playstation i kłócące się o kolejność strzelania. A na starej wersalce w dużym pokoju leżący mąż, którego przywieźli wczoraj ze szpitala („Ja po niego chodzić nie będę”). Sparaliżowany, obolały, marudzący. I Stefa wokół niego, niczym sanitariuszka wojenna, jednak bez entuzjazmu, nieco z obowiązku i z cichą satysfakcją, że teraz role się odwróciły. Że teraz ona ma przewagę, może rządzić. A to mu poda leki, a to mu nie da obiadu. A on, taki nagle malutki, potulny, otępiaty leży i sika w pieluchę. Gdzie jego silne pięści bijące po całym ciele, gdzie jego grymas na twarzy, kiedy cedził przez usta najgorsze epitety? W pięść ma wbity wenflon z kranikiem, usta obślinione szeptały ciche prośby.

Unieszkodliwiony oprawca był na swój sposób rozczulający. Stefa mogłaby przysiąc, że kilka razy poczuła w sobie coś na kształt miłości. Nie z litości, raczej ze wzruszenia nieoczekiwaną zamianą ról. Zamierzała mścić się dalej, ale w sposób zawołowany i subtelny. Od pobić były koleżanki, ona miała swoje wysublimowane sposoby dosypywania pół łyżeczki trucizny do zupy. Powoli, cierpliwie, z troską.

Skończyła podlewać kwiatki i usiadła na leżaku. Z oddali słychać było radio, w rytm melodii stukła sobie kapciem o piętę. Sielski lipiec, pachnący latem w mieście. Roztopionym asfaltem i czymś strasznym, niepokojącym. Usypiającym.

Nagle z lokalnego radia popłynął komunikat:

– Przerwywamy program, aby przekazać wam informację dotyczącą odkrycia zbrodni w jednej z dzielnic stolicy. Dwa ciała wykopane zostały z ogródka, ciała spalone i nie do poznania. Przypuszczalnie to mafijne porachunki i porządnych obywateli one dziwić i interesować nie powinny. Jednakże, aczkolwiek, są pewnego rodzaju zagrożeniem dla ładu i porządku, dlatego też apelujemy: nie łączyć bez potrzeby w okolice Gagarina, bo tam strzelają i ludzi rozpruwają właśnie teraz. Czy ma to związek z trupami, nie wiadomo, ale pewne jest, że szaleniec zamknął się z zakładnikiem w warzywniaku i grozi, że wysadzi w powietrze dom mieszkalny, jeśli mu się nie przyniesie walizek z pieniędzmi i kortów tenisowych z basenem. Mówi, że nie jest z grupy zorganizowanej, ale kto go tam wie.

Głos z radia zawiesił się złowrogo i wstrzymał oddech. Za to Stefa odetchnęła głośno.

Szaleniec w warzywniaku? To musi być Maniek Mistrz, któż by inny. Stefa energicznie wstała, zdjęła fartuch i wyłączyła zupę. „Dzieci, będę niedługo”, rzuciła. Wyszła z domu.

Na miejscu nie była w stanie przedrzeć się przez kordony policji zabezpieczające okolice. Tłumy gapiów stały wokół czerwono-białej taśmy i kibicowały obu stronom.



- Wysadzi nas wszystkich – zawyrokował staruszek w podniszczonym paltociku.
- E, prędzej go złapią i wywożą, to szalenciec, żeby się do warzywniaka wkładać i szantażować, też mi coś!
- Ale właśnie o to chodzi, żeby zaskoczenia. Nie u jubilera, nie w banku, lecz wśród warzyw i owoców.
- Wegetarianin terrorysta – podsumował ktoś ironicznie i odszedł zniesmaczony.

Stefa podeszła najbliżej jak się dało do zabarykadowanego sklepu i krzyknęła na Mańka. Chwilę słychać było dziwną kotłowanie w środku, jakiś rumor i zaraz ukazała się łysa głowa.

- Kochanieńka, zajęty jestem. Oddzwonię.
 - Ale sprawa jest, nie ma czasu. Szukałyśmy ciebie po całym mieście, a ty się tu bawisz.
- Maniek wyłonił się ponownie, mrugnął okiem i delikatnie wskazał głową na prawą stronę.

Schował się w warzywniaku i za chwilę słychać było wybuch. W powietrze poleciały marchewki, brukselki i winogrona. Czekolada z okienkiem spadła tuż pod nogi jednego z policjantów, który, rozsierdzony, rzucił się do środka. Niestety, ze względu na małą powierzchnię sklepu i szczypiący dym musiał szybko uciec. Reszta policjantów pobiegła na drugą stronę budynku. Było już za późno – Maniek wyskoczył tylnymi drzwiami od zaplecza, jak tylko rzucił ładunek. Uciekał teraz przez podwórka Dolnego Mokotowa z kieszeniami wypchanymi jabłkami. Wbiegł do kamienicy na Tatrzańskiej i kopem otworzył drzwi do piwnicy. Czekala już na niego Stefa, która znała tę kryjówkę aż nazbyt dobrze. Zanim wzięła ślub, mieszkała w tym domu i przesiadywała z okoliczną dzieciarnią, bawiąc się w bazy, palenie papierosów i przebijanie opon. W piwnicach był cały jej świat, to tu uczyła się życia.

Patrząc na współczesną odślonę ulicy, trudno było wyobrazić sobie sławki na podwórku, drewniane schody kamienic i podwórka studnie. Dolny Mokotów ma już przecież swoje apartamentowe plomby, swoje szklane dachy, pod którymi obradują redakcje gazet, zarządy spółek i palestra. I tylko kiedy zajrzało się w stare podwórka za śmietnikami i weszło nieco za Gagarina, bliżej Chełmskiej, to od razu wyczuć można było specyficzny zapach starych desek. Dziwnych sklepików z plastikowymi miskami zawieszonymi na drutach, które dyndały nad głowami przechodniów. Nawet wytwórnia filmów, warszawskie Hollywood w starym stylu wyglądało na magazyny farmaceutyczne z dawnych czasów. Bar Carrington, sklepiki spożywcze z paniami w białych fartuchach – wszystko to przenosiło Stefę w czasy dzieciństwa. Schodząc z Górnego na Dolny, zeszła niejako do swoich korzeni. Nawet mówić zaczęła nieco szybciej, niedbale, zjadając końcówki. Nie to co na Upper Moko – zblazowanie i powoli.

Czekając na Mańka, przypominała sobie matkę wywieszającą pranie na długim sznurze rozciągniętym przez całe podwórko, te wszystkie pościele i gacie łopoczące ostentacyjnie jak flagi niepodległości dzielnicy. Przypominała sobie gry w gumę na kosteczki, łydki, kolanka, uda, pas i paszki. Wyprawy do okolicznego warzywniaka (dokładnie tego, na który napadł kolega, zresztą nie pierwszy to już raz) i kupowanie oranżady w przezroczystej torebce z kolorową słomką do przebijania w rogu. Dzieciństwo pchało się namolnie pod powieki, straszło traumą szkolną

i nieodrobionymi lekcjami. Ale jak to odrabiać te matmy z polonem, jak na podwórku koleżanki stoją i pod oknem się drą: „Wyjdzieeeesz?”. A co miała nie wychodzić. Tylko w drewniakach łup, łup po klatce i na dół z badmintonem. Przy trzepaku trzy fikołki z kiecką na głowie i chłopaki zaraz: „Widać ci kino, gupia mała!”. A ona sukienkę z powrotem na tyłek i język na brodę. „Łeee, sami jesteście gupi!”.

Stefa uśmiechała się do siebie z przeszłości, gładziła po głowie małą dziewczynkę, której tata umarł, a matka wzięła się pod boki i tylko przyrzekła na głos, że córki i syna gołych w dorosłość nie puści. Synowi starszemu pod koniec lat dziewięćdziesiątych wypożyczalnię kaset wideo kupiła, a córkę posłała do fryzjerskiej i kosmetycznej na Kazimierzowską i jej zakład potem ufundowała. I teraz córka, mimo że ją stary leje, to przynajmniej niezależna jest finansowo i swoje pracownice ma trzy, tak że radzi sobie całkiem, całkiem.

W rozmyślenia wkraść się rumor, Maniek usiadł na starych skrzynkach i wyciągnął antonówkę.

– Chcesz? – rzucił do Stefy. – Zdrowe, dobre, wzmacnia zęby, reguluje trawienie, zdrowość, marnego słowa nie da się powiedzieć.

– Maniuś, szukamy dobrych i uczynnych ludzi do takiej sprawy, mianowicie trzeba pewnego pana tak postraszyć, żeby mu się odechciało. Masz doświadczenie we wchodzeniu do mieszkań w sposób niezauważony, a my tak właśnie chcemy po cichutku wejść. Ale najbardziej to nam jesteś potrzebny do wysadzenia jednej rzeczy, mianowicie budynku mieszkalnego. Tylko, wiesz, tam dzieci są i nie chcemy krwi.

Maniuś skrzywił się z dezaprobatą, e, to nie dla mnie. Nie ma krwi, nie ma satysfakcji. Ale Stefa zaczęła wyjaśniać mu, kto już jest w honorowym Komitecie do spraw złego kamienicznika i że są już wstępne plany, zbierani są ludzie po mieście, to ma być powrót do korzeni.

Bo to jest tak, że młodzi nie mają żadnych zasad, krzywdzą niewinnych, idą na dwadzieścia pięć lat do więzienia bez sensu i tylko ćwiczą mięśnie. A to chodzi o wprowadzenie w miasto starych zasad sprawiedliwości i honoru. Jasnych reguł, dzięki którym ludziom żyć się będzie lepiej. Bo chodzi o to, aby ludziom żyło się lepiej, prawda?

Maniuś otarł łzę z policzka, gdyż był człowiekiem uczuciowym i naprawdę chciał dla ludzi dobrze, a że dla siebie również, przy okazji, to nic zdrożnego. Od dawna marzył o basenie, aby w nim pływać całe dnie, dlatego też postawił warunek, że w całej sprawie z Kossakowskim ugra też i dla siebie jakiś bonus. A tymczasem ma już pewien plan, skoro przy Domaniewskiej nowe bloki są, to część z nich powiązana jest ze sobą korytarzami. Wie, bo kolega nurek interesował się możliwościami zamieszkania na nowym, strzeżonym osiedlu. Wchodzi sobie w kanał na zewnątrz, przechodzi do środka i dosłownie tuż pod kanciapą stróża się urządza, bo tam jest wzniesienie zwykle i woda nie stoi. A ciepło jak w uchu, bo stróż plastikowym kaloryferkiem budę nagrzewa, żeby mu po nerkach nie wiało. I mieszkanie na dole w deseczkę, nie ma co.

I teraz, na starych skrzynkach w piwnicy, na ulicy Tatrzańskiej, co to wszyscy z literatury wiedzą, że „mała uliczka, może około dwustu metrów długa, leży między ulicami Górską i Nabelaka”, powstawał prosty, acz niebezpieczny plan dania nauuczki złemu deweloperowi, co nie tylko dla roślin i architektury zły, ale i dla ludzi. To spotkać się powinno z głosem krytyki rdzennych mieszkańców stolicy, którzy dość już mają panoszenia się chciwych, bezwzględnych i tym podobnych. Nie rzucim warszawskiej ziemi, naszego syreniego grodu, do boju, Warszawo! Wśród rewolucyjnych planów rozlegało się, co jakiś czas, chrupanie jabłek. Bo zdrowe.

Babcia znajduje dwa włosy

A tymczasem na Malczewskiego zapachy z okna smakowite, aż się apetyt zaostrza. To babcia Haliny, Gienia po prostu, gotuje późny obiad. Pewnie i na Tatrzańskiej go czuć, ale tam to nie ma czasu na jedzenie. Co innego u Gieni, co innego u z górą osiemdziesięcioletniej staruszki. Tu czasu jest ponad miarę, tu czas trwa w miejscu i czeka przyczajony na swój koniec.

Instytucja babci znana jest w Polsce jako instytucja służącej. Starsza pani na klęczkach zbiera klocki wnuków i robi im przeciery z działkowych zapasów. Na spacerzy chodzi, chociaż nogi napuchnięte, ledwo się w rajstopy mieszczą, ledwo buty można wzuć. Babcia w wolnych chwilach szydełkuje, piecze, pożyczka pieniądze i dźwiga zakupy spod hali, bo rodzina przyjdzie na niedzielę i trzeba nagotować.

A gotuje wysmienicie – pięć dań dla każdego. Bo jeden nie lubi kurczaka, drugi nie je mięsa w ogóle, trzeci gęś docenia, a jeszcze kolejny za nic nie przełknie barszczu, więc lepsza ogórkowa.

Wyszperanie resztek emerytury, zakupy, kolejki, tachanie. Wieczorem, kiedy połknie się już wszystkie leki przepisane i te na własną rękę, bo się przecież swój organizm dobrze zna, to w tle leci telewizor i w tym serialu takie są problemy, jak on mógł ją tak zdradzić.

O, to wieczorem myśli też inaczej płyną i pamięcią się sięga dalej, niżby się chcieli. Bo to nie tylko dzieciństwo na Złotej z trójką rodzeństwa w jednej izbie, węgiel w kubie noszony z dołu. Ale i późniejszy czas bombardowań, rozstrzeliwań. Tata poszedł po wodę, tak potrzebną w schronie, no i nie wrócił. To najstarszy brat wybiegł po kilku godzinach na podwórko, gdzieś się pomiędzy ścianami chował, biegł. Wreszcie na rogu z Marszałkowską zobaczył tatę leżącego. Obok wiadro z wodą, ale, niestety, rozlaną. Tata nie miał butów, ktoś mu musiał ukraść po drodze, ale po co buty, jak tata nie żył? Na co te wszystkie przedmioty, jak ktoś już nieżywy? Na co to komu?

I przyszło powstanie, przyszły wakacje. Z bandażami w chlebaku pod barykadami sznurkiem. Przeskakiwanie placu Wareckiego wszędy, opatrywanie.

Jeden z rozerwaną nogą, taki gruby, ciężki do podniesienia. To ona woła do koleżanki, na nosze go nie da rady, nosze pękają. Ale jak go tu nieść, przecież się go nie zostawi, tego grubego. Wreszcie kolega silny złapał, hej-hop, i na nosze. A dziewczynom aż się kolana ugięły, taki ciężar. I dalej do najbliższej jednostki, byle szybko, bo tak krwawił. Cięża bezwładne ciała przerzucone na reszcie płótna rozpostartego na dwóch palach. Lekarz zerknął tylko na twarz rannego i mruknął, nie ma sensu, przecież on właściwie nie żyje. Więc kazał go położyć z boku, gdzie już dwa trupy leżały.

I na co to było targać, nogi nadwyręzać?

Cały czas się babcia zastanawiała, co to znaczy „właściwie nie żyje”. Całe swoje życie myślała o tym. Aż jak jej mąż na Solcu umierał na raka, pielęgniarka do niej na korytarzu podeszła i też: „Pani tam pójdzie do męża, bo on właściwie już nie żyje”. I się pożegnać trzeba było, podziękować za te pięćdziesiąt lat życia wspólnego. Bo „właściwie” chodziło o to, że jeszcze wszystko w środku żyło, tylko mózg chyba już nie, ale też nie wiadomo, bo mózg to narząd spory, skomplikowany. Integracyjna rola mózgu wymaga bezustannego utrzymania wszystkich funkcji organizmu. I niby śmierć mózgu jako całości pozwala stwierdzić brak życia. Nawet specjalne ustawy, a babcia się ich uczyła jeszcze przed emeryturą, bo jako lekarz musiała być na bieżąco, mówią, że trwałe ustanie funkcji części mózgu, zwanej pniem mózgu, świadczy o śmierci mózgu jako całości.

I jak patrzyła na męża białego, z zamkniętymi oczami, to widziała nie swojego tatę, co miał mózg przestrzelony i było widać gołym okiem, że nie żyje, tylko patrzyła na męża przez pryzmat tych wszystkich wytycznych szpitalnych, tych komisji sprawdzających, czy rzeczywiście nastąpił zgon, bo jeśli tak, to odłączamy od aparatury, nie ma sensu leczyć nieżywego. Sześć żelaznych punktów, aby stwierdzić, czy pień mózgu zmarł: pierwszy: brak reakcji żrenic na światło, drugi: brak jakichkolwiek reakcji ruchowych na bodźce bólowe, trzeci: brak odruchu wymiotnego i kaszlowego po podrażnieniu gardła i tchawicy, czwarty: brak odruchu rogówkowego, piąty: brak spontanicznych ruchów gałek ocznych, szósty: brak odruchu oczno-mózgowego, czyli bezruch gałek ocznych przy przekręceniu głowy na bok. Serce bije, ale odruchów nie ma. A zatem określenie „właściwie nie żyje” staje się nieaktualne. Oznacza tyle, co „przed chwilą odszedł, proszę się pożegnać ze zwłokami i nie liczyć, że zwłoki odpowiedzą”. Że udzieli informacji, czy zapłaciły za gaz ten rachunek, co od miesiąca leży przy telefonie, „przecież mówiłam już ci tyle razy, żebyś poszedł na pocztę to opłacić. Wiesz, że nie lubię mieć zaległości, nie lubię mieć długów”.

No właśnie, to zwłoki już na takie pytania nie odpowiedzą, trzeba będzie samej dzwonić do gazowni i wyjaśniać. Nasz, to znaczy mój numer klienta to 026455. Bo mąż to zawsze załatwiał, ale mężowi się zmarło. Czy mogłaby pani sprawdzić zaległości? Nie mamy, to jest: nie mam? Bardzo dziękuję. Aha, a do przepisania umowy z męża na mnie to co mam zrobić? Przynieść akt zgonu męża do biura obsługi klienta.

Akt zgonu. Co to jest za słowo? Akt to albo goła baba, albo w prawodawstwie coś, albo archiwum tych akt czy co. A tu „akt zgonu”. Dowód śmierci, taki nasz nowy dowód osobisty do legitymowania się wszędzie tam, gdzie już się osobiście nie pojawimy. Gdzie tylko odpis z naszej śmierci zrobią w odpowiednim okienku i trzeba będzie pozmienić w dokumentach wszystko. W ZUS-ie, w skarbowce. W administracji spółdzielni mieszkaniowej, na poczcie, w energetyce. To pani doniesie ten akt zgonu w dwóch kopiach.

Nie wiadomo po co? Czyżby nie wierzyli, że on naprawdę nie żyje? To ona im to może łatwo udowodnić: trzymała jego zimną dłoń, która miała jeszcze pod skórę wbity wenflon i odchodziła powoli wraz z resztą ciała. Ona może to pani z okienka opowiedzieć z detalami. Jak mąż na sam koniec zrobił pod siebie, ale już tylko wodą, bo tak był organizm wycieńczony rakiem, że nic w środku nie miał. Wszystko wyjedzone, wypalone chemią. I tak leżał mąż, „właściwie nieżywy”, na mokrym prześcieradle i co teraz? Ani tego zmieniać, ani nic. I te odchody to już śmierdziały śmiercią, tu już niczego do zmiany nie było. W sumie.

I babcia tej pani z ubezpieczeń mówi, że ona ma w teczce przygotowany dokument o śmierci męża „śmierć nastąpiła w dniu, o godzinie, w wyniku”, ale ona jej powie, że jak całowała po raz ostatni policzek męża, wyjątkowo nieogolony, to wtedy poczuła jakby skurcz jego twarzy. A to przecież było już po wszystkim. Ale co się dziwić, kiedy i serce potrafi bić, jak już mózg nie żyje. Po prostu cała ta wewnętrzna machineria wyłącza się powoli, to nie jest tak, że pstryk i już ciemno wszędzie, głucho wszędzie. To się musi powolutku odzwyczaić od działania, pompowania, wysysania, chłonięcia, przekazywania.

Dopiero wtedy ostatni jakiś ruch, jakiś ruch niczym na chwilę przed zaśnięciem, niekontrolowany zamach. I już.

To już?, pyta babcia lekarza. A on patrzy na maszynę i mówi, że już.

Cisza.

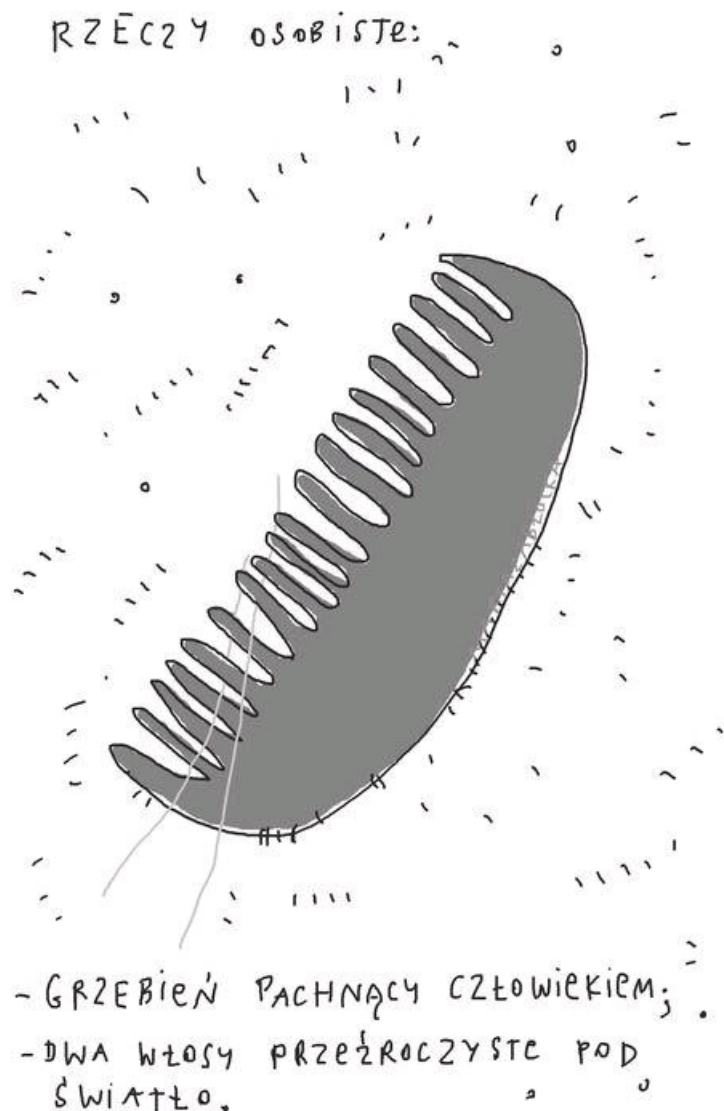
Co wtedy zrobić? Co powiedzieć? Lekarz pielęgniarkę wydaje polecenia, ona odłącza aparaturę, wyjmuje kroplówkę z ciała denata. A babcia siada na krześle i patrzy. I trochę jej na chwilę nie ma. Zaraz jednak wraca, bo pielęgniarka prosi ją do siebie, tu trzeba zwłoki przewieźć do szpitalnej kostnicy. Rzeczy osobiste życzy sobie pani schować sama czy my mamy to do tej torby włożyć?

Rzeczy osobiste. Znowu te rzeczy. Nic nieznaczące okulary, grzebień z dwoma włosami między zębami.

Te dwa włosy, kiedy się weźmie pod światło, to wydają się przeźroczyste. Pewnie dlatego, że siwe, jasne, to i światło przez nie przechodzi.

Grzebień pachnie wodą po goleniu i wodą brzożową, na wzmocnienie cebulek włosów. Grzebień pachnie człowiekiem.

Nie wiadomo, co zrobić z dwoma włosami. Za chwilę nie będzie niczego, co miałyby z nimi związek. Jeszcze w trumnie to przez jakiś czas wszystko na swoim miejscu. Ale jak się spopieli, nawet włosy nie będzie. Chyba że gdzieś się tam to źle upiecze. Ale nie, wszystko na proch. Włosy na proch.



No więc co z tymi dwoma włosami?

Do torebki z grzebykiem. Z zapachem w środku, nie wiadomo, po co to, na pamiątkę i czego, i kogo. Ale wyrzucić jednak głupio.

Młode wdowy znajdują okruchy na talerzu po kanapkach. Stare wdowy też coś zawsze znajdują.

Wszystkie one nie dostały instrukcji obsługi, co się wtedy z takim znaleziskiem robi. Żadna wdowa nie dostaje wsparcia. Wszystkie one pozostawione są same sobie, z tymi niekończącymi się przedmiotami.

I weź tu żyj.

Babcia odwraca się za siebie, a dziadka już wywożą z sali na dół, do lodówki. Chce jeszcze podejść i dotknąć włosów, ale się wstydzi, pomyśla, że głupia baba zwariowała. Nie będzie scen odstawiać. Poza tym, jak tu dotknąć włosów męża przy salowej, lekarzu i ludziach na korytarzu, którzy spacerują sobie w pasiastych szlafrokach i z zaciekawieniem patrzą na jadące łóżko.

O, popatrz, tamten stary umarł, no tak, to było do przewidzenia.

Właściwie umarł.

Zbiera się brygada niezła

Babcia nad garami chłonie zmarszczoną skórą opary potraw i odświeża się zapachami gotowanej włoszczyzny. Tak jej się te zmarszczki wtedy rozprostowują jak u najlepszej kosmetyczki. Poprawia sobie mysi kucyk na plecach albo loczki z trwałej i stoi przy garach dalej. A tu już w ślepej kuchni zaduch, nic nie widać, skwierczy tłuszcz na patelni w oczekiwaniu na pierogi lepione po nocy w nakładzie trzysta sztuk. Każdy z inicjałami konsumenta, zadedykowany innemu członkowi rodziny. Spersonalizowany jak modna zawieszka na przegubie warszawskich modniś. Babcia poprawia podomkę na wystających piersiach i wrzuca do zupy garść ziół. Żadne tam zerwane o zachodzie słońca, zwykle z torebki, z przeceny, dwa w jednym pakowane i wciśnięte do ręki przez hostessy hipermarketu. Babcia miesza w kotle ciecz, mamrocze pod nosem, radio gra przeboje i zaraz informacje dla żeglugi, w Nidzicy przybyło trzy, na Miedoni ubyto dwa. Dobrze przedpołudnie, zupa prawie gotowa. Zaraz telefon, och, to wnusia dzwoni. „Kochana, co u ciebie, obiadek ci gotuję, wpadniesz do mnie? Wpadniesz? Wspaniale, tak się cieszę, na drutach ci zrobiłam pantofelki po domu, to będziesz miała, żeby się od ziemi nie zaziębić, bo teraz to nie możesz, kochana, sobie pozwolić na żaden katarek, w twoim stanie”.

Wnusia Halina z ledwością wchodziła już na trzecie piętro starej kamienicy. Brzuch ciążył, nogi ciążyły i właściwie w tej swojej bolącej cielesności podobna była do staruszki. Zasapana otworzyła drzwi i przytuliła się do babci Gieni z wdzięcznością.

– Prawie do ciebie biegłam, ale taka byłam głodna, że już po drodze nawet nie zająłam do Muhammada.

– A daj ty spokój z tymi kebabami, tłustymi jedzeniami. Niezdrowe, zapychające, fu! Masz tu parującą zupkę, masz chleb razowy i zadbaj o siebie, wnusiu, zadbaj o dziecko, ty tak nie możesz ciągle latać i nie dbać o siebie.

– Ależ babciu, wiesz, że ja do Muhammada jak do przyjaciela, on taki gościnny zawsze. Najlepsze jedzenie mi daje, specjalnie surówkę kroję z najlepszych kawałeczków. Herbatką poczęstuje, to sobie trochę pogadamy o jego rodzinie, o kolegach tutaj u nas. A wiesz, że kilku znowu deportowali. Nie wiem, za co, za narodowość, za kolor skóry. Nie mogę o tym myśleć, bo mi się robi słabo z nerwów.

Babcia Gienia zdejmowała w tym czasie wielkie gary z palników i kładła talerze na stole. Zamieszanie, taniec ruchów dłoni, które precyzyjnie wiedzą, co gdzie położyć, po co sięgnąć, gdzie co zamknąć, aby zaraz otworzyć. Stare palce migają na tle obrusu, stanowią jego naturalny haft, oblekały sztucce tak, jakby grały na harfie. Zapowiadały spokój, wyzerkę. Zapowiadały bezpieczeństwo.

– Bo w sumie ja przyszedłam pogadać, babciu.

– To mnie nie dziwi, trudno, żebyśmy miały siedzieć w ciszy. Coś się stało?

– W pewnym sensie, ja... mam taką dla ciebie propozycję natury dość zaskakującej, trudno zacząć ten temat, bo może się okazać, że nie popierasz, a wręcz jesteś przeciw. Otóż.

I tu popłynęła opowieść dobrej wnusi o złym deweloperze. Przywoływane były obrazy miasta strzaskanego przez niefortunne zabudowy, brak spójnych planów, było odwoływanie się do przedwojennej architektury miast.

– Dość – przerwała babcia Gienia. – To przecież nie będziesz mi opowiadała, jak to było przed wojną, są pewne granice.

Halina zmitygowała się i postanowiła przejść do rzeczy.

– Bo ty chodziłaś po kanałach. Dawno temu, w czasach, kiedy warszawiacy lubili spacerować pod obstrzałem i schodzić do podziemi.

– Trudno zaprzeczyć, chodziłam, prowadziłam. Jak własną kieszeń znałam korytarze, zagłębienia, wyloty z drabinkami. Szłam umiałam ignorować, byle szczer mnie nie wystraszał. Nawet trupy pływające nie przeszkadzały mi w wycieczkach. Miałam długie nogi. Miałam silne ciało. To szłam. Po ciemku, dwa dni, z jednym sucharem i bidonem. Jak kret z oczami zmrużonymi od zbędnego oświetlenia. Włosy mi się skręcały od wilgoci i zaczepiały o ściany. Pół włosów straciłam w tych kanałach, że nie wspomnę o paznokciach. Ale warto było pracować.

– A nie zechciałabyś nam pomóc opracować specjalną trasę podziemi? Potrzebujemy dostać się do jednego domu, ale potrzebujemy zrobić to niepostrzeżenie. Tam stoi taki ochroniarz i lepiej pewne duże ładunki przenieść do piwnicy pod ziemią.

Babcia Gienia spojrzała bystro na wnuczkę, która starała się zamaskować niepokój.

– Rozumiem, że nie chodzi tu o opracowanie specjalistycznej wycieczki krajoznawczej? Rozumiem także, że ty w tym uczestniczyć nie będziesz?

– No, w pewnym sensie masz rację. Ale tylko w pewnym. Musimy, babciu, takiego jednego pana nastraszyć, unieszkodliwić. I ja, póki mogę, też trochę w tym pomogę.

Babcia westchnęła cicho. Nie popierała zwykle hobby swojej wnusi, ale wnusia jedna. Ukochana. Niech się dziewczyna wyszumi, w końcu taka młoda i już wdowa.

Poza tym, co taka stara baba ma robić w domu, tak gotować ciągle i ścierać kurz z telewizora? A tak to wnuczce pomoże, jeszcze się na coś przyda. W końcu i ją oczy bolą, jak patrzy na to, co tu się w mieście wyprawia. Jej mieszkanie wykupione na własność, ale koleżanka z Uniwersytetu Trzeciego Wieku ma być wysiedlona, wyeksmitowana do kontenera śmieciowego za to tylko, że od dwudziestu lat przymierzali się do kamienicy, w której mieszka. Żeby zburzyć, i wreszcie nowy właściciel dopiął swego, grunt sprzedał, a mieszkańców ziębił, wyłączając centralne, potem wyłączając prąd, a na końcu zamurował drzwi do klatki. A niech sobie domownicy wchodzić oknem, a co to, nie można? I nękał, walił w nocy na strychu jakimiś rzeczami. Zastraszał dzieciaki na podwórku, mówił, że ich rodzice muszą stąd się wyprowadzić, bo inaczej pójdą do więzienia. To dzieci w płacz i do domu, „aaa, my nie chcemy was w więzieniu, my was kochamy. Uciekajmy stąd, bo ten zły pan przyjdzie i nas pożre”.

Tak się tworzą legendy miejskie o złych kamienicznikach.

*

Że oni mają twarz diabła i duży brzuch. Że mają torby plastikowe zamiast sumienia, że mają sztuczne zęby i sztuczne oczy. Że nie mówią, tylko rżęją, o tak: aghrh. Że jak jeden umarł, to zwłoki jeszcze przez tydzień chodziły po kostnicy i nikt sobie z nimi rady nie mógł dać, bo na końcu to nawet z grobu chciały wstać, ale ksiądz pokropił po łbie i przestało się ruszać.

I jeszcze opowieści z zaułków i bram, jak to właściciel żyły wodne montował po domach i korytarzach i wodę do nich pompował z kranu na podwórku, tego przy śmietniku. I te żyły robiły zawirowania w głowach mieszkańców, powodując śmierci samobójcze wskutek paranoi.

Ale legendy okazują się prawdziwe, kiedy kolejni ludzie tracą swoje domy, a jeszcze inni się palą.

Na policji Kossakowski pytał, czy nikt, naprawdę, z tutaj zgromadzonych nie słyszał o kwestii ludzkiej umiejętności samospalenia?

Nie od dziś bowiem wiadomo, że człowiek, oprócz swej tymczasowej powłoki cielesnej, ma również zewnętrzną warstwę bioenergetyczną,

którą może czasem zobaczyć jakiś mag, jak mu się pokażemy. No i taki człowiek, jak mu się czakram odpowiedni zamknie, a inny w porę nie otworzy, to na zasadzie polaryzacji i wzajemnie wykluczających się wektorów po prostu sam się, za przeproszeniem, zaprószy. A wtedy to święty Boże nie pomoże, bo płomień tylko zabuzuje do góry, sekunda minie i człowiek zwęglony leży. Jak ten dzieciak w łóżeczku, matka mu obiad gotowała, a kruszyna czarna już w nieruszonej pościeli. Wszystko zostało, łóżeczko, firanka, nawet miś, co obok leżał. A dzieciaka nie ma.

Tak babci Gieni opowiadała ta sąsiadka, że w gazecie pisali o tym rzeźmieszku, że takie głupoty gadał. Na pierwszej stronie jego podobiznę dali i tylko mu oczy zamazali dla niepoznaki. Halina kręciła z niedowierzaniem głową na te historie, bo nie wiadomo, jak sąd zareagował na kwestię czakramów, sprawa nadal w toku, ale dla niej grubymi nićmi szyta była ta afera, sprawy wyglądały z pewnością inaczej. I zdjęcie by się przydało z jego twarzą.

– Facet wynajął zbirów, babę porwali, wywieźli do lasu i podpalili, koniec, kropka. Miasto ma nową wojnę, wojnę o przestrzeń, tu się kończy miejsce na ziemi, tu nam nowy raj w obłokach budują. I wygra ten, kto będzie miał większą siłę przebicia i o swoje zadba. Bo na wojnie nam zburzyli, po wojnie też, a teraz burzyć zaczynają znowu. I każdy, kto im chce przeszkodzić, to dla nich jak mucha brzęcząca – przeszkadza, ale z łatwością można zlikwidować. I wielkie pieniądze mogą sobie pozwolić na mordowanie, bo wielkim pieniądзом nikt nie podskoczy.

– Amen – podsumowała babcia. – Tak było, jest i będzie. No, ale my się na to godzić nie możemy. I choć wolałabym po prostu zabić tych wszystkich złych ludzi, nie mam już na to siły. Nie po to walczyłam w czterdziestym czwartym, żeby mi tu pod nosem miasto psuli. Dlatego też uważam, że z pewnością musimy dobrać się do tego złego człowieka i osobiście chciałabym być przy tej scenie. Jeśli mogę, oczywiście. Poza tym co mi innego pozostało. Patrząc w oczy umierającego męża, widziałam już wszystko, co mogłam tu zobaczyć. Dalsze życie nie ma sensu, wolę je skończyć na własnych zasadach.

Tu babcia skłoniła się nieznacznie i poprawiła na krześle.

Halina ofuknęła ją, że przesadza, że nikt przecież na takich akcjach nie ginie, że to będzie niewinny prztyczek w nos i tyle.

Babcia nic nie odpowiedziała, tylko się uśmiechnęła.

A wnuczka wiedziała już, że akcja musi się udać, skoro będzie z nimi babcia Gienia. Bo staruszki dają radę, aż do zachwytu.

Przyznać trzeba, że brygada się zebrała niezła: jedna baba w ciąży, druga zakochana, trzecia matka dzieciom, czwarta prawniczka na obcasie, a potem to już tylko gorzej: dwóch wariatów, jeden dziad z cmentarza. No i osiemdziesięciolatka z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Chyba Piątego co najmniej!

Plan powstał dość sprytny, odrobinę nierealny, w zamierzeniu jednak słuszny. Należało dopaść w mieszkaniu samego Kossakowskiego, z zaskoczenia i w przykrych okolicznościach. A potem zrobić z niego pośmiewisko, i to takie, żeby facet czmychnął nie tylko z miasta, ale i z kraju. No, może trochę również obrabować i uszkodzić, chociaż w tej kwestii zdania były podzielone.

Akcja nosiła kryptonim „22 lipca” i miała odbyć się, no właśnie, wtedy. Ale zanim cała brygada wyruszy o świcie przez piwnice, kanały, po warszawsku, najpierw należy zrobić porządek z Bronką. Bo z dnia na dzień jest coraz gorzej.

Bronka i wymyślona śmierć

Po pierwszej chemii tylko trochę wypadły jej włosy, ale poszła na zagęszczanie, coś tam wycieniowała i jakoś wyglądało. Nawet nie żał jej było piersi, przecież nikt nic nie zauważył, przecież wyglądały, jakby istniały. Natomiast siadło samopoczucie, a w tym temacie nic już zagęścić, udać nie można było. Przynajmniej przed samą sobą. Coraz częstsze napady bólu nie dawały spokoju. Nikomu nic nie mówiła, siedziała tylko sama na stu metrach metalowego apartamentowca i rzygała.

Rosła w niej złość na los i na swoje ciało. A że nie lubiła poddawać się komukolwiek, to rosło w niej również mocne postanowienie.

Dość już czekania na kolejne chemioterapie, przepływanie trucizny w żyłach, wypadanie ledwo odrośniętych włosów. Koniec z rzyganiem w domu, na atlasową koldrę, na ręczniki każdy po sto pięćdziesiąt złotych. Nie można tracić siebie w chorobie, należy o siebie dbać niezależnie od sytuacji. Bronić przed wyniszczeniem i utratą podmiotowości oto teraz zżeranej przez multiplikujące się guzy, przerzuty, wyrzuszenia.

To jest okropne, ciało jest okropne! Zdradziło, porzuciło, w obcego się zamieniło. Słabnie więc puls, nogi odmawiają posłuszeństwa, kiedy chce się wyjść choćby do sklepu. Dzięki Bogu za sklepy internetowe. Raz na tydzień można kliknąć i przywożać, co potrzeba. Młody chłopak targa ciężkie zakupy. Najlepsze rzeczy; drogie sery, winogrona, ekskluzywne balsamy do skóry. Żeby tylko wycisnąć z życia coś dla siebie. I tak nie można tego jeść, organizm niczego nie przyjmuje. Można się nażreć, a potem wymiotować. Leżeć z obciętymi piersiami, które wystają blizną zza szlafroka, oglądać telewizję i sączyć najlepszy rocznik wina. Że co, że nie można alkoholu?



Jebać raka, jebać zakazy! Zakazem stała się jej wolność, która przypominała od kilku miesięcy dyszącego psa po zabawie z piłeczką. Zwierzak przebiegł cały ogród, leży teraz zmęczony pod nogami właściciela i wywala język.

Jej wolność sterana walką o każdą sekundę w tym całym pobojuwisku leków, syropków i maści. Po zjedzeniu pół apteki ciało raz puchnie, a raz wiotczeje. Nie wie już nic, niczego nie jest pewne. Patrzy zmęczonymi oczami wokół, jakby szukało odpowiedzi na klasówce. A gównu, a my za darmo nic nie zdradzamy! Szczegóły scenariusza pozostawiamy w całkowitej tajemnicy. I tylko szepczemy złośliwie, kiedy po raz kolejny nie doleciało się do kibla i zmywa się resztkami sił zaschnięte odchody wżerające się w kafelki TTW Opex. Szepczemy same do siebie: „I co, elegantko zasrana, manicure się zniszczył, pieniędzy na karcie VIP nie starczyło, żeby z godnością normalnie się załatwić, jak człowiek w cywilizacji, a nie w indyjskich slumsach?”

Nie pomoże puder, róż, gdy człowiek umiera już. Najlepsze znajomości z pierwszych stron gazet nie dadzą rady w walce o minutę bez bólu. Bez

przewiercającej się wiertarki udarowej od stopy do czubka głowy.

Bronkę stać było na prywatne szpitale, osobiste pielęgniarki jak jakieś najęte asystentki choroby, na dodatkowe leki sprowadzane nie wiadomo skąd i na środki przeciwbólowe. Dużo środków, aby nie krzywić się za każdym razem, kiedy się stawia stopę na ziemi. Tabletki, zastrzyki, pochodne morfiny proszki wsypywane do inhalatora i wdychane zachłannie jak klej z woreczka w podstawówce. Dzięki nim można było nadal uczestniczyć w akcjach. Mieć czasem siłę na subtelne uderzenie. To dużo znaczy, w takich chwilach niemiłosiernych.

Bronka doskonale wiedziała, jak zakończy się ta historia. Babcia i mama na jej oczach przechodziły dokładnie taką samą drogę: objawów, powiększonych węzłów chłonnych, diagnozy, operacji, specjalnych staników kupowanych w sklepach dla amazołek. Wreszcie kuracji odmóżdżającej, na końcu której zawsze czekało to samo: nieludzkie cierpienie beładnych ciał zakrytych z litości cienkim prześcieradłem albo grubym kocem. Bo dreszcze, a za chwilę pot. Łaknienie albo jego zupełny brak.

Matka leżała popodłączana do kabli jak marionetka zawieszona na sznurkach. Chciała się napić: kroplówka, chciała zjeść: kroplówka. Aby się wypróżnić, miała oddzielny kabel idący wprost do przeźroczystego woreczka. Odwiedzający mogli zobaczyć kolor sików, w których czasami zbierała się krew rozlewająca się swoją czerwienią jak akwarela.

Matka była karmiona plastikową łyżeczką. Czasami szeptała popękany ustami, że chce wuzetkę. Bronka wypadła wtedy z sali szpitalnej, wsiadała do samochodu i pędziła na sygnale do cukierni na Ursynowie, gdzie mieli te pierdolone wuzetki.

Poproszę sto kilo ciastek. Chcę dać je mojej mamie.

Chcę, aby bita śmietana i posypka zatkały wszystkie miejsca po narządach, które już nie działają. Organizm domaga się nagrody za wytrwałność. Odpowiednia dawka cukru będzie potem trawiona przez pół nocy za pomocą płukania żołądka. Pielęgniarki dziwić się będą, skąd to zatrucie? Przecież ona nic nie je.

To wycieńczenie to odruch obronny wyrzucania na zewnątrz tego, co nie pasuje do środka.

Ciastka nie pasują do raka, bita śmietana nie pasuje do żywych ran i posypka nie pasuje do odleżyn.

Matka umierała dwa dni. Na początku chodziło się wokół sali jak zwierzę w klatce i krzyczało. Na lekarzy, że coś się dzieje niedobrego, „panie doktorze, proszę coś zrobić!”

Potem na pielęgniarki, „no proszę coś zrobić, dać coś mamie przecież!”

Pod koniec pierwszej doby siedziło się otępiale po tabletkach uspokajających w pokoju prowadzącego i patrzyło w jeden punkt.

Noc na krześle przy łóżku, wyslizgnięta dłoń z dłoni matki i przerywany sen. Nad ranem sikorka przyleciała na parapet i jadła słoninkę. Matka spojrzała na nią, potem na Bronkę i zamknęła oczy. Więcej ich nie otworzyła. Ostatni widok z okna szpitala na Bielanach. Taki widok podobny do tego, jaki lubiła, kiedy siedziała na działce i obserwowała przyrodę. Ile to ptaków tuła, ile to roślin wije się o siebie nawzajem. Jakie to piękne obrazy, obrazy cieszące człowieka z miasta.

Ile razy Bronka zastanawiała się, co by chciała zobaczyć przed śmiercią jako ostatnie? Ulubiony film, Pałac Kultury, obraz Modiglianego, a może widok za oknem. A może siebie, swoją twarz patrzącą badawczo w lustro rano, kiedy człowiek zawieszony jest między resztkami snu a nowym dniem.

No więc matka widziała sikorkę i zaraz potem córkę.

Parę minut później zaczęło buczeć to dziwne urządzenie z kreskami. Przyszli lekarze, popatrzeli, pielęgniarki postukały w kroplówkę. Zamieszanie, ale w kontrolowanym tempie. Przecież wszyscy wiedzieli, że to kwestia kilku chwil.

Koniec. Oczy zamknięte, po kilku chwilach biała twarz tężeje i zastyga jak pod maseczką z białka. Matka odeszła, usnęła, matka opuściła. Trzeba matkę zabrać na dół, do kostnicy.

Proszę panią, mama teraz musi być zabrana z pokoju. Musi pani wyjść. Czy pani się już pożegnała z matką?

Pierwsze myśli, niby spokojne, ale w dziwnym stuporze: zabrać ją stąd, a choćby i na ciastka. Udać, że się potrzebuje jeszcze trochę czasu, dźwignąć te suche kości i wynieść na ramieniu. Na korytarz, gdzie za drzwiami jest już winda. Zabrać stąd mamę, zabrać ją śmierci. Schować jak Żydów w szafie, jak Czeczenów w piwnicy, jak ptaka w klatce. Mama sikoreczka, trzeba ją ratować.

Ale zaraz potem refleksja, że to nie ma sensu. Machina szpitalna zaczęła już działać. Zapisali sobie w kajecie, że płeć: kobieta, lat: 57, akt zgonu, nie żyje, bo: umarła. I mają ją w kartotece umarłych kobiet, nie ma możliwości wypisania się stamtąd na własne życzenie. Łapówka też nie wchodzi w grę, bo po tamtej stronie nie przyjmują karty, tylko tamtejszą gotówkę. W postaci tych wszystkich ran, bólów i stęków przy przekręcaniu się na łóżku i podnoszeniu głowy znad poduszki. I jak już mają zapisane, że ktoś umarł, to nigdy tego nie wykreślą, nigdy nie wyrwą kartki z wielkiego zeszytu, bo są zbyt porządni. Oni: lekarze, prokuratorzy, specjalne komisje specjalistów, które stoją nad chorym i sprawdzają, czy jeszcze, czy może już. A na końcu to pani z zakładu pogrzebowego, pan prowadzący ceremonię albo i ksiądz. Wreszcie faceci kopiący dół łopatami. Nic im nie można wytłumaczyć. Są zawzięci w swoim tępych wykonywaniu czynności i nie chcą godzić się nawet na podmianę.

TRZEBA MATKĘ ZABRAĆ
NA DÓŁ, DO KOSTNICY.
MUSI PANI WYJŚĆ.



Ja rozumiem, że mama musi umrzeć, ale to może ja za nią umrzeć?

Dobrze, oczywiście, już wychodzę, proszę pana, ja poczekam sobie na korytarzu. Już nic nie mówię, nic nie proponuję.

Zakryli zmarłej twarz, wyjechali z łóżkiem gdzieś na długi korytarz. Otworzyli specjalną windę do przewożenia łóżek i nacisnęli „minus jeden”. Drzwi się zamknęły. Szczęk windy, zjechali.

Na korytarzu nie było nikogo, bo to po dwudziestej trzeciej. Jarzeniówka buczała na samej górze i ledwo oświetlała rząd krzesel.

Bronka zaczęła czekać, aż powiedzą jej, co ma teraz robić. Co ma teraz ze sobą robić. Nigdy nie zapomni tego stanu zawieszenia, kiedy skończyło się to, co знаła od początku swojego życia, a jeszcze nie zaczęło nic nowego. Bez instrukcji obsługi sieroty, bez wskazówek, grup wsparcia, pięciu lat terapii.

Bo nie może pani tak ciągle przeżywać śmierci mamy, życie idzie do przodu, pani żyje, to najważniejsze.

*

Dobrze, myślała sobie Bronka, płacę tyle kasy za godzinę psychoterapii, to chyba mogę zaufać tej pani w szarej bluzce. Zatem ja żyję i to jest najważniejsze. Rady w stylu „proszę pomyśleć o sobie”, drogowskazy skupiające się na wewnętrznym spokoju, jakieś pozytywne afirmacje, pozytywne wizualizacje.

Tylko rady te nie działają od jakiegoś czasu. Oto życie Bronki również się kończy, po ostatniej wizycie lekarz powiedział coś do drugiego lekarza, a tamten pokręcił głową. I do niej:

– Musimy troszkę zaczekać z dalszą terapią, to sobie organizm odsapnie.

– A ile będziemy czekać?

– O, no tak z dwa, trzy miesiące.

Co w języku wtajemniczonych znaczyło dokładnie to, że zostało pani kilka tygodni życia i nie ma sensu ładować kasy w żywego trupa, bo w kraju mamy tylu chorych, że należy oszczędzać: leki, miejsca na sali, ręce lekarzy. Jak się gdzieś nie opłaca inwestować uzdrowicielskiej siły, to kończymy spektakl. Gasimy światła na scenie, wyłączamy prąd. Niech się samo. Niech się samo, wiecie co.

Aha, a więc uczipienie się życia nie miało już dalszej racji bytu? Co w takim razie robić i jak się afirmować? Że się ma te kilka tygodni przed sobą i można, na ten przykład, zrobić coś szalonego? Na przykład oglądać telewizję od rana do nocy, bo tylko tyle da się robić w takim stanie. Świetnie, oglądajmy więc. Wiadomości, seriale, reklamy, publicystykę i pornosa. Czekałmy, bo może w przerwie na produkty lokowane wreszcie umrzemy.

Bronka nie chciała czekać. Całe jej życie było nieustającą realizacją hasła „bierzmy sprawy w swoje ręce”, zatem pod jego koniec nie można było postąpić inaczej.

Postanowiła umrzeć.

Dzięki Internetowi można się nieźle wyedukować w kwestii nowoczesnych metod unicestwienia. Żadne cięcie żył i połknięcie tabletek nie wchodziło w grę. Spektakularne skoki z wysokości również nie były w jej stylu. Jakże nieelegancko wyglądać by mogło jej ciało rozrzucone na chodniku, gdzie, za przeproszeniem, załatwiają się psy.

Tu należało znaleźć coś, co sprawi, że cała sytuacja nie potrwa długo i będzie – to bardzo ważne po miesiącach chorowania – bezbolesna.

Nie zdawała sobie sprawy, jak wiele jest portali dla samobójców. Początkowo trochę ją śmieszyły wpisy egzaltowanych licealistek, które „nie miały już siły żyć”. No, kochanieńkie, posłuchajcie ciotki Bronki: żyjcie ile tylko sił, bo potem ktoś może wam taką szansę odebrać i nawet się nie obejrzyście, jak pełzać będziecie po podłodze i błagać o kilka kolejnych chwil życia.

Na forach znalazła nie tylko wynurzenia, ale i konkretne porady, co i jak. Jak długo trwa duszenie, wykrwawienie, połknięcie trucizny, eutanazja w szpitalu, przebicie jakiejś części ciała, no fascynujące po prostu. Wieczory Bronki wyglądały przez kilka dni następująco: wino, komputer, wizyta dziewczyn (które, oczywiście, o niczym nie wiedziały) i próba uczestniczenia w akcji. Raz nawet się prawie udało. Podczas kiedy dziewczyny tłukły jakiegoś gościa na trawniku, Bronka siedziała bezpieczna pod wiatą na przystanku i niby czekała na nieistniejący autobus, mając oficjalnie funkcję osłaniającą. Była jednak obok i widziała całą naparzanekę z bliska, jakby sama brała w niej udział. Desperackie próby udawania, że przecież nic się nie dzieje, a jeśli już, to na chwilę i zaraz wszystko wróci do normy. No nie wróci, nie ma szans, ale popatrzeć sobie na koleżanki przy pracy trochę można, czemu nie.

Bronka wracała do domu, brała prysznic wrzątkiem, kładła się pod kołdrę i przeglądała pod nią strony o samobójstwach. Te wszystkie dyskusje o tym, czy lepszy jest hel, czy może karbon, wprawiały ją w dobry humor. Oto wreszcie coś, co ją naprawdę interesowało. Przez tyle czasu wklikiwała w wyszukiwarkę pytania w stylu: „czy wynaleziono lekarstwo na nowotwór piersi?” (aha, jasne, wynaleziono również lekarstwo na śmierć, wojny i niesprawiedliwości tego świata) albo: „jak żyć ze śmiertelną chorobą?” (choroba śmiertelna równa się śmierć i chodzi w niej o to, że człowiek umiera – na to rady nie ma).

A teraz, wreszcie, coś konkretnego: jak założyć maskę na twarz, aby gaz wchłonął się bezpośrednio do organizmu, a nie wyszedł poza niego, zagrażając wybuchem w pomieszczeniu, w którym popełniamy samobójstwo. Odkryła Jerry’ego Hunta, który niczym w Kuchnia TV tłumaczył na ekranie zawilości odchodzenia, oglądała zdjęcia instruktażowe i czuła się coraz bardziej szczęśliwa. Chyba nawet kupowanie pięknych sukienek nie sprawiało jej tyle radości co wyszukiwanie coraz to bardziej skutecznych metod zakończenia swojej choroby. Kto by pomyślał?! Przez chwilę żałowała, że wpadła na ten pomysł tak późno: za późno o kilka lat. Czy jej mama chciałaby skorzystać z najnowszych zdobyczy techniki, aby uniknąć gnicia na szpitalnym łóżku? Chyba nie, została przecież wychowana w czasach, kiedy cierpienie uszlachetniało. Tak długo się wyło, związało z bólu, aż paznokcie łamały się na poduszeczkach dłoni, aż wargi krwawiły od ciągłego przygryzania. Wtedy czuło się, że człowiek zasługuje na to, aby być. Cierpi i tak ma być, po to jest.

Bronka nie zamierzała wciągać się w tę grę. Brała znieczulenie, jak tylko przekraczała próg gabinetu dentystycznego, i jeszcze przed chorobą łykała profilaktycznie dwie aspiryny na dobry dzień. I ona miałaby teraz dogorywać w mękach, choćby i w superluksusowym szpitalu wyglądającym jak hotel?

Nie chciała cierpieć i umierać przy obcych babach. Za zasłonką, w zapachu środków dezynfekujących wszelkie choroby i zarazki. W maszynach, w kablach, plastrach i tej okropnej ciszy, którą wydają tylko ludzie odłączeni od życia.

Ona bardzo chciała żyć, ale wszelkie sztuczki zawiodły, należało więc pogodzić się z tym, że nie wszystko wychodzi – przecież ona się starała godnie przyjmować coraz to nowe diagnozy, pojechała nawet do Austrii do takiego specjalisty, ale nic się już nie dało zrobić.

Lato w pełni, czas umierać. Szczególnie zainteresowały ją trujące rośliny. Znana od stuleci belladona, fasola rycynowa czy obco brzmiące *Jatropha curcas* – zdrowy koktajl. Podobno śmierć nie przychodziła od razu i bywała bolesna (w końcu to subtelne zatrucie organizmu, które trwa do kilku godzin).

Bronka zapragnęła jednak potraktować to nonszalancko i dorzucić element przyrodniczy. Może nawet element zabawy. Bo czy śmierć musi być smutna? Nastęły czasy rozrywki na niezbyt ambitnym poziomie, czemu więc nie samobójstwo, czemu nie czyjaś sytuacja bez wyjścia? Bawmy się!

Skontaktowała się z Romkiem Tasakiem, wielbicielem roślin, miejskim, partyzanckim ogrodnikiem. Ten dostarczył jej wszystko, czego potrzebowała. Nie pytał o nic, małomówny był.

Kiedy odbierała od niego starannie zasuszone łodygi i liście, czuła powagę sytuacji. Romek przy pożegnaniu spojrzał jej prosto w oczy i zamknął za sobą drzwi.

Bronka sporządziła diabelski koktajl według starego przepisu dostępnego w niektórych księgach zielarskich. Pozostawiła go na kilka dni w ciemnej szafce, nakrytego gazą. Na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby był leczniczym kompotem szykowanym na odwiedzinie u chorego w szpitalu. Wyglądał niewinnie. Z dnia na dzień barwa napoju stawała się coraz ciemniejsza, aż w końcu nabrała koloru smoły.

Powoli zbliżał się termin akcji z deweloperem. Bronka miała w niej brać udział w roli stójkowej. Od kiedy dziewczyny dowiedziały się o całej chorobie, dbały o przyjaciółkę i nie pozwalały jej się przemęczać. Ona sama czuła jednak, że nie da rady dotrzeć do końca. Biła się z myślami, bo nie chciała wystawiać kumpelek. Nie miała jednak siły na nic, po co miałaby być tylko zawalidrogą w całej tej sytuacji. Czuła, że teraz albo nigdy.

Postanowiła więc zaprosić wszystkich na bal do swojego mieszkania. Termin: dwudziesty lipca.

Początkowo niektórzy nie chcieli przyjść. Pytali troskliwie, czy nie czuje się przypadkiem zbyt słaba na takie imprezy, czy może w czymś pomóc. Podświadomie wyczuwali, że to rodzaj pożegnania z Bronką i że ona o tym dobrze wie. Ale na zewnątrz nie chcieli dać nic po sobie poznać. Mało tego, przed samymi sobą też nie chcieli pokazać strachu.



Jak taka impreza może wyglądać? Jak stypa z obecnością przyszłego trupa? Nie wiadomo, jak się zachować i czy zabawa nie będzie w klimacie dance macabre. Wiemy, jak jest, wiemy, co się tu zapowiada, jakiś cmentarz, dusza idąca w stronę światełka, ogrody anielskie, ilustracje z książeczki *Moja pierwsza Biblia*.

Oraz pan z brodą krążący na chmurze i uważnie patrzący prosto w oczy.

Czy byłaś grzeczna, dziewczyno?

Czyś żyła dobrze?

Czy ty mnie słyszysz, w tej chwili odpowiadaj albo nieprzygotowanie ci wstawię, chyba już kolejne na liście.

Czarna kropka! Nie zdajesz!

W każdym razie większość osób obiecała jednak, że przyjdzie, bo nie wybaczyłaby sobie, gdyby nie przyjęła zaproszenia śmiertelnie chorej koleżanki.

A śmiertelnie chora kupiła w hurtowni artykułów papierniczych konfetti, lampiony, baloniki i chorągiewki. Ozdobiła mieszkanie tymi skarbami w jedną noc. Początkowo nie wierzyła, że podoba takiej ciężkiej pracy, i chciała nawet prosić Halinę lub Celinę o pomoc. Potem jednak zdecydowała, że to właściwie ostatni wysiłek w jej życiu i warto się pomęczyć. Mieszkanie wyglądało jak kinderbal, jak przedszkole. Jak wiejskie wesele, jak świetlica środowiskowa albo jak apartament ozdobiony kiczowatymi papierkami.

W dzień balu zamówiła hinduskie jedzenie, ubrała się w najpiękniejszą sukienkę, jaką miała, i oczekiwała w niej gości jak jakaś królowa studniówki.

Przyszło ponad pięćdziesiąt osób, początkowo speszonych nieco ilością tych wszystkich kotylionów i krepin, ale po kilku drinkach wszelkie skrupuły minęły. Ludzie tarzali się w zielonych i niebieskich kulach, rzucali nimi nad głowami jak piłkami plażowymi. Patrzyli przez kolorowe balony pod światło, wyobrażali sobie Bałtyk albo choćby Wisłę przy ogródkach piwnych. A ci bogaci wyobrażali sobie niebieskie wody oceanu, jakieś last minute do Tunezji. Balony przekreślały się delikatnie od zawirowań powietrza, kiedy ktoś przechodził obok albo dziewczynom elektryzowały się rajstopy. Balony żyły swoim życiem, układając się w przeróżne konfiguracje, jak w jakimś obłym kalejdoskopie. Co pewien czas balon pękał z hukiem, strasząc gości, po prostu śmiechu co niemiara. Zostawał na podłodze zdechły flak przypominający brzuch matki trójki dzieci albo twarz imprezowicza. Flak wbijał się w posadzkę i zrezygnowany rozjeżdżał się pod naporem obcasów. Mógłby symbolizować życie wielu osób, ale one właśnie wesoło podrzucały te nadmuchane rarytasy, wyobrażając sobie, że to święto – tak tańczyć i podrzucać balony.

I ciśnie się interpretacja oto taka, że te balony lecą w sumie do nieba. Że to jakieś dusze uwięzione w śmierzdzącej gumie. Ale takie opowieści to dla ludzi wierzących w duszę, całej reszty symbole nie dotyczą. Mogą więc podrzucać w górę wszystko, co chcą, bez obaw i refleksji.

Podsumowując: impreza była udana. Bronka siedziała na fotelu jak na tronie i była bardzo szczęśliwa. Jak ona ich lubiła! Dziewczyno –

wiadomo. Ale choćby takiego Szynę – no cóż za uroczy człowiek! A nie wyglądał na takiego, cały w bliznach po bójkach, cały we wspomnieniach z więzienia. I jego przeciwieństwo – stateczny Paweł, prawnik z kancelarii. Przystojny garnitur z wybielonymi zębami. Na przyjęciu były też dwie koleżanki z liceum, siostra cioteczna, z którą spędzała każde wakacje na działce. I kilku kolegów z firmy, z którymi pracowała często przy wyjątkowo trudnych sprawach. Pomieszane towarzystwo znalazło ze sobą wspólny język. To przez te balony, na pewno!

Ostatni gość wyszedł po dwudziestej trzeciej. Bronka czuła, że jest bardzo słaba. Wzięła dodatkową dawkę leków przeciwbólowych i odebrała kolejny telefon od Celiny, czy może jednak nie zostać z nią na noc i nie pomóc posprzątać mieszkania.

– Nie trzeba, kochana, dzisiaj chcę już być sama. Nie, nie ma bałaganu, byliście tacy mili i wszystko powynosiliście. Prawda, że z tymi balonami to był przedni pomysł? Do zobaczenia, Celino, i wiesz co, bardzo ci za wszystko serdecznie dziękuję. Tak, za wszystko.

Żeby scenariusz się powiódł, Bronka nastawiła budzik równo na dwunastą. Na wszelki wypadek, gdyby usnęła. Zresztą całe życie była punktualna, co sobie zaplanowała, to wypełniła, poukładana taka: szósta rano: jogging, prysznic, sok pomarańczowy, makijaż i samochód wyjeżdżający z podziemnego garażu wprost do drugiego podziemnego garażu i windą do pracy. Dziewięć godzin i z powrotem do podziemia, trzask drzwiczek i w domu.

Ale jutro będzie inaczej. Wreszcie będzie nic.

Bo wybiła godzina zero, godzina duchów, styk dni, dwóch rzeczywistości. W jednej chwili przeszłość staje się przyszłością. Gwiazdzista noc, spokojna muzyka z radia.

Myślicie, że w chwili śmierci jest jakaś specjalna atmosfera? Być może, ale nie należy spodziewać się chórów anielskich, przygaszonego światła i wstrzymania zegarów. Śmierć samobójcza to nie wystudiowana poza z sesji zdjęciowej dla ładnego pisma z pachnącym papierem. Śmierć samobójcza może pachnieć szczochem w kącie i wyglądać jak wnętrze ścieku. Ale i tak jest silna.

Bronka z wysiłkiem sięgnęła na półkę po albumy ze zdjęciami. Szybko przerzuciła te z dzieciństwa, te rodzinne, te klasowe i z kolonii. Tak jakby chciała sobie przypomnieć materiał przed sprawdzianem. Na wszelki wypadek. Pamiętanie o ludziach, którzy przetoczyli się przez nasze życie, o historiach na pozór ważnych, jednak z perspektywy czasu nieistotnych, z zagubioną pointą i znikającym obrazem. Koleżanki i koledzy z zamazanymi twarzami, niewyraźnymi imionami uśmiechają się na zdjęciach jak zagubieni mieszkańcy pukający do nie swojego domu. Przepraszam, wydawało mi się, że panią znam, pomyliłem drzwi, już wychodzę.

Bronka odłożyła album na miejsce i popiła winem dwie aspiryny. Kręciło jej się w głowie, ale znalazła w sobie jeszcze trochę siły na to, aby otworzyć szufladę z ziołami, wlać ciecz do ozdobnej szklanki koktajlowej i otworzyć fiolkę z cyjankiem i diazepamem.

Ech, stary dobry cyjanek. Bohater literackich opowieści, kryminalnych filmów z zabójstwem w tle. Bohater wojenny, czcigodny wybawca z wszelkich sytuacji nie do rozwiązania. Gdzie hitlerowcy mają wpaść do szpitala i zabić wszystkie dzieci, a one już dawno w buziach międlą gorzkie kropelki podane przez kochającą pielęgniarkę. Gdzie właśnie Niemcy odkrywają bunkier i sekundy dzielą od wystrzelania wszystkich schowanych po kątach Żydów. To oni – chlup – z buteleczki truciznę trzymaną na taką chwilę. Chwilę, co przecież wszyscy wierzą, że ona nie nadejdzie, bo ludzie by inaczej żyć nie mogli, jak tylko w zapomnieniu od śmierci.

Pijmy więc koktajl z ziół, z belladony przyrządzony osobiście, na swoich własnych zasadach! Pijmy go aż do wykrzywienia twarzy, do pierwszego wymiotu! Pijmy do dna!

*Bella, bella donna, wieczór taki piękny,
Chodźmy więc nad morze do maleńkiej kawiarenki.
Będziemy waltance pili słodkie wino
I całując mnie z uśmiechem, powiesz „ach bambino”.*

I Bronce strasznie chce się już teraz spać – poprawia się jeszcze na sofie, ale ręka zsuwa się jej delikatnie na bok – czuje wielkie zmęczenie po tym całym balu, ogromne zmęczenie, które coraz trudniej zwalczyć, ogromne, takie dziwne widoki jakby przez mgłę.

*Popatrz, cyprysówgaj kołysze wiatr
I niesie miłą woń kwiatówi morskich traw
Na niebie srebrem lśni tysiące gwiazd,
Patrz, jaki urok ma wieczorny świat.*

Czy mi się to wszystko śni, nie czuję już nic, zupełnie nic nie widzę, już śpię, nie mogę otworzyć oczu, powieki ciężą jak przyklejone plastrem, jak mi dobrze, a więc udało się, udało się.

Wygrałam.

Część trzecia

Bohaterki

Widoki z okna, codziennie te same, z tym samym życiem w kamienicy naprzeciwko. Za żółkniętymi fi rankami małe dziecko układa klocki na podłodze i co jakiś czas wyciera nos w rękaw. Zasłania go topola rozdygotana stadem ptaków, przeskakujących z gałęzi na gałąź i z powrotem. Dziwne zajęcie.

Poniżej pani wyfiokowana, dumna. Z pieskiem, wystukuje koturnami rytm, gniew się przy każdym kroku, jak w polonezie. Pies w tym czasie obszczekuje parkujący samochód i uspokaja się dopiero wtedy, kiedy gaśnie silnik. Pies wpada w zadumę, chwilę nawet merda ogonem do niczego i wraca do swoich spraw, czyli wążania kupy. Pani krzyczy na psa, przestań, zostaw to, i razem odchodzą. Znikają za rogiem, namalowani.

Halina zniknęła również w swojej kuchni. Nalała sobie kawy i nadal nie mogła zdecydować się na rozpoczęcie dnia. Kawa pozwalała myśleć, przydawała się zawsze, kiedy należało chwilę zastanowić się nad dalszym planem działania. Element refleksji, dobre sobie! Ale czasami nie ma innej możliwości chwycenia oddechu.

Kawa przydawała się również wtedy, kiedy odebrało się z samego rana telefon od matki przyjaciółki. Telefon płaczący, ostateczny, w hysterii.



W takich chwilach odkłada się słuchawkę i idzie zrobić kawę, bo to jak nić łącząca nas z rzeczywistością. Tylko dzięki temu połączeniu jesteśmy w stanie zrozumieć odległe komunikaty, które normalnie byłyby do odrzucenia na wstępie. Zakwalifikowane jako niepoważne, nierealne wręcz. Niezrozumiałe.

Wszystko w porządku?

Wszystko w prozaku?

W takich chwilach należy łapać się czegokolwiek, co zajmie nasze myśli. Choćby tego kwadratu słońca odbijającego się na ścianie. Próbuje się czuć to szczęście, że można patrzeć na kwadrat i kwadrat ten cieszy z samego faktu bycia na ścianie, obok nas.

Kolejne osoby odchodzące z naszego pola widzenia. Nie wiadomo, skąd brać na to wszystko siłę.

A jutro będzie ona szczególnie potrzebna, kiedy armia dziwnych ludzi wyruszy kanałem wprost do mieszkania Złego.

Niestety, sytuacja zaczęła się nieco komplikować, bo każdy z uczestników miał inną koncepcję zemsty. Przeważały zwykle propozycje morderstwa w jak najmniej wyrafinowany sposób. Spalić, tak jak i on palił ludzi, zmasakrować metalową pałką, jak i on masakrował stare budynki. Udusić, utopić, zadłgać, strącić z wysokiego piętra i patrzeć, jak zlatuje na dół. Wreszcie nic nie zrobić, tylko więzić latami w piwnicy i obserwować powolne wyniszczanie organizmu. Ku przestrodze.

Można też człowieka zasuszyć, zastrupić, wbić mu igłę w sam środek brzucha i przyczepić do ściany niczym wyjątkowo interesujący okaz. Do gabloty z napisem „okrutnik niepospolity *ocrutnicus chujus*”.

Halina snuła wizję zemsty, które miały sprawić, że chociaż na kilka chwil zapomni o Bronce.

Zadzwoił telefon.

– Cześć, Cella. Byłaś w jej mieszkaniu, znalazłaś coś? Słoik z ziołami? Skąd ona je miała, może zamówiła przez Internet, może zebrała w blasku księżyca na boso pod lasem? Nie, ktoś jej musiał dać cały asortyment. Ale kto?

Celina nie miała jednak wątpliwości. To musiał być Romek. Nawet z nim już rozmawiała, wpadając do małego domku na placu Unii. Była tak wściekła, że zdołała nawet uderzyć zaskoczonego odludka w twarz.

– Jak mogłeś – krzyczała przez łzy – jak mogłeś jej to dać?!

Ale Romek spokojnie przytrzymał Celinę za ręce i odsunął ją od siebie.

– Przecież i tak by to zrobiła. A tak przynajmniej naturalnie. Ludziom trzeba pomagać.

– Wcale nie tak do końca naturalnie, tam też cyjanek był! – wykrzyczała.

– O, wypraszam sobie. Mieć to ja tego nie mam i nie zamierzam – obruszył się Romek. – Chemia – dodał z pogardą i zapalił.

W każdym razie nie mylił się. Jak ktoś chce, to robi wszystko, żeby już nic nie musieć robić. Może to i lepiej, że wszystko dostała od znajomego i o nic nie musiała się martwić. Co by z niej pozostało za kilka miesięcy, tygodni nawet.

Zrezygnowana Celina zapytała więc o akcję, czy na niej będzie.

Ten skinął tylko głową i wrócił do swoich spraw, a ostrzył właśnie wielki nóż.

Celina wróciła do domu. Dzwoniła teraz do Haliny i wszystko jej referowała. Chciała się spotkać, ale Halina czuła, że musi być sama. Potrzebowała spokoju, odrębności. Nie miała w sobie dość siły, aby znowu biegać po mieście, załatwiać, bić się i spotykać. Prawdę mówiąc, chciała leżeć.

Oho, pomyślała sobie, a więc tak wygląda macierzyństwo – jest nam już wszystko jedno. Byśmy się tylko tak wałkowały. Z niesmakiem pomyślała o całej akcji z deweloperem. Czy to coś da?

A może je spali ukradkiem, tak jak tamtą biedną kobitę. Nie to, że się bała, ale od kiedy zaszła w ciążę, miała dziwne przekonanie, że musi być bardziej odpowiedzialna, bo z nią jest jeszcze ktoś. Nie wiadomo, jak go nazywać, ale wyraźnie ktoś tam jest.

Położyła się na łóżku i chciała zasnąć, zapomnieć o zemście i skupić się na swoich własnych potrzebach.

Nagle poczuła delikatnie kopnięcie gdzieś z brzucha. To dziecko dawało jakieś dziwne znaki. Jakby chciało coś zakomunikować, jakiś alfabet Morse’a, jakiś tajny kod. No ładnie – pomyślała Halina – odleciałam zupełnie, plód do mnie gada.

A to cały organizm zaczął nadawać sygnały. Skóra na głowie zaswędziała, noga zdrętwiała, a w gardle wyschło. Nos kichnął, szczęka ziewnęła, a serce zatrzymało się na moment, aby potem – ze zdwojoną siłą – zabić miarowo. Co się dzieje, kto tam gra? Nogi same poniosły dziewczynę i postawiły ją przed lustrem w przedpokoju. Spojrzała na siebie, trochę zmęczona i trochę zaciekawiona. Zaczęła mówić do swojego odbicia:

– I co, wymiękasz, takaś ty zawodniczka, co z byle brzucha robi tarczę usprawiedliwiającą ignorowanie problemów miasta, mianowicie rozpieprzenie wbrew prawu? Stare musi odejść, musi zostać zburzone, aby powstało nowe. To fakt. Ale to, co jeszcze stare i dobre, zostać powinno i cieszyć mieszkańców swą historią. Dość dyktatu bogatych dziadów i ich wielkich samochodów parkujących na zielonych trawnikach. Tu trzeba działać, tu trzeba bić.



Halina wykonała dla rozgrzewki kilka ciosów w powietrze, machnęła nogą i zdyszana usiadła na krześle. Była nieco zdziwiona całą sceną, która wydarzyła się gdzieś poza nią samą. Była czysto fizyczna. Z przestrzeni równoległej.

Trochę tak, jakby organizm zdominowany przez ciężę dawał jej przyzwolenie na jeszcze jedną akcję.

Ale ostatnią, obiecuje. Musi się uspokoić. Tylko jeszcze nie teraz.

Wyszła z domu i od razu skierowała swoje kroki do babci. Usiadła u niej w fotelu i chciała opowiedzieć o Bronce, o tym, że nie można tak po prostu się zabijać i że ona bardzo się boi, i dość ma tej śmierci, i że jeszcze chce walczyć, chce pokonać złego inwestora, który niszczy miasto. Zamiast tego po prostu się popłakała. Chyba pierwszy raz od śmierci Antka.

Bo przecież cały czas musiała trzymać fason, nie poddawać się, być dzielna i do przodu iść z jasnym celem. A na to czasami nie starcza sił, na to trudno jest zebrać rezerwy energii. Siedziała i płakała, beczała wręcz i szlochała. Jakie to nieładne, jakie to babskie. Było jej jednak bardzo dobrze, czuła się wreszcie szczęśliwa. Babcia gładziła ją delikatnie po włosach i nie mówiła nic. Bo kiedy ktoś płacze, to należy się zamknąć i nie pocieszać, tylko być.

Na koniec babcia zrobiła herbaty, postawiła talerz zupy i patrzyła tylko na wnuczkę, która powoli nabierała sił. Zażartowała nawet, coś tam wspomniała o przygodach swoich sprzed kilku dni, jak musiała komuś obić twarz. Zmitygowała się jednak, bo przecież oficjalnie babcia nic nie wiedziała o jej działalności, ale ta uśmiechnęła się tylko na znak, że dziś można mówić o wszystkim i niepotrzebnej cenzury nie wprowadzać.

Rozwinęła więc historię o dwóch dziewczynach, które bardzo chciały ukraść w sklepie lakier do paznokci i puder. Chodziły między półkami, chodziły i kombinowały. Co jedna do kieszeni towar chowała, to druga jej szeptała: „nie teraz, bo zobaczą”. Kilka minut dziwnego zachowania w sklepie i obsługa szybko się zorientowała, co i jak. A dziewczyny nadal kombinowały. Jedna z nich dresy swoje odpinała i za bluzę z kapturem pchała, co tam chciała. Druga za to rozglądała się nerwowo i udawała, że wącha jakieś próbki perfum. A to ekskluzywna drogeria była, strasznie droga. Ekspedientki już szły do ochrony po pomoc, kiedy Halina podeszła szybko do dziewczyn i dała im cynk, żeby zostawiły wszystko i uciekały, bo będą kłopoty. A te w zaparte, że nie wiedzą, o co chodzi, i sobie tutaj tylko tak chodzą, i żeby się od nich odczepić. To Halina mówi, że wszystko widziała i że lojalnie ostrzega. Panny nic, to Halina odeszła, aby samej się nie podstawić. Stała między regałami i obserwowała. Scena klasyczna: prosimy na zaplecze, rewizja, znalezienie skradzionych rzeczy, płacz i zapewnienia, telefon na policję.

I właśnie wtedy, wykorzystując zamieszanie, Halina sięgnęła po swoje ulubione perfumy na półkę i po prostu z nimi wyszła. Nie spodziewała się jednak, że tak, jak ona obserwowała złodziejki, tak i ją ktoś mógł z klientów obserwować. Podszedł teraz i złapał ją za rękę. „Wszystko widziałem – mówi – wołam ochronę”. Bardzo się to nie spodobało Halinie, więc wykręciła nadgarstek donosiciela, a kiedy usłyszała charakterystyczny chrupot łamanej kości, puściła rękę i „śmierć konfidentom” rzuciła jako element edukacyjny.

Bo może złodziejstwo nie jest najlepszą formą spędzania czasu, ale donosić nie wolno, po prostu nie wolno.

A babcia słuchała opowieści i tylko kiwała głową:

– A czy perfumy takie potrzebne ci były, czy to chleb jakiś lub woda?

O, tu zajęchało dydaktyzmem, dyskusją dotyczącą priorytetów i spraw najważniejszych. Halina miała przygotowane argumenty, ale w świetle jej problemów, w świetle nadchodzącej akcji o słuszne ideały walczącej to całe te perfumy i poucanki donosicieli zblakły i wydały się nic niewartymi gramami miejskimi, obliczonymi tylko na tanie emocje z zakresu adrenaliny. Gdzie ukraść coś, znaczy nie być frajerem, nie dawać się nikomu. To znaczy wygrać, zdobyć trofeum i iść na chłama w zaparte. A jak złapią i skażą, to głowę zwiesić i przeczekać w więzieniu. A potem znowu to samo, dla zabawy i dla zarobku. Dla życia sobie kraść, co się chce. Niesamowita wolność w dostępie do wszystkiego ładnego skłania do nowych wyzwań i zaczyna się kraść nie tylko byle drobiazg dla kobiet, ale człowiek zasada się na rzeczy większe, typu samochód czy pieniądze z konta. Komu kraść, jaki stosować etos i co zrobić, jak złapie nas policja. To dopiero nowe wyzwania moralne, to dopiero interesujące tematy dla tygodników opiniotwórczych. A nie kryzys, a nie wojna. Tylko zwykłe życie zwykłych złodziejek, co się im kwestia sprawiedliwości społecznej nieco zmieniła.

*Jestem se uczciwy złodziej,
Nie ten, co to wbojach chodzi.
Gdy co świsnę, zaraz knaję,
Bośmy Warszawy hultaje!
Nie urosły mi tysiące
Ni na cukrze, ni na mące.
Mój fach nie jest hańbą żadną,
Bo dziś i panowie kradną.*

Czemu więc my miałybyśmy sobie nie wziąć tego i owego.

Ale babcia pozostała nieprzekonana, może to przez inne wychowanie, przez zasady, przez wiek. A może nie lubiła perfum. W każdym razie, domyślając się kolejnego tematu rozmowy, kategorycznie zaznaczyła, że w kwestii napadu na dewelopera ona nie zgadza się na żadne szabry i przywłaszczania. Wziąć udział może tylko w szlachetnej zemście, w niczym ponadto. Zemsta jest za darmo, niczego się po niej nie oczekuje. Wolontariat zwykły.

– Mogę u ciebie zanocować, babciu?

– Oczywiście.

Do końca dnia Halina odpoczywała, jadła przysmaki i przygotowywała się na wielki dzień.

Babilon płonie

Ranki ciężkie, z bezkofeinową jeszcze głową uwierającą nas przy każdym ruchu. Rozmemłane kapcie szurające do toalety, w której zanim odkręci się kran, to gapić się trzeba w swoje odbicie, zastanawiając się jednocześnie, skąd się tę postać z lustra zna. Rozruch bywa długi i męczący, ale kiedy wreszcie dzień się rozkręci, to tylko ręce, nogi w powietrzu śmigają, tak jest intensywnie.

Celina wstała o świcie i pojechała do Romka, u którego był już Stasiek. Wyglądali, jakby szli na wojnę, ale po drodze postanowili jeszcze skrócić po zakupy. Mieli luźne spodnie i w rękach trzymali duże torby sportowe.

– Co w nich macie?

Za odpowiedź posłużyły wystające ostrza noży, a nawet błyszcząca wiertarka. Wszystko jedno, pomyślała Celina, to nie obława z dowódcą, tylko praca zbiorowa, gdzie każdy może zrealizować swoje pasje i marzenia.

Zaraz na placu zjawił się Maniek ze Stefą, wyraźnie szczęśliwą. Jak się potem okazało, romansującą na całego z dawnym kolegą z podwórka. Porywczy jest jak jej mąż, ale przynajmniej złote serce chłopak ma i w życiu swoim chce siać dobroć. To czemu się nie zakochać, czemu nie mieć czegoś od tego życia, czegoś więcej niżli sparaliżowanego boksera, który robi pod siebie i patrzy się zdumiony na sufit, „jak to się mogło stać, czemuż to, czemuż ja?”



Na końcu przyszła Halina z babcią Gienią. Były ubrane w luźne dresy, a dodatkowo babcia miała w dłoniach kijki do nordic walkingu. Czego to nie wymyślą na tych uniwersytetach dla seniorów, ile to ułatwień. Wsiedli w dwa samochody. Jeden należał do Bronki, kluczyki do niego oddała na pamiętnym balu jednej z dziewczyn, niby z prośbą o wymianę oleju. Oczywiście, był to tylko pretekst, bo w schowku obok pasażera Celina znalazła list, w którym Bronka życzy powodzenia w akcji i serdecznie pozdrawia. Jechały dziewczyny samochodem, czując zapach ulubionych perfum ich koleżanki, obecnie znajdującej się w kostnicy numer dwa na Wólce Węglowej i czekającej w kolejce na piec kremacyjny. Koleżanki wachały różę, trzymały w dłoni list, na który nie było czasu, bo dochodziła siódma rano, czas porannej krzątany.

W mieszkaniu Kossakowskiego budziła się już jego żona, która stała obecnie w przewiewnym szlafroczyku i parzyła kawusię dla mężusia, który tego dnia miał do postraszania dwie rodziny z małymi dziećmi, a na wieczór zostawił sobie swoje ulubione zajęcie, mianowicie podpalanie kamienic niedaleko Bałuckiego. Co prawda lokatorzy zorganizowali się w społeczne komitety i zaciągali warty w celu ochrony swoich domów, ale nie z takimi się wygrywało.

Pięknie się palą w Warszawie, spektakularnie. Płonienie zagarniają to, czego powstanie w czterdziestym zniszczyć nie zdołało. I dobrze, że się rudery hajcują, brzydkie takie, zaniedbane. W samym centrum Europy. Zniszczyć to w centrum Europy, pobudować nowe, zapłacić, zarobić, zagarnąć. Takie to plany na dwudziestego drugiego lipca miał niepozorny mężczyzna lat pięćdziesiąt osiem, grubawy, łysawy, ubrany obecnie w same gacie i obcinający sobie paznokcie na brzegu wanny. Podśpiewujący, beztroski, pełen planów. Dzieci pukały do drzwi łazienki: „tatooo, pooospiesz się!”, dzieci dorosłe mieszkające nadal z rodzicami, bo choć ojciec zakupił im apartamentowce jak się patrzy, to co kanapka od mamuni to nie kebab po robocie. Dzieci niecierpliwiły się pod drzwiami, matka wlewała czarną kawę do kubeczków, tata czyścił nacią brud między zębami.

Naraz tubudu! Ktoś w drzwi puka nerwowo, a to sąsiadka z dołu, że dziwne szумы z rur idą i czy to aby u nich coś nie leci, coś nie cieknie, bo, nie daj Boże, teraz wyjść do roboty i zostawić odkręconą wodę. Zalanie dobra materialnego jak nic. Ale nie cieknie, wszystko dobrze.

– Co jest, jak rany! – zastanowił się pan Kossakowski i zajrzał pod umywalkę. Rzeczywiście, dziwne dźwięki się stamtąd wydobywały.

A to na dole budynku dwóch zamaskowanych panów dłużyło coś w głównym dopływie ciepłego pionu. Odcinali wodę, bo szykowali niespodziankę. Na klatce było ledwie sześć mieszkań, cztery z nich opróżnione, bo ludzie do pracy pojechali swoimi samochodami zaparkowanymi pod domem. Odjeżdżali z piskiem, kłapiąc automatycznym pilotem do bramy. Zostały dwa zasiedlone mieszkania. Jedno się opróżni, drugie wręcz przeciwnie.

Babcia Gienia stała przed domem i tłumaczyła cierpliwie Mańkowi, jak ma wejść do kanału. Ten zdjął szybko klapę i zszedł po drabince. Za nim babcia, nagle pełna energii, jakby nogi same niosły po znajomych ciemnych korytarzach.

– Nowe oznaczenia, no proszę, sprytnie. Za moich czasów to bez mapy ani rusz. A teraz tabliczki jak na bulwarze. Przy włazie została Halina, która nie zmieściłaby się z brzuchem do wąskiego otworu. Z trudem zasunęła klapę i ruszyła w stronę ochroniarza, który na czas wejścia do kanałów zagadywany był przez Celinę.

– A, proszę pana, czy tu ktoś przypadkiem nie sprzedaje mieszkania, bo tu tak ładnie?

– Ano ładnie, ładnie, tylko drogo. Ludzie harują od świtu do nocy, żeby to wszystko spłacić i utrzymać. Szkoda życia, pani, na takie luksusy. Lepiej skromniej mieszkać, ale spokojniej.

– Tu podobno jeden taki pan, co buduje domy, mieszka?

– Mieszka, mieszka, pod czwórka. Znany biznesmen, w telewizji o nim słyszałem.

– Chyba ma problemy z prawem, chyba prawo nagina.

– Proszę pani, w tym kraju nikt do żadnych pieniędzy nie dojdzie, jak trochę paragrafów nie poprzesławia. A jak kto nie umie czy nie chce, to, widzi pani, jak ja stoi na dyżurze dwadzieścia cztery godziny po osiem złotych. E tam, pani, szkoda gadać.

Ochroniarz machnął ręką i zapalił papierosa. Celina w tym czasie kątem oka zauważyła znak od Haliny, która zniknęła za rogiem. Po niej pojawił się Stasiek przebrany za kuriera.

– Ja do pana Kossakowskiego, z przesyłką.

Zwrócił się do ochroniarza, który, zatopiony w swoich myślach nawet nie spojrzał.

Stasiek wjechał na drugie piętro, poprawił pistolet i zadzwonił do drzwi.

Otworzyła mu pani Kossakowska, która myśląc, że to znowu sąsiadka, rzuciła tylko:

– No coś tam świszczy, ale to nie u nas, może odpowietrzają rury, trzeba sprawdzić na dole.

Mężczyzna wszedł szybko do przedpokoju, rzucając „przesyłka, tu podpis”, i stanął tak, aby jedną nogę mieć między futryną a drzwiami wejściowymi. Zanim Kossakowska zerknęła na rzekomy list, Stasiek był już w środku.

W tym czasie Halina dzwoniła domofonem do owej sąsiadki i pod pozorem tego, że jej alarm w samochodzie wyje, wyciągnęła ją z mieszkania.

– To ochroniarzowi trzeba powiedzieć, co tu się dzieje, rury huczą, samochody się psują, człowiek tyle czynszu płaci, żeby spokojnie mieszkać, a nie tak być traktowanym jak, za przeproszeniem, w bloku. Ale zaraz, ja tu alarmu nie słyszę.

Lecz Halina zamknęła już możliwość wyjścia z podziemnego garażu, blokując windę prowadzącą na klatkę schodową. Bramy wjazdowej otworzyć nie można było, chwilę wcześniej Maniek zaciął ją łańcuchem. Choćby się pilota na baterie naciskało z całej siły, to metal trzymał mocno. Drzwi ani drgnęły.

Darła się więc z dołu sąsiadka, ochroniarz palił papierosa na zewnątrz, więc nie słyszał, a pod czwórka wszyscy domownicy byli już związani i przykuci do kaloryferów. Woda już dawno spuszczone, w końcu to lato, ale na wszelki wypadek odcięto również resztę rur. Aby nic nie zgasiło nieuniknionego.

– Ratunku! – darły się ofiary, ale ratunku nie było.

Halina stała na klatce i patrzyła, czy nikt nie idzie.

Kanałami, od strony piwnic, czołgał się Maniek i montował co kilka metrów dziwne urządzenia, które wyglądały jak stare akumulatory, ale w rzeczywistości były detonatorami. Połączone cienkimi drucikami sprawiały wrażenie, jakby zostały wykradzione z tajemniczego laboratorium. Były tu znoszone przez ostatnie trzy dni, kanałami właśnie, pod osłoną nocy. Ciężkie sprzęty, które miały w sobie siłę mogącą zburzyć Pałac Kultury. Maniek po jakimś czasie kiwnął do babci Gieni, a ta wyjęła walkie-talkie i szepnęła, odchrząkując nerwowo: „gotowe”.

Szybko wycofali się na ulicę, ale gdyby nie orientacja Gieni w podziemnym mieście, to skręciliby w inną stronę. Maniek z uznaniem spojrzał na starszkę, która uśmiechnęła się skromnie i powiedziała:

– To się wyczuwa, to się wie, który kanał, w którą stronę wodę przepuszcza. I gdzie ona potem leci. Dzięki temu możesz ustosunkować się względem Wisły. A tego żaden GPS ci nie pokaże. Tylko doświadczenie.

Halina, słysząc ich pukanie od wewnątrz, przesunęła właz i wypuściła ich na ulicę. Tym razem nie udało się zagadać ochroniarza, więc kiedy ten podbiegł do nich w chwili, gdy wychodzili z kanałów, należało go unieszkodliwić. Niestety, musiał znaleźć się za rogiem klatki, uderzony metalową pałką i chwilowo nieczynny.

– Skoro nie ma ochrony, to wejdźmy do nich już teraz – zaproponowała szybko Halina.

Babcia powiedziała, że musi odpocząć na ławce, więc niech idą sami.

Pobiegli po schodach, słysząc krzyzącą sąsiadkę, uwięzioną na parkingu.

– Co z nią? – zapytał Maniek.

– Trudno, musi tam zostać, oby tylko siła wybuchu nie była za duża, żeby jej nie zabiło.

– A jeśli już, to trudno. Zrobiliśmy wszystko, co się dało.

Weszli do mieszkania dewelopera, gdzie Stefa aktualnie oblewała jego twarz gorącą kawą i kopała go w krocze. Reszta rodziny, aby nie wreszczała, dostała zastrzyki nasenne. Leżała cichutko pod oknem, śpiąca, niewinna. W odpowiednim czasie wyniesie się ich na zewnątrz. Lub nie.

Tymczasem pan domu przypalany był papierosami na czole, w kształt męskich genitaliów. Gdyby nawet przeżył dzisiejsze odwiedziny, będzie miał ślad na zawsze.

Stefa po jakimś czasie postanowiła zwiedzić mieszkanie i wziąć sobie na pamiątkę jakiś drobiazg. Otworzyła więc szuflady przy łóżku i wyciągała powoli biżuterię, złoto pochowane w doniczkach (stary, klasyczny sposób, co za wstyd!) i drogie kosmetyki piętrzące się na półkach w łazience.

W jednym z ozdobnych pudeł spostrzegła piękny, ozdobny nóż. Wezmę dla Halinki, ona tak lubi – pomyślała i schowała go do kieszeni.

Popsikała się perfumami stojącymi nieopodal i weszła do pokoju tortur, gdzie półżywy Kossakowski obcinane miał właśnie włosy tuż przy skórze. Wyglądało to, jakby Stasiek go skalpował lub hańbił tysią głową, jak hańbiono zdrajców po wojnie. Stefa leniwie popsikała prosto w oczy płynem i zobaczyła Halinę wchodzącą właśnie do mieszkania.

– Spójrz, co znalazłam, na pewno ci się spodoba!

Halina na widok noża zbladła i powoli podeszła do Kossakowskiego, który za chwilę resztką sił próbował odsunąć się od jej ciosów.

– Skąd masz ten nóż, skurwysynie?! – wrzeszczała w ataku furii. – Skąd masz nóż Antka?

Zdziwieni współuczestnicy wendety patrzyli tylko na Halinę, która z pasją kopała i gryzła.

Ulubiony nóż Antka był bardzo charakterystyczny, z wyrzeźbionym inicjałem ojca na rękojeści. I sobie ktoś musiał ten nóż przysposobić, teraz wiadomo, kto to uderzył, kto zadał cios.

Halina wiedziała, że jeszcze kiedyś po tym nożu pozna oprawcę. Że jeszcze kiedyś ten ukradziony z miejsca zbrodni nóż stanie się dowodem w sprawie. Że nóż ten komuś stanie ością w gardle. I przebije gardło na wylot.

Tak też się stało, bo historia zatacza koło, bo prawo karmy wyraźnie mówi o zbrodni i karze, inaczej nie można żyć na świecie, jeśli na nim sprawiedliwości nie ma.

Halina zamachnęła się i z całej siły uderzyła nożem Antka jego własnego oprawcę. Prosto w gardło. Trysnęła krew i zabrudziła jej twarz.

Oczyszczająca krew, tak bardzo potrzebna. Naraz Halina poczuła wielki spokój, tak jakby zrobiła wreszcie coś, czego brakowało jej od dawna. Odetchnęła i uśmiechnęła się dziko.

Pierwszy ocknął się Maniek, spojrzał na zegarek i powiedział, że na nich już czas. Za dwie minuty nastąpi wybuch. Zbiegł na dół i uruchomił bramę wyjazdową z garażu, aby sąsiadka mogła tylko jedną stroną wydostać się na zewnątrz. Sąsiadka biegła teraz wściekła i chciała dostać się do drzwi wejściowych. W tym samym czasie reszta ekipy wychodziła z mieszkania. Musieli tylko wyprowadzić uspionych domowników. No i Halinę, która nie była w stanie przestać bić dewelopera. Opanował ją szał, szał nie pozwalał na przerwę w katowaniu zabójcy narzeczonego. Ścisnęła w ręce nóż, dłonie były aż sine od wysiłku. W tym wszystkim nie dbała nawet o zamaskowanie twarzy, co znacznie zwiększało ryzyko całej akcji.

Musieli wyprowadzić ją siłą, wykręcając ręce.

Chwilę potem nastąpił pierwszy wybuch. Dom zatrzęsł się od wewnętrznego tępienia.

Babcia Gienia wyszeptała tylko: „Jezus Maria, to nie był dobry pomysł”. Reszta stała w bezpiecznej odległości. Za chwilę zarządzono ewakuację.

Jednak wyjeżdżając samochodem, Stefa odwróciła się za siebie i nie zauważyła, aby cały dom runął. Coś musiało pójść nie tak. Widać było z oddali nadjeżdżające wozy policyjne i straż pożarną, jednak dom, z niewielką dziurą w środku, stał nadal.

Dopiero po chwili, czego już uciekający widzieć nie mogli, dom złożył się niczym origami i legł w gruzach.

Po kilku godzinach można się było dowiedzieć, że tylko jedna osoba zginęła, ale nie w wyniku zasypania, a odniesionych ran podczas wyjątkowo okrutnych tortur. Prawdziwy cud, runął blok mieszkalny, a tylko jedna ofiara.

Wydawało się, że misja zemsty została wypełniona.

Przecież dojść do tego nie musiało. Ktoś mógł złamać nogę, ktoś inny wpaść w depresję po śmierci Bronki. Jeszcze kto inny mógł zaspać na akcję, mieć ważniejsze sprawy do załatwienia.

Wszyscy jednak się zjawili po to, aby ostatnim, desperackim gestem pokazać, co czeka każdego, kto rękę podnosi na ich miasto.

Kominiarki i resztę ubrań spalono, samochody oddano do zaprzyjaźnionej nory na szrot, każdy zapewnił sobie wcześniej alibi i teraz czekać trzeba było tylko na jakieś ruchy ze strony policji.

Zapadła cisza, oczekiwanie.

Poród

Tego samego dnia, późnym wieczorem, kiedy Halina kładła się zmęczona po całym dniu wrażeń, coś zaczęło się dziać.

Skurcze, mrowienie, zawroty głowy.

Napięcie przechodzące od stóp do powiek, wracające z powrotem i zatrzymujące się w okolicy serca. Stamtąd promień bólu przetaczał się miarowo w stronę brzucha.

Wielka, napęczniała kula zdawała się oddzielać od reszty organizmu i wrywać skórze w sposób nagły, lecz konsekwentny.

Powolne resztki oddechu wbijały się we wszystkie kąty ciała, usta desperacko łapały latające bańki powietrza i wpuszczały je do środka. Duszę się, myślała Halina, będą kłopoty. Gdzie jest okno, gdzie jest przeciąg, gdzie są wszyscy, którzy mogliby mi pomóc.

Zwlekła się z łóżka i zrozumiała, że zaczęła rodzić. Wyszła na ulicę, dzwoniąc jednocześnie do mamy:

– Zaczęło się, spotkamy się w szpitalu.

Szła ulicą, w okolicy Sandomierskiej odeszły jej wody. Polały się ciepłym strumieniem po nodze i wylały się na chodnik.

Dokładnie w tym miejscu, w którym zabito Antka.

Halina doszła z ledwością do szpitala położniczego, gdzie od razu zrobił się przy niej tłok. Musiała chyba wyglądać dość niepokojąco, bo zaraz ją położono w sali i podłączono do różnych aparatów.

Kołacze się w brzuchu pasażer, wychodzić chce, co robić?

Kto mi pomoże, przepraszam, czy ktoś mi pomoże?

Ach, prawda, jest jedna pani patrząca się na mnie z troską. Wygląda na oddaloną, wygląda jak w szklanej klatce, dziwnym akwariom bez wody. Co ona mówi, czego ode mnie chce? Pokazuje na kolorową piłkę toczącą się przez salę. Chyba proponuje na niej usiąść, litości! Nie mogę siedzieć, leżeć ani stać. Unoszę się tylko nad pokojem i łapię powietrze z żyrandola. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła zejść na dół.

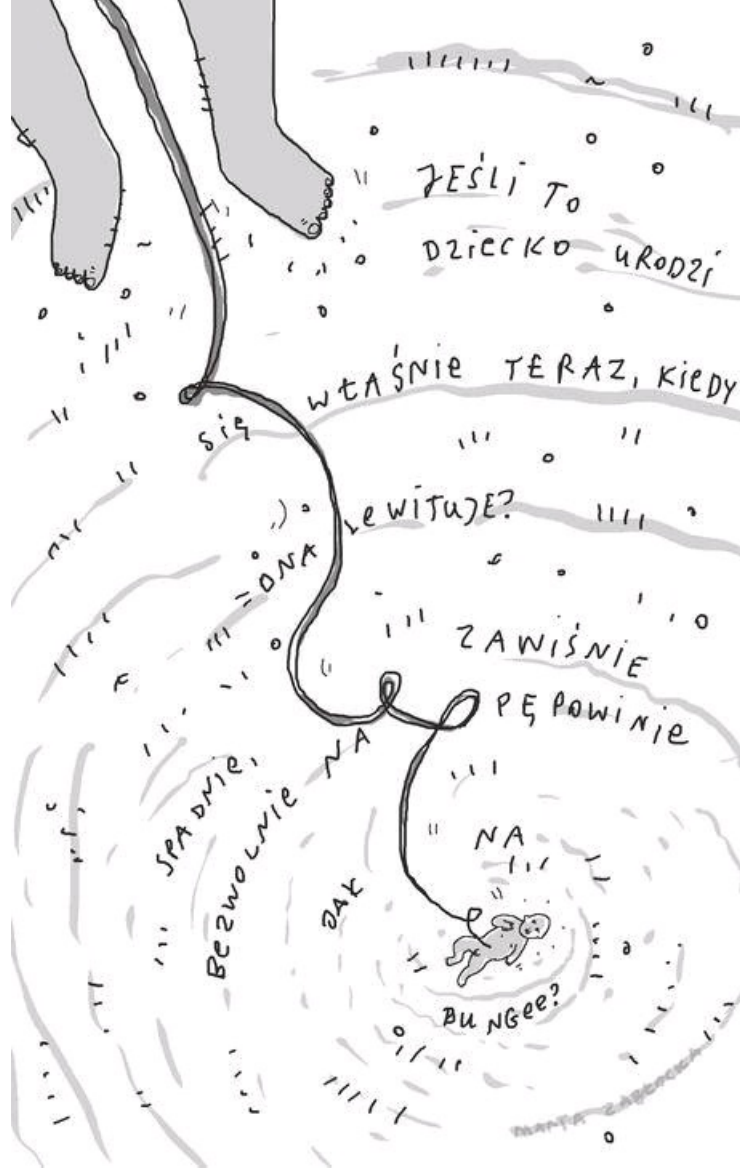
Rodzenie to jasna cholera wyłowiona z głębi siebie.

Rodzenie to skrucha za grzechy, które ktoś nam podrzucił w worku, zadzwonił domofonem i uciekł.

Rodzenie to radzenie sobie z sytuacją bez wyjścia, w której ktoś nas postawił, oczekując idealnie spełnionego zadania.

Rodzenie to studnia odbijająca echem nasze obawy, które powracają w chwilach parcia ze zdwojoną siłą i uderzają nas prosto między oczy.

Gdzie ja jestem? Jestem w głębi własnego brzucha, przerzucam się wokół niego i próbuję przyczepić się czegokolwiek, co może z niego wystawać. Nurkuję, topię się, aby za chwilę wydostać się na zewnątrz i wskoczyć do studni raz jeszcze. Na swoje zatracenie.



*

Rodzenie to topienie, nieuniknione samounicestwienie. Rodzenie to kres, po którym następuje ciąg dalszy, jakby nigdy nic. Tymczasem, kiedy ono trwa i trwa, rozciągając dotychczasowy czas, my same znikamy w każdej sekundzie, która teraz zamieniła się w rok, dekadę, wieki całe.

Rodzenie to znikanie, wchłanianie siebie tylko po to, aby za jakiś czas wydostać się z siebie ponownie. Wejść w siebie, ukoić się, pocieszyć. I skoczyć w przepaść, z jękiem dobiegającym z samego środka. Jękiem – echem, rozbrajającym organizm od środka, rozbrajającym niczym wielką bombę.

Na obraz swojego porodu Halinie nałożyła się dzisiejsza eksplozja. Poczula, że tego jej za wiele. Jeszcze chwila i zgłosi się sama na policję, przeprosi za wszelkie szkody i niedogodności, a potem w spokoju pójdzie do więzienia.

A eksplozje nie ustawały. Trochę tak, jakby ktoś włożył w nią dynamit i sztuczne ognie, zamknął jej usta i czekał, aż ona sama wybuchnie wielokrotnie od środka. I pozbiera się szybko, aby z uśmiechem nakarmić nowo narodzone dziecko.

Brzdęk, bam, kosmos. Fluorescencyjne barwy przebiegają przez szpitalny sufit i znikają gdzieś za brudną firanką. Zabierają resztki kurzu i wracają, aby krążyć, wirować nad łóżkiem. Nie ma dla nich zatrzymania, nie ma na nie pomysłu. Niepokój koloru niepokojącego, o smaku zgnitej świadomości.

Jeśli to dziecko urodzi się właśnie teraz, kiedy ona lewituje? Spadnie, zawisnie bezwolnie na pępowninie jak na bungee? Nie wiadomo, kogo o to zapytać, może taką panią obok?

– Proszę pani, czy pani mnie słyszy? – Chyba nie, zajęta jest obecnie podłączaniem dziwnego urządzenia z kolekcją różnobarwnych przycisków i kabli. Jeden z nich wbija właśnie w moją rękę, do ciała sączy się mętny płyn uspokojenia. Opadam na ziemię, ale statecznie i godnie.

Teraz rozglądam się wokół i wzrok zatrzymuje się na wystającym brzuchu. Niespodzianka, on się rusza. Wychodzi z niego głowa i patrzy na mnie zdzwiona.

Co, to ma być ten świat?! O nie, beznadzieja. Wracam.

I wraca.

Do pielęgniarki podbiega lekarz, słysząc zawirowanie, widać krzątanie się.

Czekam na rozwój sytuacji coraz bardziej rozbawiona całą sceną. Jestem poza sobą, właśnie zdjęłam ciężący mi bebech i siedzę obecnie, w tej chwili, na kawie, i oglądam serial medyczny o perypetiach lekarzy. Odbierają jakiś poród czy co?

Halina zawyła, skurczyła się w sobie i cicho westchnęła. Było po wszystkim. Cisza.

Na brzuchu leżało teraz skurczone dziecko, nowy człowiek, i wszyscy płakali, bo to był dobry moment na chwilę rozklejenia. Płakało dziecko, bo mu się tu nie podobało, płakała nowa matka, bo emocjonujący to dzień, płakała matka matki, wzruszona, jak to babcia.

Halina patrzyła przez łzy na noworodka i powiedziała na głos:

– Mój syn będzie miał na imię Broniek. Po dzielnej cioci, ku pamięci.

Przeznaczenie jest jedno

Kilka dni później, na pierwszym spacerze z małym Bronkiem, dziewczyny rozmawiały o ostatnim morderstwie Kossakowskiego. Nie tak miało być, w planach było postraszanie, ale nie uduszenie.

– E tam, niczego nie żałuję. Kiedy zobaczyłam znaleziony u niego nóż, od razu wiedziałam, że to on zabił Antka, wszystko poskładało mi się w całość, po której żyć z przeświadczeniem, że i on żyje, nie chciałam. Zemsta jeden do jednego, rozumiana pierwotnie. Zemsta życia za życie. Zemsta na śmierć.

– Możemy mieć problemy, tym razem trudno będzie się z tego wykaraskać, trudno będzie udać, że to nie my. Zburzyliśmy dom, zabiłyśmy człowieka, naraziłyśmy na śmierć pięć innych osób. Grozi nam więzienie. Grozi nam dożywocie.

– E tam, niczego nie żałuję – powtarzała Halina, chociaż oczy jej błędziły wokół twarzy syna.

Dobrze wiedziała, że więzienie z dzieckiem jest niemożliwe, że tylko do pewnego czasu mogłaby z nim być. Nie wiedziała już, co o tym myśleć, czy rzeczywiście nie żałować. Zapędzili się wszyscy w róg, z którego nie można już było wyjść.

Do tego chłopcy biorący udział w akcji nakradli duże ilości rzeczy, które policja zobaczy od razu, jak tylko zrobi rewizję w domu. Nie dość, że wynosili bezwładne ciała rodziny Kossakowskiego, to jeszcze targali łupy. Dziwni rabusiowie, jak z lasu, jak z bajek. Właściwie, mówiąc szczerze, wszyscy oni rąbnęli sobie samobója. Wszyscy oni o tym wiedzieli, a mimo to brnęli dalej. Nawet babcia.

I każde z nich przed śmiercią chcieli uciec, ze śmiercią wygrać i na niej się zemścić. A wtedy włącza się system wczesnego reagowania i alarmowania o stanie zagrożenia. Wtedy działa tylko żądza krwawego odwetu, która zaślepia najbardziej nawet jasne spojrzenie. Może to i lepiej, że człowiek czasami wiedziony jest pierwotnym instynktem, może to i lepiej zezwierzęcić i trwać w tym niezależnie od okoliczności. Zresztą na takie rozważania było już za późno. Musztarda po obiedzie, wylana z mlekiem, poszło i cofnąć się nie da.

Pytanie raczej, jak wyjść z tego z twarzą, bo obronna ręka dawno już złamana w pięciu miejscach i zwisa nędznym kikutem obleczonym w zakrwawiony bandaż.

Dziewczyny skręciły w stronę Morskiego Oka. Była ładna, słoneczna pogoda, prawdziwe lato w mieście ze wszystkimi urokami rozgrzanego asfaltu, pachnącej świeżo skoszonej trawy. Z urokami obnażonych dziadków opalających obwisłą skórę aż do brązu, do spalenia.

Miasto od kilku dni żyło straszną zbrodnią na Domaniewskiej. Zabity człowiek, zburzony dom. Masakra jak ze złego snu. Wszyscy komentowali na ulicy całe zdarzenie, wymieniając się coraz bardziej nieprawdopodobnymi plotkami. Że to terroryści, że przestępczość zorganizowana się odnawia, bo wszystkim skazanym w latach dziewięćdziesiątych kończą się już odsiadki. I że znowu strach będzie dzieci puszczać na podwórko, bo to te karki wyjdą z za krat i nam spalą całe miasto.

Środowiska kamieniczników i wielkich firm deweloperskich bały się, że musiały to być porachunki związane z nieruchomościami. Czuli pismo nosem, że na nich to był zamach, bo ofiara miała liczne ślady tortur, a w grupie tej była znana ze swych niekonwencjonalnych metod bogacenia się. Wiadomo było, że to odwet za spalone domy, za spalonych ludzi. Podejrzewano jednak konkurencyjne firmy i stąd obawy, że policja zacznie węszyć w interesach całego sektora, tak bardzo się przecież rozwijającego. A to żal by było robić kontrolę w wielu spółkach, bo żadna z nich nie działała przecież zgodnie z paragrafami. Czuć było w całym środowisku panikę. Pojawiały się nawet głosy, że Kossakowski przesadzał z tymi swoimi metodami i musiało się to tak właśnie skończyć. Skończyć się wreszcie musiał i on.

W istocie jednak te wszystkie eksmisje okazały się w miarę humanitarne. Ludzie nie wiedzieli wtedy, że nowe domy były nieuniknione, rady na nie nie było, bo same z siebie wyrastały.

Halina z Celiną omawiały właśnie rewelacje ostatniego dnia.

Pierwszy powiedział o tym Stasiak. Nikt mu nie wierzył, ktoś nawet wyraził przypuszczenie, że po akcji poprzestawiały mu się klepki we łbie i grozi mu lądowanie w Tworkach.

Ale on swoje wiedział, widział nawet.

Przejeżdżał akurat niedaleko spalonego domu i coś go tknęło. Na zgłiszczach kręciło się kilku budowlańców. Stasiak założył swoją zniszczoną kurtkę, naciągnął czapkę na oczy i podszedł do grupy mężczyzn.

– I co, sprzątaacie?

– Ano.

Budowlańcy nie byli zbyt rozmowni, posapywali, nosząc długie żerdzie w kolorze węgla. Nie było możliwości odzyskania żadnej części apartamentowca, nie zostało zupełnie nic. Wybuch był silny na tyle, aby zamienić budowlę w popiół, ale zbyt słaby, aby zniszczyć okoliczne domy. Romek znał się na swojej robocie i znał proporcje materiałów wybuchowych. Nie znał natomiast wewnętrznej specyfiki nowych mieszkań.

Stasiak postął jeszcze chwilę i patrzył w dół, nad którymi pracowały koparki. Spomiędzy ich kół widać było całkiem spory murek ułożony ze świeżych cegieł.

– Panowie, to jak to jest – budujecie nowy dom, zanim wysprzątałicie stary?

Mężczyźni spojrzeli ze zdziwieniem na Staśka. W ich wzroku czaiła się lekka drwina. Jeden poprawił sobie nauszniki i zaczął z powrotem rozrywać asfalt młotem pneumatycznym. Stasiak nie lubił, kiedy go ignorowano, był szefem w swojej firmie zniczowej, był głową rodziny, samcem alfa. Podszedł więc bliżej do jednego z robotników i odciągnął go na bok.

– Pytam, czemu zaczynacie stawiać dom, jak jeszcze stary nieuprzętnięty, co? Takie to teraz nowe zwyczaje, że się nie czeka z odgruzowaniem? Gdyby tak Warszawę stawiali po wojnie, to ładnie byśmy teraz wyglądali! Kupa gruzu, a na tym nowe cegły. Przecież to trzeba jakoś kolejno zachować, to trzeba jakoś szanować swoją pracę.

– Czyś pan zgłupiał do reszty? Co pan gadasz? My nic nie stawiamy, my tu tylko od zwożenia ruiny jesteśmy, od wrzucania pozostałości na wozy i od jechania z nimi na śmietnik, koniec kropka. Żadnego domu ja tu stawiać nie zamierzam.

– Ale tam wyraźnie widać, już są podjazdy do garażu podziemnego, już są okienka od piwnicy. Przecież jak to wszystko wybuchło, to nic nie zostało, dziura w ziemi tylko.

Tu Stasiak zmytygował się, że za dużo powiedział i ktoś mógłby nabrać jakichś podejrzeń. Dodał więc:

– W telewizji mówiło, w gazecie pisało, ludzie na mieście gadali, że tu cegła na cegle nie leżała, jak wysadzili w powietrze.

Robotnik przytaknął.

– Bo i tak było, nie zostało nic, tu taka siła wybuchu była, że poskręcało druty, kable, gruz, to wszystko teraz razem leży i weź pan to jedno od drugiego oddziel, panie. My tu jeszcze będziemy z miesiąc z tym walczyć, robota głupiego. A ja już inną miałem nagraną i tylko szwagier mi mówi,

a chodź, złapiemy fuchę jedną na Domaniewskiej, bo tu płaci od razu ta firma tego faceta, co tu zginął. Podobno go torturowali, ale jak! Bestie jakieś!

Stasiek odwrócił wzrok i szybko poprowadził rozmowę w inną stronę.

– To skąd, pan mi powiedz, te fundamenty, niemożliwością jest, żeby to zostało po wybuchu.

Robotnik odłożył narzędzia i spojrzał w twarz Staśka.

– Czy pan robisz ze mnie debila, czy sam pan nienormalny? Przecież to nowy dom rośnie.

– Jak to: rośnie, skoro nikt go nie buduje.

– Sam z siebie.

Mina Staśka musiała zdradzać autentyczną niewiedzę, bo robotnik ulitował się nad nim i najwyraźniej jak mógł powiedział:

– Nowe domy rosną same. Na tym polegają te apartamentowce, że ich nikt budować nie musi. Karmią się resztkami starych domów i lecą do góry w kilka dni.

Po tym wyjaśnieniu cierpliwość robotnika się skończyła, więc odwrócił się trochę z niesmakiem i zajął swoją pracą.

Stasiek stał i patrzył w ciszy na nowy dom, kielkujący spod starego. Ach, więc to tak. Spalić, zniszczyć, zburzyć się tego dziadostwa nie da, bo ono i tak samo rośnie. Coś podobnego, dlatego ci deweloperzy takie pieniądze koszą, bo pracy z tym nie ma zbyt wiele, skoro wszystko się samo. Samo buduje, samo tworzy na nowo. Feniks z popiołów.

Kiedyś takie określenie do miasta stosowano, że niby po wojnie się nagle stolica zrodziła z niczego, z gruzobetonu, ze szczątków ludzkich. Teraz to wygląda jeszcze bardziej spektakularnie, skoro domu nawet nie trzeba budować. Sam się rozwija, jak grzyb na grzybni, jak kwiat na kompoście, jak pleśń na wilgoci. I ręka ludzka nie jest tu potrzebna, nie jest tu potrzebne nic, co ludzkie. Zaprogramowane szklane domy są samowystarczalne, a przez to takie groźne. Nie oczekują zezwolenia na budowę, wyprowadzenia ludzi. Równie dobrze stare kamienice można by zostawić z lokatorami w środku i tak zburzyć od razu, a potem czekać tylko, aż nowe urośnie.

Czy szklane domy należy nawozić, podlewać? Czy one sieją się jak akacja, czy perz?

Jezus Maria! to jest nie do opanowania. Tak Stasiek teraz to widział, tak go natchnęło przy tej budowie na Domaniewskiej.

Wsiadł do samochodu, ale nie miał siły ruszyć. Siedział tylko i patrzył przez szybę na pnący się do góry dom. Rósł powoli, niemal niezauważalnie, jak kwiat właśnie. Można się przecież uparcie wpatrywać w liście, które po nocy rozwijają się, aby zaczerpnąć światła, można patrzeć na nie bez mrugania. A i tak nie dostrzeże się momentu poruszenia, drgnienia, zmiany. Dzieje się to subtelnie, powoli, niezauważalnie. Te domy chyba podobnie rosną. Czasami, z racji gabarytów, drży ziemia pod wewnętrznym naporem masywnych cegieł. Wtedy robotnicy odchodzą w bok i czekają ze swoją rozbiórkową pracą. Obserwują spokojnie podwyższanie się fundamentów, wrastanie okien we framugi, powolne skrzywienie świeżo kielkujących zawiasów w drzwiach. Stoją i są pełni pokory wobec nowego, którego nikt nie musi już budować. Takie czasy, taka nowoczesność.

A potem stoją puste, wyrosnięte do chmur domy i czekają na zapełnienie ludźmi, którzy aż tak szybko nie dojrzewają i muszą dłużej czekać do pełnoletności, dostania pracy, możliwości przyznania kredytu. Domy puste, domy pełne przeciągu zastygają w oczekiwaniu. Za jakiś czas wyrastają nowe. Jeden obok drugiego. Nie może być – myślał Stasiek – one muszą się same siać, innej rady nie ma.

Zapalił silnik samochodu i odjechał, byle dalej. Nie chciał patrzeć za siebie, nie chciał mieć nic wspólnego z tym wszystkim. Jak najszybciej dostał się na most i zjechał na swoje Bródno. Wbiegł do kamienicy i, zupełnie irracjonalnie, dotknął czerwonej cegły wystającej w bramie. Nie, nic tu nie wyrasta. Nic tu starego domu od środka nie rozsadza.

*

Stary dom stoi i mocno trzyma się ziemi.

Do czasu, aż nie zasieją nowego.

Halina nie ukrywała zafascynowania nową ideą:

– Nie mogę przestać wyobrażać sobie tego, w jaki sposób taki nowy budynek wyrasta jak roślina, nie mogę przestać wyobrażać sobie siebie jako drwała rąbiącego fundamenty apartamentowca jak jakieś korzenie. Może lepiej czymś to zalać, jakimś środkiem żrącym, żeby się nie rozwijało. Może to niczym chwasty powyrywać raz na tydzień i się je osłabi, powoli zniszczy, zniechęci.

Celina nie wierzyła jednak w to, że można wygrać taką bitwę ze zjawiskiem nadprzyrodzonym. Z przyrodą wygrać się nie da, a co dopiero zmutowaną, nowoczesną.

Spojrzała na przyjaciółkę i nagle zrozumiała:

– Przegrałyśmy, Halinko, na śmierć.

Dzień się kończył, a z kątów Mokotowa wychodziła czarna noc. Kusiła swoją woalką, zapraszała do zabawy. Dziewczyny nie miały jednak ochoty, jak zazwyczaj, dać się porwać tej melodii, zbyt były osowiałe, zbyt gg były realne jak na magię. Jak na sztuczne rewelacje.

Szły w milczeniu po swojej dzielnicy i byle knypek mógłby je teraz zwyzywać, popchnąć i opluć, a one nie miałyby siły nawet na krzywe spojrzenie, na rzucenie obelgi. Największej bojownicze kończą się czasem zapasy energii, iść musi do sanatorium.

Ulica Narbutta poprzebijana latarniami gazowymi tańczyła swój taniec starych domów. W zapachach, woniach historii dziejących się za murami podkreślała swoją wartość na tle stalowych blokowisk podobnych w swym kształcie do głębokiej studni odbijającej głośno od ściany do ściany. Ludzie przełączali się na tryb czuwania, w gaciach i piżamach łazili po pokojach. Półprzysłoni, nieobecni, ignorujący.

Halina nakarmiła syna i położyła się z nim do łóżka. Spojrzała na zdjęcie Antka, który patrzył teraz na nią z uwagą i śledził jej spojrzenie. Śledził ruch jej powiek. Swoje wiedział, ale nie mógł powiedzieć. Nie mógł już nic zrobić. Sam zamknął oczy i zastygł.

Stuk, puk, wśród nocnej ciszy się rozległo. I zaraz prawdziwe łomotanie do drzwi. Otwierać, policja! Halina zerknęła przelotnie przez szybę i zobaczyła przed kamienicą długi sznur samochodów, którym błyskały na dachu koguty rozświetlające mrok. Dziewczyna szybko wzięła na ręce syna i postanowiła wyjść oknem od podwórka. Pierwsze piętro, bez przesady, nie takie rzeczy robiła. Zakradła się więc cicho i stanęła na blacie kuchennym. Ale na podwórku również czekali policjanci. Kilku z nich miało broń wymierzoną w futryny. Wiedzieli, co może zrobić ścigany. Halina znalazła się w potrzasku.

Zdesperowana chciała schować się w szafie albo pod stołem. Zamknąć oczy i zniknąć, zabawić się w dziecienną grę „nie ma mnie”. Gdziekolwiek, choćby na kilka minut, aby odsunąć rozstanie z dzieckiem. Aby odwlec moment schwywania. Wiedziała już, że nie da rady, że to koniec.

Galopada myśli, serce wybijające rytm przyspieszonemu oddechowi. Telefon – szybkie wykręcanie numeru do Celiny.

– Halo, przyszli po mnie, chyba nie dam rady uciec.

Zza drzwi dobiegało miarowe stukanie. Zaczynali wyważać. Były na szczęście zamykane od wewnątrz, więc nie mogli ich otworzyć zwykłym kopnięciem. Ale z użyciem łomu to i tak krótka robota.

HALINA SPOKOJNIE POŁOŻYŁA SIĘ
NA DYWANIE, Z KIESZENI WYJĘŁA
MAŁĄ FIOŁKĘ,



Oni zaraz przyjdą tu.

Głęboko odetchnęła, przytuliła syna i spojrzała w lustro.

Nie dam się – pomyślała – tak jak nie dała się Bronka. Wytrzymam. Powiedziała do słuchawki:

– Pamiętaj, nikogo nie wsypię, nie martw się.

Zdażyła jeszcze pozdrowić przyjaciółkę, kiedy drzwi z hukiem wyleciały z zawiasów. Jeden z policjantów wyrwał jej dziecko, a drugi ryknął:

– Na ziemię, nie ruszać się!

Halina spokojnie położyła się na dywanie, z kieszeni wyjęła małą fiołkę. Przechyliła ją jednym ruchem i zamknęła oczy.

Jutro będzie nic.

Źródła cytatów

[„Nie wolno się bać!”...](#), fragment powiedzenia wojskowego – zasłyszane.

[Tango andrusowskie](#) – tekst: Andrzej Włast, źródło: *Śpiewnik dawnej Warszawy*, Muzeum Powstania Warszawskiego, Instytut S. Starzyńskiego.

[Żal](#) – Bronisław Wieczorkiewicz, *Warszawskie ballady podwórzowe*, Warszawa: PWM, 1971.

[Warszawa w nocy](#) – słowa: Kazimierz Wiehler, źródło: *Śpiewnik dawnej Warszawy*, Muzeum Powstania Warszawskiego, Instytut S. Starzyńskiego.

[Bał na Gnojnej](#) – słowa: Julian Maszyński, Leopold Trzebuchowski, źródło: *Śpiewnik dawnej Warszawy*, Muzeum Powstania Warszawskiego, Instytut S. Starzyńskiego.

[Bella, bella donna](#) – słowa: Janusz Gniatkowski, Jan Danek.

[„Jestem se uczciwy złodziej”](#) – Bronisław Wieczorkiewicz, *Warszawskie ballady podwórzowe*, Warszawa: PWM, 1971.

Wydawca
Agata Pieniążek

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Sylwia Bartkowska

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Elżbieta Jaroszuk
Agnieszka Trzeszkowska

Copyright © by Sylwia Chutnik, 2012
Copyright © by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2012
Copyright © for the e-book edition by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2012

Świat Książki
Warszawa 2012

Weltbild Polska Sp. z o.o.
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

Księgarnia internetowa: Weltbild.pl

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-273-0275-5
Nr 90453374



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl